

Antonio
Tabucchi
Robi się coraz później



CZYTELNIK

Antonio **Tabucchi**
Robi się coraz później

Powieść w formie listów

Przełożyła Joanna Ugniewska



CZYTELNIK
Warszawa 2002

*Książka ta zadedykowana jest
mojemu przyjacielowi, Davide Benatiemu,
który patrzy, rozumie
i przemienia w barwę*

*Tam i z powrotem,
tam i z powrotem,
kręcisz się w kółko
i co potem?*

Refren ludowej piosenki

BILET NA MORSKICH FALACH

Droga moja,

przypuszczam, że wyspa ma pięćdziesiąt kilometrów obwodu, nie więcej. Można objechać ją wzdłuż wybrzeża, wąską drogą, która prowadzi wysoko nad morzem albo mija nagie, płaskie brzegi, kończące się małymi, żwirowymi plażami, gdzie na skraju rosną wysuszone solą tamaryszki, czasami nawet się tam zatrzymuję. Z jednej z tych plaż mówię do ciebie, szeptem, bo południowa pora, morze i to białe światło sprawiły, że masz zamknięte oczy, leżysz obok mnie, widzę, jak twoja pierś unosi się w rytm oddechu, niczym u kogoś, kto śpi, i nie zamierzam cię budzić. Jakże to miejsce spodobałoby się niektórym znanym nam poetom, ponieważ wydaje się takie surowe, pozbawione wszelkich ozdób, nie ma tu nic prócz kamieni, nieporośniętych pagórków, krzaków tarniny i kóz. Przyszło mi wręcz do głowy, że wyspa w ogóle nie istnieje, że trafiłem na nią jedynie dlatego, że ją sobie wyobraziłem. To nie jest miejsce, to jest dziura: mam na myśli — w sieci. Podobno istnieje sieć, z której nikt nie może się wymknąć, w dodatku to włók. Upieram się, aby w tej sieci

szukać dziur. Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę twój ironiczny śmiech: „Daj spokój, znowu o tym samym!” Ale nie: masz zamknięte oczy i nawet się nie poruszyłaś. To tylko mój wymysł. Która może być godzina? Nie wziąłem zegarka, ale i tak na nic by się tutaj nie zdał.

A więc, zacząłem ci opisywać miejsce. Pierwsza rzecz, jaka przychodzi do głowy, to myśl, jak nadmierny jest nadmiar, na jaki w naszych czasach możemy sobie pozwolić, przynajmniej my, którzy na szczęście zamieszkujemy w lepszej części świata. Spójrz tylko na kozy: wystarcza im byle co, aby przeżyć, zjadają nawet ciernie, liżą nawet sól. Im dłużej im się przyglądam, tym bardziej je lubię. Na tej małej plaży jest ich co najmniej siedem, osiem, pasą się między kamieniami, bez pasterza, należą prawdopodobnie do właścicieli niedużego domu, gdzie zaszedłem w południe. Pod trzciniowym daszkiem jest coś w rodzaju baru, można tam zjeść oliwki, ser i melona. Staruszka podająca do stołu jest głucha, musiałem wrzeszczeć, żeby zamówić ten skromny posiłek, powiedziała mi, że zaraz przyjdzie mąż, ale mąż się nie zjawił, może to jedynie wytwór jej fantazji, a może źle zrozumiałem. Ser robi sama, własnymi rękami, zaprowadziła mnie na podwórze domu, zakurzone klepisko otoczone kamiennym murkiem, pełne ostów, gdzie stoi owczarnia. Zrobiłem ruch ręką, jakbym zamachnął się sierpem, dając jej do zrozumienia, że powinna ściąć osty, bo można się o nie potknąć. Odpowiedziała mi identycznym gestem, tylko bardziej zdecydowanym. Kto wie, co miał ozna-

czać ten ruch ręką, tnący powietrze niczym ostrze. Za owczarnią zagroda przechodzi w rodzaj piwnicy, zrobionej w skale, gdzie stara robi swój ser, to nic innego jak słony twaróg, leżakujący w ciemności, powleczony czerwoną skórką ostrej papryki. Jej warsztat składa się z jednego pomieszczenia, wykutego w kamieniu, gdzie panuje chłód, wręcz lodowate zimno. Stoi tam granitowa kadź na zsiadające się mleko i kubek z serwatką, na chropowatym, przechylonym stole wygniata podpuszczkę, jakby to była bielizna na tarze, wyciska z niej całą wodę, potem wlewa w dwie formy, gdzie podpuszczka twardnieje, formy są z drewna, otwierają się i zamykają na zacisk, jedna jest okrągła, normalna rzecz, druga zaś ma kształt asa pik, tak mi się przynajmniej wydawało, bo przypomina jeden z kolorów naszych kart do gry. Kupiłem jedną z form, wołałem tę w kształcie asa pik, lecz stara się nie zgodziła, musiałem zadowolić się okrągłą. Chciałem, aby mi wyjaśniła powód swojej odmowy, ale wydobyłem z niej jedynie ponure i gardłowe pomruki, niemal skrzek, którym towarzyszyły niezrozumiałe gesty: obejmowała się rękami za brzuch, łapała za serce. Kto wie: może chciała dać do zrozumienia, że ten rodzaj sera przeznaczony jest jedynie na najważniejsze okazje w życiu: narodziny, śmierć. Ale, jak ci mówiłem, może to być tylko owoc mojej fantazji, która, dobrze wiesz, nie liczy się często z rzeczywistością. W każdym razie ser jest pyszny, włożyłem go między dwie kromki ciemnego chleba, właśnie go jem, polawszy odrobiną oliwy, której tu nie brakuje, i z kil-

koma listkami tymianku, dodającego smaku każdej potrawie, od ryby do dzikiego królika. Chciałbym cię zapytać, czy ty również masz ochotę coś zjeść: naprawdę jest pyszny, mówiłem ci, jest niepowtarzalny, wkrótce on także zniknie w sieci, która nas oplata, pospiesz się. Nie chciałem ci jednak przeszkadzać, taki piękny był twój sen, taki sprawiedliwy, więc milczałem. Zobaczyłem płynący w oddali statek i pomyślałem o słowie, które dla ciebie piszę: statek. Zobaczyłem statek wyładowany czym?... Zgadnij.

Wszedłem do morza bardzo powoli, odczuwając głębokie zespolenie z przyrodą, jak przystało na takie miejsce. Kiedy wchodziłem do wody, a zmysły gotowe już były na to, co południowe słońce, błękit, sól morską i samotność budzą w mężczyźnie, usłyszałem za sobą twój ironiczny śmiech. Wołałem nie zwracać na niego uwagi i zanurzyłem się w wodzie aż po pępek; ta idiotka udaje, że śpi, pomyślałem, i stroi sobie ze mnie żarty. Jakby na przekór ruszyłem do przodu i dalej na przekór, ale i dla kawału, odwróciłem się błyskawicznie, żeby pokazać ci się nago. Hopla! zawołałem. Nie poruszyłaś się ani o milimetr, lecz głos twój dotarł do mnie, bardzo wyraźny, a przede wszystkim ton, który brzmiał sarkastycznie. Brawo, gratulacje, wciąż jeszcze jesteś w formie! ale Miodowa Plaża była dwadzieścia lat temu, minęło trochę czasu, uważaj, żeby nie zrobić dziury w wodzie. Zdanie było raczej jadowite, muszę przyznać, skierowane do kogoś, kto wchodzi do morza, udając dojrzałego fauna, spojrzałem na siebie, spojrzałem na

błękit wokół mnie i nigdy żadna metafora nie wydała mi się bardziej trafna, ogarnęło mnie poczucie śmieszności, a zarazem zdziwienie, jakby dezorientacja i rodzaj wstydu, osłoniłem się z przodu rękami, bez sensu, bo przecież naprzeciwko mnie nie było nikogo, tylko morze i niebo, nic więcej. A ty leżałaś daleko, nieruchomo na plaży, zbyt daleko, abym mógł usłyszeć, jak szepczesz te słowa. Słyszę głosy, pomyślałem, mam dźwiękową halucynację. I przez chwilę poczułem się sparaliżowany, lodowaty pot spłynął mi po szyi, woda wydała mi się betonem, jakbym w niej utknął i miał udusić się zamurowany żywcem, niczym wałka-skamielina zastygła w bloku kwarcu. Z trudem, powoli, nie odwracając się, próbowałem opanować panikę, która teraz naprawdę mnie ogarnęła, panikę sprawiającą, że traci się orientację, cofnąłem się aż do plaży, przynajmniej widziałem, że tam jesteś ty, punkt odniesienia, stały punkt odniesienia, jakim zawsze dla mnie byłaś, i że leżysz na ręczniku obok mojego.

Zrobiło się z tego wszystkiego niezłe pomieszanie z poplątaniem, jak to się mówi, a przecież, o ile pamiętam, miałem opowiedzieć ci o wyspie. A zatem: na oko ma z pięćdziesiąt kilometrów obwodu i moim zdaniem nie więcej niż jednego mieszkańca na dziesięć kilometrów kwadratowych. Doprawdy, bardzo mało. Chyba więcej jest kóz, nawet na pewno. Oprócz krzaków morwy i opuncji rosną jedynie melony, tam, gdzie kamienisty grunt przechodzi w żółtawy piach, na którym mieszkańcy uprawiają melony, nic, tylko melony,

małe jak grejpfruty i bardzo słodkie. Pola melonów podzielone są rzędami winorośli, rosnącej niemal dziko w dziurach wyżłobionych w piachu, aby nie wysuszyła jej sól i aby mogła gromadzić się w nich poranna rosa, jedyne pożywienie dla korzeni. Z winogron wytwarza się ciemnoróżowe wino, mocne, stanowiące chyba jedyny napój na wyspie, jeśli nie liczyć naporów z dziko rosnących ziół, które pije się również na zimno i które są gorzkie, lecz bardzo aromatyczne. Niektóre mają żółty kolor, bo pośród kamieni kwitnie rodzaj kolczastego szafranu, przypominającego płaski kalafior: taki napój upija bardziej niż wino, podaje się go chorym i umierającym. Wywołuje niezwykle przyjemne uczucie, po wypiciu go śpisz długo, a kiedy się już obudzisz, nie wiesz, ile czasu minęło: może kilka dni, i nic się nie śniło.

Na pewno uważasz, że w takie miejsce należy zabrać ze sobą namiot. Zgoda, ale gdzie go rozbić: wśród kamieni, wśród melonów? A poza tym, wiesz, nigdy nie miałem talentu do rozbijania namiotów, wychodziły mi zawsze jakieś krzywe, niewydarzone, po prostu budziły litość. Znalazłem natomiast pokój w wiosce. Niewiarygodne, przyjeżdżasz do białej wioski, bez nazwy, nazywa się po prostu wioska i na zrujnowanym wiatraku pilnującym czterech domów, za chwiejącymi się schodami, widzisz wywieszkę ze strzałką: „Hotel, sto metrów”. Ma dwa pokoje, jeden stoi pusty. Właścicielem hotelu jest starszy, małomówny mężczyzna. Pracował przedtem jako marynarz, zna różne języki, przynajmniej na tyle, żeby się poro-

zumieć, na wyspie jest wszystkim: listonoszem, aptekarzem, policjantem. Ma prawie oko innego koloru niż lewe, nie sądzę, żeby tak było od urodzenia, raczej na skutek jakiegoś tajemniczego wypadku, któremu uległ w jednej ze swoich podróży i o którym próbował mi opowiedzieć za pomocą niewielu słów i jednoznacznego gestu, wskazując oko i sugerując, że coś w nie uderzyło. Pokój jest bardzo ładny, naprawdę nie wyobrażaliśmy sobie, że aż tak, ani ja, ani ty. To duża mansarda wychodząca na podwórze, z dachem przedłużonym aż nad taras, wsparty na kamiennych kolumnach ganku, wokół których oplątuje się roślina pnąca o bardzo zielonych i grubych liściach, tłustawych, cała w pąkach otwierających się na noc i mocno pachnących. Sądzę, że te kwiaty oddalają insekty, bo nie widziałem ani jednego na ścianach, chyba że czystość jest dziełem nielicznych gekonów zamieszkujących na suficie, również tłustych i nader sympatycznych, bo zawsze nieruchomych, przynajmniej na pozór.

Mrukliwy właściciel ma starą służącą, która rano przynosi mi do pokoju śniadanie, składające się z anyżkowych obwarzanków, miodu, twarożku i czajniczka z naparem pachnącym miętą. Kiedy schodzę na dół, właściciel tkwi zawsze pochylony nad stołem i coś liczy. Ale co takiego, nie mam pojęcia. Mimo swojej słownej wstrzemięźliwości okazuje zainteresowanie. Pyta mnie zawsze: como està su esposa? Nie wiadomo, dlaczego postanowił zwracać się do mnie po hiszpańsku, zresztą słowo „esposa”, wymawiane przez niego z należywym

szacunkiem, a będące już samo w sobie nieco groteskowe, zasługiwałyoby na skwitowanie śmiechem. Jaka tam esposa i esposa, daj pan spokój! mógłbym go teraz klepnąć po ramieniu. Odpowiadam jednak z całą powagą, jakiej wymaga sytuacja: ma się dobrze, dziękuję, obudziła się dzisiaj bardzo wcześnie, zeszła już na plażę, nie zjadła nawet śniadania. Biedaczka, mówi dalej po hiszpańsku, na czczo nad morze, to niemożliwe! Kłaszczcze w dłonie i pojawia się stara. Mówi do niej w swoim języku, a ona szybko przygotowuje ten sam, co zwykle, koszyczek, abyś nie była na czczo. To właśnie przyniosłem ci również dziś rano: anyżkowy obwarzanek, twarożek, miód. Czuję się trochę jak Czerwony Kapturek, ale ty nie jesteś babcią i, na szczęście, nie ma też złego wilka. Jest tylko brązowa kózka pośród skał, błękit w tle, ścieżka, którą należy zejść na plażę, by położyć się na ręczniku obok twojego.

Kupiłem ci bilet „otwarty”, jak mówią w biurach podróży. Kosztuje dwa razy tyle, lecz pozwala ci wrócić, kiedy masz ochotę: nie chodzi mi o astmatyczny stateczek pływający codziennie między wyspą a tak zwaną cywilizacją, ale przede wszystkim o lotnisko na sąsiedniej wyspie, gdzie jest pas startowy. Nie żebym chciał wyrzucić pieniądze, wiesz, jaki jestem oszczędny, ani udowodnić ci własną szczodrość, bo może wcale nie jestem szczodry. Zdaję sobie po prostu sprawę, że masz obowiązki: wszystkie te sprawy do załatwienia, tu i ówdzie, tam i z powrotem. Jednym słowem: życie. Wczoraj wieczorem powiedziałaś mi,

że musisz wyjechać, naprawdę musisz. Cóż, masz, wyjeżdżaj, bilet otwarty właśnie do tego służy. No problem, jak się dziś mówi. Zresztą to dobry moment, ponieważ morze jest wzburzone i wynosi daleko od brzegu.

Wziąłem twój bilet, wszedłem do morza (tym razem w spodniach, aby odpowiednio się prezentować w chwili pożegnania) i położyłem go na powierzchni wody. Fala porwała go, zniknął mi z oczu. O Boże, pomyślałem przez chwilę, serce zaczęło mi bić jak przy rozstaniu (rozstanie powoduje zawsze pewną nerwowość, a ty wiesz przecież, że denerwuję się bardziej niż trzeba), wylądował na skałach. Ale nie. Obrął właściwy kierunek, unosił się dzielnie na wodzie, którą prąd wypycha z zatoki, przez moment nie było go widać. Próbowałem pomachać ci ręcznikiem na pożegnanie, ale byłaś już za daleko. Może w ogóle nic nie zauważyłaś.

RZEKA

Droga moja,

wiem, że zajmujesz się przeszłością: taki masz zawód. Ale to inna historia, wierz mi. Przeszłość łatwiej jest odczytać: odwracasz się i, jeśli to możliwe, spoglądasz ukradkiem. Poza tym, jakkolwiek by było, przeszłość zawsze o coś się zaczepi, choćby jakiś jej strzęp. Czasami wystarczy jedynie zapach i brodawki smakowe, wiadomo, znamy to z niektórych powieści, nawet dobrych. Albo pierwsze lepsze wspomnienie: jakiś przedmiot ujrzany w dzieciństwie, guzik znaleziony w szufladzie, bo ja wiem, osoba, która będąc kimś innym, przypomina ci kogoś innego, stary bilet tramwajowy. I nagle jesteś tam, właśnie w tym rozklekotanym tramwaju, jadącym od Porta Ticina do Zamku Sforzów, jak gdyby nigdy nic wchodzisz przez bramę dziewiętnastowiecznej kamienicy, schody mają poręcz z kutego żelaza, zakończoną głową węża, jesteś na drugim piętrze, drzwi się otwierają, nawet nie zadzwoniłeś, ale wcale cię to nie dziwi, również dlatego, że w przedpokoju, nad rokokową skrzynią, za starym neoklasycznym zegarem wahadłowym, widzisz, iż wiszące tam od

dawna lustro w brunatne plamy jest pęknięte od jednego rogu do drugiego, i pamiętasz, jak tamtego dnia powiedziałaś mi: ktoś z taką chorobą nie powinien prowokować losu, to jakby dopominać się o nieszczęście. Pojmujesz wtedy, że drzwi same się otworzyły tylko dlatego, że on, ten, który chciał prowokować los, został wykiwany, jak wszyscy, którzy chcą prowokować los, kto wie, gdzie jest jego grób, a pęknięte lustro wciąż tam wisi, jak owego dnia, kiedy pojęłaś dokładnie, co się stanie.

Albo bierzesz do ręki album ze zdjęciami, jakikolwiek album jakiegokolwiek osoby, takiej jak ja, jak ty, jak wszyscy. I zauważasz, że w kolejnych segmentach trwa życie, które idiotyczne prostokąty z papieru zamykają w sobie, nie pozwalając mu wydostać się poza swoje ciasne ramy. A życie jest nabrzmiałe, niecierpliwe, chce wydobyć się poza ten prostokąt, ponieważ wie, że dziecko ubrane na białą, ze złożonymi dłońmi, które właśnie przystąpiło do pierwszej komunii, jutro (mówię „jutro”, ale mam na myśli jakikolwiek dzień) będzie płakało w ukryciu, bo będzie się wstydzić samo za siebie: jakaś drobna przewina? Drobna czy znaczna, nieważne, i tak jej skutkiem będzie wyrzut sumienia, a o tym właśnie mówimy. Ale ta okrutna fotografia, bardziej surowa od guwernantki, nie pozwala wymknąć się prawdziwej prawdzie ze swoich kilku centymetrów kwadratowych powierzchni. Życie pozostaje w niewoli własnego przedstawienia: o tym, co stało się dzień później, pamiętasz tylko ty.

Patrz, tak było, pamiętasz? żeby pamiętać, nie umiałbym nawet zacytować jakiegoś wiersza, typu tania bielizna suszy się na sznurze, bo tkwi w czymś takim zawsze element melancholii, mowa jest o nieznanym, skromnym egzystencjach i panuje zawsze prostota, dostępna jedynie wielkim poetom, przynajmniej według nich samych. Nie, przeciwnie: był to pejzaż majestatyczny, miał w sobie piękno, które jest zbyt piękne, kiedy jest doskonałe, jak na fresku Simone Martini, na którym koń w zbroi wiedzie tajemniczego jeźdźca ku tajemniczemu gdzie indziej. Ja zaś prowadziłem samochód. Powoli, wpasowując się w zakręty, żłobiące te wzgórza, przechylając ciało na każdym z nich, jakbym jechał na rowerze, bo pragnąłem być chłopcem przemierzającym ów łagodny pejzaż na nowiuteńkim rowerze, podarowanym przez rodziców na urodziny. To była wieś składająca się z nie więcej niż kilku domów z surowego kamienia, nawet nie pobielonego, nie widać było nikogo, stodoła z pustaków wychodziła na ulicę, wystawały z niej źdźbła słomy, poruszające się na wietrze, zbędne, również opuszczone. Są takie rzeczy, które zdarzają się i nie wiesz, dlaczego. Nie było żadnego powodu, aby zatrzymać się w tej głuszy, choćby na kawę, bo nie było zupełnie nic oprócz uliczki, która za węglem stodoły przechodziła w dróżkę i prowadziła w kierunku pół: kolejnej nicości, tam, w tle.

We wsiach tego typu zawsze stoi mały kościół, albo kaplica, zauważyłbym go. Na początku było to przecież skupisko biednych wiejskich domów

wokół pałacu właściciela ziemskiego, a chłopcy szanowali właściciela i pilnie uczęszczali na mszę. I to właśnie tam, na końcu dróżki, między dwoma cyprysami, zupełnie jak na dziewiętnastowiecznym oleodruku albo na dzisiejszych pocztówkach z napisem „The Heart of Civilization”, stał kościółek. Opuszczony, podobnie jak cała reszta. Na czubku spadzistego dachu, w ceglany biforium otwartym na błękit, wisiały dwa dzwony, bardziej przypominające prymitywne dzwonki u szyi krów, oczywiście również dawno już nie używane. Zaparkowałem samochód właśnie tam, pod jednym z cyprysów. Tuż za nimi rzędy winorośli i cyprysów znaczyły wzgórza: nasze strony, to jasne. I wszystko jak trzeba. Był maj. Wysiusiałem się pod cyprysem, chociaż nie odczuwałem takiej potrzeby, być może potraktowałem tę czynność fizjologiczną jako powód do zatrzymania się w miejscu, gdzie żaden powód nie skłaniał mnie do tego, bym się zatrzymał. Drzwi do kościółka były zamknięte, obszedłem go dookoła, deptając po chwastach rosnących przy jego murach i uważając, aby nie zakłócić spokoju żmijom, które lubią takie opuszczone miejsca. W szczelinach między starymi kamieniami rosły kępy kaparów, których falujące pędy nie wiedzieć dlaczego skojarzyły mi się z Elektrą, próbowałem przypomnieć sobie wiersze znane mi niegdyś, ale nie potrafiłem wygrzebać ich z pamięci. Zerwałem kilka kaparów, zacząłem je żuć, chociaż były niedojrzałe, smakowałem ich cierpkość, jakby ich nieprzyjemny smak przywracał mi sens tego, co się stało, jakby zada-

wał mi łagodną, acz niezbędną pokutę, przypominając swoim cierpkim smakiem o popełnionej winie. Pomyślałem o życiu, które jest podstępne i rzadko ujawnia swoje motywy, a przecież jego prawdziwy bieg ginie w głębi, niczym krasowa rzeka.

Powiedziałem ci kiedyś: teraz to już koniec. Nie mówiąc ci jednak tego, bo milczenie również jest krasowe. Sądziłaś, że zniknąłem? Tak to wtedy wyglądało, zapadłem się jak w nicość, żyłem w zawieszaniu, trochę podróżowałem. Teraz znajdowałem się w jakimkolwiek miejscu, innym od tego majestatycznego, które ci przedtem opisałem: wąwóz między górami, rosną tu rzadkie drzewa oliwkowe i dzikie krzaki, które kwitną, kiedy przychodzi na nie pora. Czasami myślałem o kształcie twojej dziurki i widziałem ją jako część pejzażu: mała łechtaczka ukryta pod wargami większymi, nieśmiała jak człowieczek stający na progu domu, w strachu przed listonoszem, który zadzwonił, dalej zaś, wzgórek łonowy, rozległy niczym ogród, sięgający początku brzucha.

Przebywałem więc daleko w owym czasie pomiędzy, najważniejsze, żebyś zrozumiała rzeczy niezrozumiałe, a samotność była wielka, tam, wśród gór. Wszedłem do tawerny, która nazywała się Antartes, co po grecku znaczy partyzant, i ja również tak się czułem, jak ktoś, kto poszedł w góry, ukrywa się, walczy, ale przeciwko komu? myślałem, cóż, przeciw rzeczywistości, wiadomo, jak to jest, przeciwko rzeczywistości, to znaczy wszystkiemu, bo życie stopniowo wypełnia się i na-

brzmiewa niepostrzeżenie, ale ów obrzęk jest czymś zbędnym, jak cysta albo chaos, i w pewnym momencie ta całość rzeczy, przedmiotów, wspomnień, dźwięków, marzeń, międzymarzeń nic ci już nie mówi, to tylko niewyraźny szum, ściśnięte gardło, szloch, który nie wybucha ani nie daje się stłumić i dusi. Byłem na dworzu pod pergolą z dzikim winem, jadłem pyszne danie z jelit jagnięcia, patrzyłem na kreteńskie wawozy o stromych ścianach, surowe góry z kolorowymi plamami oleandrów wśród zieleni gajów oliwnych, zieleni, która jest tam ciemna i lśniąca, obserwowałem stadko kóz, one nie jedzą oleandrów, chociaż żują nawet ciernie, i myślałem: no tak, udało mi się.

Pewien mój przyjaciel twierdzi, że samobójstwo jako akt ostateczny jest w gruncie rzeczy paradoksalnie łatwiejsze: jeden gest i już. Dużo trudniejsze pozostaje milczenie. Zakłada bowiem cierpliwość, stałość, upór, a szczególnie musi stawić czoło codziennemu dzień-po-dniu naszego życia, dniom, które nam jeden po drugim pozostają, naprawdę długim w ciągu swoich pojedynczych godzin, milczenie jest jak wotum, jest odporne niczym kryształ i jego wrogiem jest czas. Jak to się rzeczy mają. I co nimi kieruje: byle drobiazg. To stało się przypadkiem. Wszedłem do sieni tawerny ze zwykłej ciekawości: żeby popatrzeć. Sala była pusta, z wyplatany krzesłami ustawionymi jedno na drugich i stołami zsuniętymi w róg. Na ścianach wisały fotografie, zacząłem się im przyglądać. W tym miasteczku czczą dwie osoby: jedną jest Venizelos, ponieważ urodził się w tych

stronach i miał tu swój sztab główny podczas toczonych przez siebie bitew, widać go na młodzieńczych portretach i zdjęciach z pożółkłych gazet, przedstawiających w kolorze sepii jego miłość do ludu. Drugą jest Kazantzakis, ponieważ zatrzymał się w miasteczku, kiedy dopadło go jedno z prześladujących go nieszczęść. Nigdy nie lubiłem tego pisarza, chociaż może łączy nas jednakowy rodzaj pychy, lecz w mikromeandrach naszej jaźni drogi pychy są bardziej nieskończone niż drogi Panna i w przypadku Kazantzakisa pycha wybrała drogę odwagi i dumy z jej posiadania. Mój przypadek, jak wiesz, jest zupełnie inny, duma bowiem może wybrać również drogę tchórzostwa. Poza portretem, gdzie Kazantzakis figuruje jako porządny obywatel (marynarka, krawat, starannie przystrzyżone wąsy, brylantyna, głębokie spojrzenie kogoś, kto spogląda w obiektyw, jakby patrzył w oczy Prawdy), wisi zdjęcie jego grobu (tak to nazwijmy), ponieważ jego Kościół nie pozwolił pochować na swoim cmentarzu człowieka, którego uznał za bluźniercę, jego miasto zaś, Heraklion, pogrzebało szczątki w murach miejskich i umieściło na tablicy zdanie, pasujące doń jak ulał: „Nie wierzę w nic. Niczego się nie spodziewam. Jestem wolny”. Widzisz, jak się rzeczy mają i co nimi kieruje: wystarczy jedno zdanie, żeby zniweczyć postanowienie kogoś takiego jak ja. Milczenie jest doprawdy kruche.

Wybacz mi, że zmienię pejzaż, ale to właśnie z powodu tychże słów któregoś dnia zatrzymałem samochód, jak ci mówiłem, przed kościółkiem w

opuszczonej wsi pośród pól, tak dobrze nam znanych, i wysiadłem. Okrążyłem wiejski kościółek, jak gdybym szukał czegoś, co zdołałoby się przeciwstawić owym pełnym pychy zdaniom, budzącym we mnie lęk. Wiem, że to brzmi przesadnie i nie zawiera w sobie ani odrobiny logiki, lecz w niektórych przypadkach, wiesz o tym, nie ma ani odrobiny logiki, albo przynajmniej logiki, która byłaby dla nas zrozumiała, bo my poszukujemy wciąż tej samej logiki: przyczyna skutek, przyczyna skutek, przyczyna skutek, tylko w celu nadania sensu temu, co jest sensu pozbawione. Dlatego właśnie, jak powiedziałby mój przyjaciel, milczenie wybrały osoby, które w ten czy inny sposób wybrały w życiu milczenie: ponieważ przeczuły, że mówić, a przede wszystkim pisać oznacza tak czy owak iść na kompromis z brakiem sensu życia.

A zatem: jesteśmy teraz znowu na zewnątrz kościółka stojącego samotnie pośród uschłych krzaków tarniny i kamieni. Może jest tu jeszcze trochę żmij, jak chcą poeci, ale nie zauważyłem ani jednej. Chociaż skromny (ach, doprawdy skromny, przypomniał mi garb pewnego krawca, który szył garnitury mojemu ojcu w czasach, kiedy byłem dzieckiem), kościółek miał absydę z wąskimi drzwiczkami, którymi niegdyś, jak przypuszczam, wchodził ksiądz, aby odprawić dla chłopów niedzielną mszę, opuściwszy swoje domostwo naprzeciwno: nawet nie plebanię, raczej wiejski dom. Na tych drzwiczkach, przeżartych przez korniki, wisiała kartka z napisem na maszynie, przyklejona taśmą.

Bezsensowna kartka, na której można było przeczytać: „Wybór życia przyszłego. Wstęp wolny”.

Wszedłem, to przecież logiczne. Co byś zrobiła, ty, która zajmujesz się przeszłością? jest w tym pewna hipokryzja, mówiąc między nami, w oczach kogoś, kto zastanawia się, jakie będzie jutro, skoro przeszłość pozostawiła w nim uczucie goryczy. Przyszłość, przeszłość! nasza kultura, włącznie z Ewangelią (mówię to z całym należnym szacunkiem), opiera się na tym, czym mamy się stać, bo nasze będzie królestwo niebieskie, czas przyszły, jednym słowem, przyszłość, bo przeszłość to katastrofa, a terażniejszość nigdy nam nie wystarcza. Nic, wiesz, naprawdę nic nam nie wystarcza, nawet janowce kwitnące w maju dla tego, kto potrafi je dostrzec, a na które patrzyłem, nie dostrzegając ich, jak zdarza się to na ogół wszystkim, aż ogarnia nas tęsknota za nieodwracalnym, ostatecznym grobem wszystkich takich jak my.

Wspomnienie twojej cipki (wybacz upieranie się przy tym trywialnym szczególnie anatomicznym) rozwarło się nagle przede mną, jeśli mogę tak się wyrazić, jest w tym chyba jakaś bezbożność, nie przeczę, zważywszy na święte miejsce, choćby opuszczone. I w przeciwieństwie do Kazantzakisa zrozumiałem, że nie jestem wolny. Przeciwnie, jestem więźniem siebie samego. A przede wszystkim nie byłem już młody, przynajmniej tak młody jak wtedy, kiedy cię poznałem. Wydawało mi się jednak, że rozumiem teraz więcej, o wiele więcej. Dziwne są niektóre skojarzenia: na przykład, że ta twoja dziurka jest nie tylko rodzajem

otchłani, w którą pragnąłbym zapaść się znowu, bo była dla mnie miejscem niewysłowionej rozkoszy (zbyt łatwe), ale naprawdę możliwą drogą powrotu do niepamiętnego, do początku świata, jak rzekłby pewien bystry malarz, dalej, dalej, aby dotrzeć do początku początków, do jednokomórkowca, lepiej, do bakterii, lepiej, do aminokwasu, lepiej, do Słowa, które musi być najwspanialszą metaforą aminokwasu. Ale ze mnie głupek, prawda?

Niekiedy rodzą się myśli nie sformułowane w naszym języku i nie widzisz w tym nic dziwnego. O, słowa, czasami świat wydaje się stworzony z jednakowych słów, chociaż różny pozostaje sposób ich rozumienia w ich własnej istocie. Na przykład słowo „anthropos”. Słowo, o którym myślę i które każdemu z nas wydaje się takie samo, dla każdego znaczy przecież coś innego. Słowo, którego nawet Linneusz, moja Droga, nie potrafiłby, mimo całej swojej cierpliwości, sklasyfikować we wszystkich jego nieskończonych znaczeniach. W moim przypadku znaczy samotnego mężczyznę, przypadek banalny aż do śmieszności, skoro nawet gazety, urzędy stanu cywilnego, gminy i władze używają wyrażenia stan wolny. Jeśli chodzi jednak o mnie, stan wolny zbiega się naprawdę ze staroświecką samotnością. Najbardziej całkowitą samotnością, jaka panuje również w okolicznym pejzażu, składającym się z jeżyn, janowców i cyprysów na wzgórzach. I to dlatego zastukałem do drzwiczek, nacisnąłem klamkę. Na ogół w takich sytuacjach powinna otworzyć kobieta w podesz-

łym wieku, najlepiej siwowłosa Angielka, może nawet ubrana w sari, mieszkała bowiem niegdyś w Indiach, ktoś, kto długo medytował nad filozofiami Wschodu i wie, jak sobie radzić z życiem przyszłym.

Otworzyła mi natomiast staruszka o prymitywnych rysach twarzy, w czarnej chustce na głowie i z wąsikiem nad górną wargą, miała mętne spojrzenie i twarz pozornie otępiałą, jak u niektórych głupków, którzy są na swój sposób bystrzy, i powiedziała tylko: niech pan wejdzie i siada, czeka na pana krzesło. Tak właśnie powiedziała: że jest krzesło, które na mnie czeka. Wszedłem do wąskiego pokoiku, który przedtem musiał służyć za zakrycie, z zakratowanym małym oknem, stał tam rodzaj niewielkiego pulpitu i tylko jedno krzesło, zupełnie takie samo jak krzesło Van Gogha. Nie żartuję, pomyślałem nawet, że ktoś skopiował je z obrazu, ale było tak stare i koślawe, że nie mogło być skopiowane, nie jest możliwe, aby Van Gogh dotarł aż tutaj, jego krzesło stało w pokoju biednego wariata z Prowansji, w kawiarni, gdzie się stołował, gdzie mieszkańcy Arles grali w bilard i ci, którzy celowali nie do tej, co trzeba, łuzi, kończyli w szpitalu psychiatrycznym, gdzie krążyli w kółko, ubrani w pasiaste bluzy, zupełnie tak, jak on ich namalował. Usiadłem na krześle, jakby kierował mną jakiś przymus. Przed sobą nie miałem nic oprócz pulpitu, służącego również za stół. Był też telefon, całkiem nie pasujący do otoczenia, który zadzwonił kilkakrotnie, ale staruszka nie miała zamiaru podnosić słuchawki. Zza

moich pleców, przez zakratowane okienko wychodzące na zachwaszczony plac, wpadał promień słońca i rozświetlał ścianę naprzeciwko, gdzie wisiała mapa Wszechświata. Czy jest coś takiego jak mapa Wszechświata? Oczywiście, że nie. Nasz próbował ktoś jednak narysować: rozszerza się podobno, przynajmniej na razie, potem zobaczymy. Pod mapą Wszechświata figurował tekst jedenastozgłoskowca, który znałem: ale aby poszukiwać i wiedzy, i cnoty, wydało mi się niemal dziwne, że nie został napisany po angielsku; czasami nowoczesność płata nam niemiłe figle. Pomyślałem o tym, jaka mogłaby być moja cnota. Patrząc wstecz, żadna. Wiedza również żadna, mimo tego wszystkiego, co uważałem, że wiem. Byłem pogrążony w kompletnej ciemności, przynajmniej jeśli chodzi o przeszłość. Minęła ot, tak sobie, przesypała się przez palce, wybac mi tę nadużywaną metaforę, ale wówczas naprawdę zrozumiałem: bo przeszłość, ona także, składa się z chwil i każda chwila jest drobnutkim ziarenkiem piasku, które umyka, zatrzymać jedno nie byłoby trudne, ale zebrać je wszystkie razem, nie sposób. Krótko mówiąc: żadnej logiki, moja Droga. Idea przyszłości, choćby tylko jako hipoteza, wydała mi się jeszcze bardziej mglista. Doprawdy, kłęby mgły, jak na niektórych rysunkach pojawiających się wieczorem w telewizji, kiedy jakiś dobrze ułożony człowiek wygłasza meteorologiczne prognozy.

I tak wszedłem do gry. Żadnego poszukiwania najgłębszego „ja”, najbardziej ukrytego w otchłaniach naszej świadomości, jak chcieliby niektórzy

badacze dający nura w nasze dusze. Jedynie skupienie na najgłębiej ukrytym wspomnieniu, tym, które uszczęśliwiło nas w przeszłości i o którym marzymy, aby stało się naszą przyszłością, założywszy, że coś takiego w ogóle istnieje: jedno wspomnienie i nic więcej. Pragnąłem znać cię przed poznaniem ciebie, na tym, aż do dziś, polegało najprawdopodobniej moje najskrytsze pragnienie. Bo w tym właśnie punkcie marzenie i pragnienie są zbieżne, bo są jednym i tym samym, przynajmniej dla tych, którzy wyobrażają sobie nader mgliście życie przyszłe, zanim komórki i trzymający je razem genom nie obróca się w proch.

Staruszka odpowiedziała: zależy. Wybacz, opuściłem fragment, zapomniałem wspomnieć, że staruszka ubrana na czarno skuliła się w rogu, wyglądała jak porzucone zawiniątko i na moje pytanie, czy życie przyszłe zależy od pragnienia, o którym myślałem, odpowiedziała: zależy. Od czego zależy? zapytałem. Uśmiechnęła się, jak ktoś, kto dużo wie, i dała mi znak ręką, jakby chciała rzec: sam się przekonasz. Wyszepiała: zależy od tego, jak ty będziesz myślany w chwili, gdy będziesz przekraczał próg, synku.

Sytuacja była absurdalna, chyba się ze mną zgodzisz. Miejsce, obskurny pokój służący dawniej za zakrystię, i ta stara niby sekretarka, ubrana na czarno, z wąsikami nad górną wargą, przyglądająca mi się bezczelnie. Zdenerwowałem się, ale przede wszystkim na siebie samego, jak wtedy, kiedy sam wpędzasz się w idiotyczną sytuację i chciałbyś natychmiast się z niej wyplątać, bo wiesz, że im dłu-

żej będziesz w niej tkwił, usiłując nad nią zapanować, tym bardziej będzie idiotyczna i wpędzi cię w idiotyczność bez wyjścia. Pojąłem to w lot, ale jak idiota odpowiedziałem: niech mi pani wybaczy, ale gdybym ja, w pełni władz umysłowych, postanowił ewentualnie przekroczyć próg tych drzwiczek, na których jest napis „Wybór życia przyszłego”, myślałbym, co mi się żywnie podoba, czy wyrażam się jasno? Staruszka uśmiechnęła się ponownie tym swoim byстрыm uśmiechem. Dotknęła ukradkiem czoła palcem wskazującym. Mam na myśli, usiłowałem jej wytłumaczyć ze spokojem, który na szczęście zawdzięczamy niekiedy irytacji, że jeśli właśnie w tej chwili, w której przekraczam próg prawą nogą (zapomniałem ci powiedzieć, że tymczasem przeczytałem coś w rodzaju instrukcji leżącej na pulpicie, pogniecioną stroniczkę, z tekstem napisanym na maszynie pod tytułem *Podstawowe wskazówki techniczne*) i stawiam lewą dokładnie obok prawej, jak zaleca wasza instrukcja, mam chyba prawo myśleć, co mi się podoba, dobra kobieto, tak czy nie? Staruszka uniosła ramiona, rozwarła dłonie i poruszyła palcami, jakby naśladowała wiatr. Myśl jest skrzydlata, sądzisz, że ją myślisz, a tu nagle, jak wiatr, dociera do nas, skąd chce, sądziłeś, że to ty myślisz, ale to myśl myśli ciebie, ty zaś jesteś jedynie myślany. I ponownie zrobiła ruch ręką, zachęcając mnie, żebym się ruszył, jeśli starczy mi odwagi. Tym razem chodziło o prawdziwe wyzwanie, nie miałem żadnych wątpliwości.

I to z powodu wyzwania, wierz mi, bo chciałem

podjąć to idiotyczne wyzwanie, w tym idiotycznym miejscu, w obecności tej starej idiotki; pewnie, że nie wierzyłem ani trochę w cyrkową sztukę, mającą wyłudzić kilka groszy od przyjezdnych naiwniaków, i jeszcze ten kiczowaty kosz (wiejski kosz wyłożony czerwoną tkaniną, możesz sobie wyobrazić), gdzie leżała kartka z wypisaną piórem ceną za metempsychozę. Nie, żebym nie pragnął mojego życia przyszłego w tym właśnie momencie mojego życia: tylko ty wiesz, jak bardzo i dlaczego. Żeby jednak od razu godzić się na taką idiotyczną pantomimę, to jednak co innego. A przecież włożyłem odpowiedni banknot do kosza wyściełanego czerwoną tkaniną, oparłem dłoń na klamce drzwiczek, na których widniał napis: „Wybór życia przyszłego”, zamknąłem oczy, jak zalecała instrukcja, przekroczyłem próg prawą nogą i postawiłem lewą dokładnie obok nogi stojącej już na ziemi. Dobry wieczór, powiedziała właścicielka, przygotowałam grenouilles à la provençale, bordeau jest doprawdy niezłe, ma siedem lat, przyniosłam ostatnią butelkę z piwnicy, nie można przecież podać młodego wina do takiego dania, robiłam je przez całe popołudnie. Chciałaś, żebym wybrał stolik, jak zwykle zresztą, w dodatku tamtego wieczoru restauracja świeciła pustkami: siedziały w niej tylko dwie stare pary małżeńskie, nie mogące doczekać się sezonu: może angielscy turyści. Wybrałem stolik w rogu, obok okna, skąd widać było z prawej strony otwarte morze, a z lewej skały i latarnię morską. Piła również dziś wieczór, szepnęłaś, szkoda, żeby tak się wyniszczać, jest

jeszcze piękna. Kto wie, jakie nieszczęścia przydarzyły się jej w życiu, odpowiedziałem, życie nie jest wypisane na twarzach ludzi, nie rozpoznamy go w uśmiechach, którymi nas witają. Morze było bardzo wzburzone. Zdarzało się to niekiedy w tej małej zatoce, bez jakiegokolwiek logicznej przyczyny natury klimatycznej, bo na przykład tamtego wieczoru w ogóle nie było wiatru. Grenouilles à la provençale natomiast okazały się wyśmienite, jak zwykle zresztą. Tamtego wieczoru jednak ty także wypijałaś trochę więcej niż zazwyczaj. Powiedziałaś: temu winu nie sposób się oprzeć. Przyznałem ci rację. Na etykietce widać było pękatą wieżę i napis dużymi literami: „Château Latour, domaine Pouillac, Bordeaux 1975”. To logiczne, że nie pamiętasz tej etykiety. Ja tak, mam ją przed oczami i każdy fragment kręgu, zrozumiesz to później. Kiedy wychodziliśmy, byłaś w świetnym humorze, poprosiłaś, żebym zaśpiewał ci piosenkę o morzu. Wybrałem Charles’a Treneta, chociaż on śpiewa o morzu spokojnym, a ty rzekłaś: cóż za piękna piosenka. Zacząłem schodzić w stronę hoteliku, gdzie w pokoju zostawiłem zapalone światło.

I wciąż schodzę tą drogą, nieuchronnie, za każdym razem kiedy moje życie dociera do tego punktu. Podobnie jak w każdym innym punkcie, w którym się znajduję, poprzednim czy późniejszym. Tamtego wieczoru zatem, to jest dziś wieczór dla mnie, kiedy wracaliśmy do hoteliku, powiedziałaś: niezbyt dobrze się czuję, zimno mi; zarzucasz sobie na plecy wełniany koc i zasypiasz na kanapie, ja zaś zaczynam palić przy oknie, myśląc o

moich zmarłych i wsłuchując się w ich głosy, przynoszone przez morze. A potem, dzień później, robię to, co robiłem dzień później i ty również, a potem, miesiąc później, robię to, co robiłem miesiąc później, a potem, później i później, i jeszcze później. Aż do dnia, kiedy powiedziałem ci, nie mówiąc ci tego, że to koniec. Ten moment jest niewyraźny, nie wiem, długi czy krótki (nieważne), ci od metempsychozy nazywają go „anastole”, czyli nowy początek, ponieważ krąg się zamyka i otwiera natychmiast ponownie. Chodzi, teraz to wiem, o minimalną szczelinę nie do wypełnienia, bo w mojej historii brakuje segmentu z kościółkiem, gdzie zatrzymałem tamtego dnia samochód w okresie mojego anastole. Wiesz, taka chwila jest nie do powtórzenia dla kogoś, kto zdecydował się wejść w krąg, ponieważ to jest właśnie ten wyjątkowy moment (nazywają go „pustym”), kiedy nie wiesz dokładnie, kim jesteś, gdzie jesteś i dlaczego tam jesteś. To tak, jakby muzyka urwała się i wszystkie instrumenty zamilkły: to moment, w którym, jak twierdzą, idziesz na kompromis z brakiem sensu życia, a więc, po co się powtarzać, nie miałoby to żadnego sensu.

Jedynymi wariantami, na jakie sobie pozwoliłem, są różne momenty powrotu do kręgu, może to być pierwszy dzień naszej historii, drugi, ostatni, albo jakikolwiek wieczór. Tak jest zawsze, w nieskończoność. Zawsze ten sam moment. Na przykład, teraz stoję na podwórzu wiejskiego domu, zatrzymałem się pod drzewem migdałowym, jest jeden z ostatnich wieczorów sierpnia, stanęłaś

w drzwiach, bo odgadłaś, że przyjechałem, wychodzisz mi naprzeciw ze spokojem kogoś, kto czekał aż za długo na czyjś powrót, a ja rzeczywiście wracam, z sąsiedniej wioski dochodzą dźwięki trąb i akordeonów grających *Ciliegi rosa a primavera*, co to takiego? pytam cię. Wiejskie święto, odpowiadasz, wiesz, na świętego Wawrzyńca całą noc patrzyłam na spadające gwiazdy i wyraziłam życzenie, abys szybko powrócił, chcesz zostać na kolacji? Zostaję oczywiście na kolacji, przygotowałam faszerowane pomidory, dodałam tymianku rosnącego pod pergolą, obok longiflory. Dla ciebie to rzecz normalna, bo dzieje się jedynie w tamtym momencie, w precyzyjnie określonym ułamku czasu, w którym nasze ciała przemierzają precyzyjnie określoną przestrzeń, czyli trawnik przed wiejskim domem, a nasze uszy słyszą muzykę *Ciliegi rosa a primavera*, a ty mówisz mi: na świętego Wawrzyńca całą noc patrzyłam na spadające gwiazdy, chcesz zostać na kolacji?

Nie wdając się w dokładne obliczenia, należy przypuszczać, że w momencie, w którym się znajduję, w tej obskurnej kreteńskiej tawernie, gdzie trafiłem na chwilę, żeby jutro powrócić znów do kręgu, jesteś już niemal starą kobietą i ja również byłbym niemal stary, gdybym nie przekroczył drobnego progu, który przekroczyłem. Ponieważ życie (mam na myśli twoje) jest logiczne i toczy się we właściwym rytmie. Prawdopodobnie masz wnuki, ponieważ one również należą do rytmu życia, oraz siwe włosy, które dziś zresztą można ukryć za pomocą fryzjerskich zabiegów.

I prawdopodobnie osiągnęłaś spokój, który twój czas przewiduje dla poszczególnych etapów ludzkiego życia. Z pewnością, w trudnym i bolesnym procesie zmian, jaki wymusza na nas posuwanie się w latach, zrozumiałaś, w tym swoim obecnym wieku, że nie nadajesz się do życia wędrownego, chociaż go wtedy pragnęłaś, i że chodziło w gruncie rzeczy o pozorny dylemat. Bo spokój, mimo wszystko, triumfuje zawsze nad niepokojem. Co zresztą w twoim przypadku nie całkiem się sprawdziło, wiem o tym, ponieważ znam twoją naturę i nie mogę wyobrazić sobie ciebie robiącej na drutach, czytającej wiersze w otoczeniu wnuków, które grają na klawesynie: prawdziwa była ta druga, ta, na którą oboje nie potrafiliśmy się zdecydować. Tak czy owak, czas płynie, jak ma płynąć: jest pora kolacji i naokoło stołu właściwe osoby przeżywają razem z tobą właściwą godzinę we właściwym miejscu, bo to jest właściwa miara czasu, życia, mowy.

Ja natomiast piszę do ciebie z czasu rozbitego. Zostały tylko odłamki, moja Droga, fragmenty przeleciały z jednej strony na drugą i nie potrafię ich pozbierać, chyba że w tym zaklętym kręgu, w którym kręcę się, aż dostaję mdłości, i głupieję aż do chwili, gdy otworzy się on w jakimś niewiadomym punkcie. Nie będzie to jednak inne życie, lecz obecne. Ponieważ nie mówię do ciebie z drugiego brzegu, lecz z tego, chociaż należy on, jakkolwiek by to było dziwne, do innej orbity niż twoja. Gdyby było odwrotnie, wydostanie się na zewnątrz nie stanowiłoby żadnego problemu, wy-

starczyłoby żyć życiem, które jest nam dane, jak gdyby żyło się w innym wymiarze, co myśliciele, nawet wybitni, potrafili wyrazić w często wybitnej formie artystycznej. Nie, problem tkwi zupełnie w czym innym. Orbita jest bowiem zarazem ta sama i inna, ja widzę twoją, wchodzę na nią, kiedy tylko zechcę, ale ty nie możesz dostać się na moją. Jestem tutaj i nie potrzeba do tego ani twojej obecności, ani wiedzy, bo twoja orbita jest jedyna i niepowtarzalna, moja zaś pozostaje zsynchronizowana i kręci się w nieskończoność. Kpina, jak ci wspominałem, polega właśnie na tym, że moment wyjścia nastąpi tylko w moim obecnym wcieleniu, to jest tym, w którym jestem teraz, nie będąc w nim naprawdę: wymiary uległy odwróceniu, to, co było wspomnieniem, stało się terażniejszością, a to, czym naprawdę jestem albo powinienem być, moja rzekoma terażniejszość, stało się wirtualne, spoglądałam na nią z oddali jak przez odwróconą lunetę, czekając na powrót w ostatniej chwili, na ów terminalny moment, w którym dane jest nam przeżyć od końca do początku całe nasze życie, będące na razie dla mnie nieustannym powtarzaniem. W takiej danej mi chwili będę miał zaledwie czas, aby machnąć w powietrzu rękami, jak ktoś, kto się topi, i zaraz potem: do widzenia. Wiesz, myślę, że aby uciec z tego powtarzającego się czasu, będącego formą perwersyjnej entropii, nie będzie potrzebna nawet mała eksplozja, jak wtedy, kiedy we wszechświecie masa skompresowanej energii wybuchła, tworząc nową gwiazdę. Zupełnie inaczej niż twierdził ów zwariowany filozof, który utrzymy-

wał, że trzeba zwiększyć jeszcze chaos w naszym wnętrzu, aby narodziła się tańcząca gwiazda. Jaka tam gwiazda! Wystarczy jedynie mała dziurka i cała ta bezsensowna energia ujdzie, jak z przedziurawionego przewodu gazowego, i...sss...sss... wszystko skończy się w jednej chwili jedną małą bańką, tym, co po niej pozostanie, niczym, które jest z niczego, zupełnie jakby czas puścił bąka. Dlatego przesyłam ci niemożliwe pozdrowienie, jak ktoś, kto na próżno macha ręką, stojąc na drugim brzegu rzeki, i wie, że nie ma brzegów, naprawdę, wierz mi, nie ma brzegów, jest tylko rzeka, przedtem tego nie wiedzieliśmy, ale jest tylko rzeka, chciałbym do ciebie krzyknąć: uwaga, pamiętaj, jest tylko rzeka! teraz wiem, ależ byliśmy głupi, tak bardzo zawracaliśmy sobie głowę brzegami, a okazało się, że jest tylko rzeka. Zrobiło się już jednak za późno, po cóż miałbym ci o tym mówić?

FORBIDDEN GAMES

Madame, moja droga Przyjaciółko,
jak to się rzeczy mają. I co nimi kieruje: byle drobiazg. Przeczytałem gdzieś takie zdanie i teraz o nim myślę. I jeszcze jedno: szukamy czy jesteśmy szukani? Nad tym również należałoby się zastanowić. Na przykład ktoś włóczy się wieczorem po ulicach i kawiarniach, bez celu, jak zdarza się mnie, bo cierpię na bezsenność. Kiedyś był przynajmniej Bobi, zakładałem mu smycz i wyprowadzałem go na spacer: miałem pretekst. Teraz Bobi nie żyje, nie mam już nawet pretekstu. Wałęsam się bez sensu, przesiaduję w bistrach, aż przyjdzie pora ich zamykania, potem wychodzę i spaceruję. Lekarz powiedział mi: jest pan klasycznym przypadkiem homo melancholicus. Ale Dürer narysował przecież melancholię na siedząco, zaprotestowałem, do melancholii potrzeba krzesła. Pańska melancholia jest inna, orzekł, to melancholia wędrówna. I zalecił mi ćwiczenia ruchowe.

Wczoraj, na przykład, ruszyłem w kierunku Porte d'Orléans. Prawie tego nie zauważyłem, szedłem i już. Na boulevard Raspail, w świetle latarni, liście i drzewa wydawały się jeszcze bar-

dziej żółte. Mamy początek października. Pomyślałem o linijce wiersza: obecna żółtość liści. Obecna: mająca miejsce teraz, a nie zaraz potem. To, co przemija. Pomyślałem więc o czasie i o moim w nim przemijaniu. Szedłem szybko, wytyczoną trasą, nie zdając sobie sprawy, że daję sobą kierować. Spostrzegłem to dopiero za boulevard Général Leclerc, pomiędzy brocanteur a wietnamską knajpką był tu kiedyś zakład krawiecki. Tutaj uszyłem sobie garnitur na ślub Christine. Nie miałem ani grosza, w każdym razie miałem bardzo mało, krawiec był starym Żydem, zakład znajdował się na mojej trasie, w drodze powrotnej zastukałem, miał tanie materiały, uszył mi tanio garnitur. Tak więc, przechodząc koło zakładu, którego już nie ma, zauważyłem, że idę niepostrzeżenie w kierunku boulevard Jourdan i Cité Universitaire. Tak kiedyś robiłem, wracałem piechotą, często późno w nocy, ponieważ metro zamykano dość wcześnie, a ja oglądałem do późna filmy dla amatorów ambitnego kina w małej salce na Saint-Germain: *L'âge d'or*, *Un chien andalou*. Coś w tym stylu. Wierzyłem w awangardy. Przyjemnie było myśleć, że są rewolucyjne. W sensie estetycznym, oczywiście. Na boulevard Jourdan, w pobliżu jednego z wejść do Cité, znajdowała się kawiarnia, gdzie często bywałem. Chodziłem tam z grupką japońskich studentów, z którymi się zaprzyjaźniłem, ponieważ na jakiś czas musiałem zamieszkać w Maison du Japon, skoro w Maison mojego kraju trwał remont. W grupie była dziewczyna i chłopak, którzy wzbudzili we mnie sympatię. Ona

studiowała medycynę i zamierzała specjalizować się w chorobach tropikalnych, marzyła jednak o tym, by zostać śpiewaczką operową, brała nawet lekcje śpiewu u starego tenora mieszkającego w Marais. Uwielbiała Pucciniego i czasami śpiewała nam arie z *Madame Butterfly*. Siadaliśmy przy kawiarnianym stoliku, na zewnątrz, była zima, ona śpiewała: „Un bel di vedremo levarsi un fil di fumo”¹ i z jej ust wydobywały się obłoczki pary. Twierdziłem, że to muzyczne ideogramy Pucciniego. Nazywała się Atsuko, nasz przyjaciel pisywał haiku i krótkie wierszyki, a kiedy przyszła mu ochota, odczytywał je. Pamiętam jeden, który brzmiał tak:

Liść spada
na październikowym wietrze,
fałuje, lekki.
Ciężka jest pora lata,
które minęło daleko.

Przesiadując w kawiarni, marzyliśmy o światach możliwych i popijaliśmy jus de pamplemousse. Rano, w aulach Sorbony, stary profesor filozofii, którego nazwiska, w naszej nieskończonej ignorancji, nie znaleźmy, mówił wzniosłe o Remords et Nostalgie. Nie mieliśmy pojęcia, co to takiego, lecz fascynowały nas niczym dalekie kraje, które wyobrażamy sobie po drugiej stronie oceanu życia, na odległym brzegu, do którego nigdy nie przybijesz. A jednak.

W czasie mojej nocnej wędrówki dotarłem

¹ Pewnego pięknego dnia ujrzymy unoszącą się nitkę dymu.

wczoraj do tej małej niegdysiejszej kawiarni. Zobaczyłem, że nic się nie zmieniła. Te same młodzieńcze twarze z moich czasów, studenci z Cité, uczący się razem do trzeciej w nocy, pory zamykania lokalu. To jasne, ubierają się trochę inaczej, muzyka, której słuchają, również jest inna. Ale twarze są te same, oczy, spojrzenia. Nie ma już szafy grającej, gdzie wrzucaliśmy monetę, aby posłuchać Ornette Colemana, *Petite fleur*, *Une valse à mille temps*, zastąpił ją magnetofon z dzisiejszą muzyką: głównie amerykańską. Obok lodówki nowy właściciel umieścił szafkę z kasetami, zostawionymi w depozyt przez studentów, którzy mogą sobie wybrać jedną z nich, włożyć do magnetofonu, stojącego na kontuarze, obok kartki z napisem Libre Service. Na niższej półce, inna kartka głosi: From the World — Du Monde Entier, i są tam taśmy z muzyką różnych krajów, przywiezione przez studentów albo przysłane im przez przyjaciół czy rodziny. Można posłuchać muzyki do afrykańskich tańców rytualnych, hinduskiej muzyki raga, strunowych instrumentów z Anatolii, zawodzenia gejsz i wszystkiego, co, na rozmaite abstrakcyjne sposoby, wymyślili ludzie, aby wyrazić swoje uczucia za pomocą dźwięków. Na najwyższej półce z kartką Section Nostalgie stoją taśmy z piosenkami naszego dzieciństwa, najbardziej nasze, te z okresu powojennego, piosenki takie jak *Le déserteur*, *Et c'est ainsi que les hommes vivent*: jednym słowem, piwnice Saint-Germain, kobiety ubrane na czarno, czerwone szaliki, kawiarniany egzystencjalizm, muzyczny

anarchizm Borisa Viana i Lea Ferré. Pomyślałem: de la musique avant toute chose. Powtórzyłem zdanie na głos. I przyszła mi na myśl Pani, Madame. To jest, ty. Nie można wypowiadać bezkarnie pewnych słów, bo słowa są rzeczywiste. Powiniennem już to wiedzieć, w moim wieku, zważywszy na wszystko, co się wydarzyło. A jednak wypowiedziałem je. Zapominając o bezkarności. A Pani, Madame, pojawiła się na balkonie w Prowansji, pamięta Pani? Jestem pewny, pamięta Pani równie dobrze jak ja, tylko z innego punktu widzenia, bo ja patrzyłem na Panią z dołu, a Pani patrzyła na mnie z góry. Czy chcemy upiększać wspomnienia? Albo fałszować je? Pamięć do tego służy. Powiedzmy, że był czerwiec. Ciepły, jak zwykle w Prowansji. Może przechodziłem przez pole lawendy, na skraju pola stał dom z surowego kamienia, obok rosło drzewo migdałowe. Pod drzewem migdałowym zaś, jak uczy chińskie przysłowie, można przypomnieć sobie cudze wspomnienia. Czy jestem chaotyczny? Tak, jestem chaotyczny. Ale Pani wie, Madame, że wszystko jest chaotyczne. Usiłuję tylko wprowadzić w ten chaos mniej lub bardziej logiczny porządek. A logika zakłada fałsz, choćby mimowolny. A zatem, proszę mnie zrozumieć. Chcę powiedzieć, że pojawiła się Pani wówczas na balkonie, quand même. Była Pani naga, tego nie może Pani nie pamiętać, podobnie jak pamiętam to ja teraz tutaj, po wszystkich tych później. Rozumie Pani? Oczywiście, że Pani rozumie. Kochaliśmy się na dworze, wśród lawendy, pod drzewem migdałowym.

Czy przejechał traktor? Może, ale bez kosiarki mechanicznej. To był długi, niespieszny uścisk, niemal bez ruchu, rozsiałem nasienie wśród lawendy. Fiołkowym kwiatem, mokrym od śliny, wytarłem Pani najtajniejszy fiołek. Wydaje się to Pani przesadne albo po prostu w złym guście? Nie ważne: miałem nie tylko koszmary, ale również pogodne wizje i satysfakcjonujące wytryski, wspañiale, wspañiale. Okna nie mają czasami okiennic, otwierają się na horyzonty szersze od rzeczywistych. Chodzi o okno w mojej głowie. Nie chcę niczego wyrzucać, wszystko to nie może ulec zniszczeniu. Powinienem był się powstrzymać? Może. Pewnie tak. Kto wie. Ale wszystko płynie i nic nie stoi w miejscu, mówił taki jeden. A zgorzkniały poeta dorzucił, przypisując te słowa ponuremu rabinowi: to prawda, synu, cudzołożyłeś, ale to było w innym kraju, a poza tym dziewczyna umarła.

I dokładnie w chwili, w której pomyślałem to wszystko, droga Przyjaciółko, zdarzył się ów nędzny cud, jeden z tych, którymi obdarowuje nas życie, abyśmy mogli przeczuć coś z tego, co się stało, z tego, co mogłoby się stać, i z tego, co mogłoby być stać. Podpowiedź, którą trzeba chwycić w lot niczym pośmiertne proroctwo zbędnej Sybilli. Oto chłopak wstaje od stolika. Patrzę na niego. Jest niski i przysadzisty. Ma żel na włosach. Wygląda na Francuza. Na pewno pochodzi z Owernii, myślę. Może nie, zresztą wszystko jedno. Idzie w stronę półek z kasetami, wkłada taśmę. I głos Treneta, łzawy, łzawiący, a przecież zdolny wzruszać, śpiewa: *Que reste-t-il de nos*

amours, que reste-t-il de nos beaux jours, une photo, une vielle photo de ma jeunesse. I dopiero wtedy spostrzegam, że na stoliku przede mną leży niebieska teczka przewiązana białą tasiemką z napisem *Forbidden Games*, otwieram ją ostrożnie i powoli, jak podczas jakiejś dawnej uroczystości, czekającej na mnie od lat. W środku jest zdjęcie nagiej kobiety na balkonie. A tą kobietą nie jest Pani, moja droga Przyjaciółko, bo to jest Isabel, lecz Pani również jest Isabel, moja droga Przyjaciółko, wie Pani o tym. To nieuniknione. Na odwrocie fotografii, drobnym i starannym pismem, które udaje mi się odczytać, jest napisany ten list, skierowany do siebie samego, do tego, który pisze, a wraz z nim, do mnie i do Pani, list bez butelki unoszącej się dotąd na falach, kto wie, w jakich otchłaniach świata, po to, by dobić w końcu tutaj, do tego brudnego stolika zastawionego kieliszkami, do tej kawiarni na peryferiach Paryża. Zrozumiałem, że muszę postąpić jak chirurg i rozciąć klatkę piersiową, moją, Pani, nie wiem, wydobyć esencję nadającą sens aortom, naczyniom krwionośnym, ciałom jamistym, ale w ramach innej biologii, nie mającej nic wspólnego z komórkami, sytuującej się w jakimś gdzie indziej, w którym nie muszą spotykać się ze sobą życie i pisanie, biografia i literatura, odnaleźć rodzaj hipermagdalenki zrobionej nie ze słów (zbyt łatwe), nie z megaherców, nie ze znaków (tylko nie to), lecz po prostu z *vive voix*, głosu, który ginie, gdy tylko przebrzmi, podobnie jak obraz umiera, gdy tylko obiektyw uczyni z niego zdjęcie.

Nie, moja droga Przyjaciółko, to nie senhal zakochanych poetów prowansalskich, ani owo niewysłowione anorektycznych filozofów, to nie lekkość, którą chcieliby zostawić potomnym, jeśli takowi się znajdują, niektórzy pisarze minionego tysiąclecia, którzy okazali się pojętymi uczniami, marnując swój talent i wyobraźnię na pisanie tekstów nadających się do podręczników narratologii. Nic z tego, vous comprenez sans doute. To chmury, moja droga Przyjaciółko, w ich nowoczesnym znaczeniu, oczywiście. Chmury zakrywające coraz szczelniej tarczę księżyca, oddalającego się nieustannie, chociaż wbili w niego chorągiewkę jak wykałaczkę w koktajlową oliwkę. Bo to niebo jest coraz niższe. A zatem, avec un ciel si bas qu'un canal s'est pendu, znaleźliśmy się ponownie w Dziale Nostalgii, ale jeśli kanały mogą się powiesić, to connards niestety nie, nigdy, otaczają nas ze wszystkich stron. Niech Pani nie interpretuje tych moich nędznych majaczeń, bardzo proszę, jako deklaracji poetyki. Proszę już raczej interpretować je w sensie egzystencjalnym. Lub wręcz fe-no-me-no-lo-gicz-nym. Bo pisarz jest wrażliwcem, a reszta to chmury. Okrucieństwo, Oczywiście, Politically Correct, Operacje Plastyczne, Cynizm. I na dodatek -ologowie, wszyscy możliwi i wyobrażalni -ologowie. I skrucha, i raz jeszcze skrucha, tak czy owak, klęczenia na grochu już się nie stosuje, poproszę gorącą mea culpa z mlekiem. C'est chiant, Madame, proszę mi wierzyć. A tu pojawia się Nauka, dzięki której Rozszczepiacze wykrzyknęli swoje eureka: Hiroszima, mon

petit champignon! Dla tych, co przeżyli, poparzenia, nieodwracalne zmiany genetyczne, wszelkiego rodzaju nowotwory, moja droga Przyjaciółko. I tylu, tylu connards. I masy obojętnych. Streszczając: cyklon B, radioaktywność i drut kolczasty, jak wyraził się ktoś, kto wie, o czym mówi. Trudno uznać to za du pistou, nie sądzi Pani? A tu tymczasem lekkość! niczym oszczepnik biegnący boso po łące Olimpii. Parbleu, quelle élégance. Albo: Życie, Życie zalecane przez Białoubranego z jego okna (ileż balkonów, ileż okien w tej historii, zauważyła Pani, Madame?) No tak, ale czyje życie? I przy zastosowaniu jakich zręcznych wybiegów? A gdybyśmy się ograniczyli do rozsiewania nasienia wśród lawendy, czy to nie byłby również jakiś wybieg, powiedzmy, rozprawa o metodzie? Proszę dostrzec w tym dwojaki znaczenie, metaforę oddającą sposób, w jaki ktoś taki jak ja może pojmować siebie samego: na przykład sens pisania. A tymczasem Pani, droga Przyjaciółko, zadająca się z piszącymi marne książki starymi pisarzami, których czuje się Pani współniczką (albo oni Pani współnikami), być może dowie się, jak funkcjonuje intryga, czym są struktury narracyjne, to, o czym Pani sądzi, że jest literaturą, czy jesteśmy auto- czy heterodiegetyczni? Trzeba koniecznie rozwikłać tę trudną kwestię. Jednym słowem, czym jest powieść, zostawiam Pani jej próbkę w tej nie-butelce, powiedzmy, powieść hipotetyczną, drobnostkę w stylu zrób-to-sam, której może się Pani stać także autorką, wypełniając puste miejsca pośród wielokropków, jak na rysunkach

w niektórych pismach z łamigłówkami, służącymi do zabijania czasu.

Robię krok do tyłu. Tymczasem wyszedłem już na zimne paryskie powietrze. Świt (nie siny) rozjaśnił ogrody Cité Universitaire. Byłem oszołomiony, rzekłbym zdezorientowany, i trzymałem w ręce ów list, znaleziony w nie-butelce, który teraz dla Pani przepisuję:

„Cela aurait été beau que tu gagnes la partie. Tu jouais dans la cour d'une maison pauvre, en été, tu te souviens? ou non, plutôt à l'arrière printemps, et ce vert, tout ce vert alentour, tu te souviens? La fontaine communale était en fonte, verte elle aussi, avec un robinet en cuivre. *Anciennes Fonderies* c'était encore inscrit avec les armoiries royales. Un broc, une femme nue sur le balcon, elle aurait voulu te parler, si elle avait pu, mais elle était une image de toujours et le toujours n'a pas de voix. Tu passais par là, ignare comme tous les passants. Tu traversais quelque chose sans savoir quoi. Et ainsi tu t'en allais, petit à petit, vers un ailleurs. Il devait bien y avoir un ailleurs, pensais-tu. Mais était-ce vrai? Étranger, toi aussi, dans l'ailleurs. Les nuages, les nuages qui changent sans cesse de forme, roulent dans le ciel. Et voyagent sans boussole. Étoile polaire, Croix du Sud. Allez, suivons les nuages. Engageons la partie avec les nuages, acceptons le défi, par exemple: comment se dispute ce jeu? Nimbus, cirrus, cumulus: ce sont les joueurs que présente l'équipe adverse. Voilà le premier qui arrive. Avec lui ce

fut un âpre duel. Ah! Les moulinets que tu faisais avec ton sabre. Illustre chevalier qui participa à la joute, ton courage fut sans pareil, et inégalable ta bravoure, magnifique ta générosité à défendre des nobles idéaux. Tu coupas les jambes du féroce nimbus qui lançait des tonnerres et des éclairs. Tu fis tourner comme une balle folle le cumulus rond qui adaptait à tout sa rotondité. Et le grand cirrus, tellement fier de sa «cirrité» et dont la crème chantilly masquait le néant, il prit la fuite au loin. Noble chevalier, quel combat! Et tout cela sans armure. Puis tu t'en allas vers d'autres ailleurs, fragile mais fort, solide comme un roc et pourtant en équilibre précaire. Voyages par des sentiers qui bifurquent, chemins de Saint-Jacques-de-Compostelle, mers jamais naviguées auparavant, elle était légère, ta pierre chancelante, chevalier sans tache et sans peur, avec toutes les peurs du monde et toutes les taches solaires.

Jusqu'au moment où le voyage d'aller devint celui du retour.

Cela aurait été beau que tu gagnes la partie, dit le tzigane aveugle. Mais moi, je ne chante pas le futur, sois tranquille, dans le journal de ce matin un acteur très connu dit qu'il est vieux et s'en vante, la patrie en tant que patrie même si elle est ingrate nous fascine et nous devons l'aimer (lettre non signée), si tu réponds à la question la plus difficile du Grand Concours et si tu maîtrises avec sûreté les événements en réussissant à devenir le point de référence de tout et de toi-même, tu gagnes vingt-huit points et un voyage à Zanzibar et,

en outre, du moins pour cette semaine, l'influence positive d'Uranus te rend inhabituellement prudent, en t'évitant le péril de nourrir d'inutiles illusions. Si tu veux au contraire connaître les prédictions de ton horoscope, je te le vends pour deux sous, c'est un horoscope échu, tu peux le lire à l'envers jusqu'à l'époque où tu jouais dans la cour d'une maison pauvre. C'était en été, tu te souviens? Sur le banc d'une gare, le ballon oublié par un enfant flotte et la femme au balcon a fermé la fenêtre".¹

¹ Byłoby pięknie, gdybyś wygrał w tej grze. Bawiłeś się na podwórku biednego domu, latem, pamiętasz? a może nie, pod koniec wiosny, i ta zielen. Cała ta zielen wokół, pamiętasz? Fontanna miejska była z kutego żelaza, również zielona, z miedzianym kurkiem, widać było jeszcze napis *Anciennes Fonderies* i królewskie godło. Dzban, naga kobieta na balkonie, chciałaby do ciebie przemówić, gdyby tylko mogła, ale była jedynie obrazem zawsze, a zawsze nie ma głosu. Przechodziłeś tam, o niczym nie wiedząc, jak wszyscy przechodnie. Przechodziłeś przez coś, nie wiedząc, co to takiego. Oddalałeś się więc pomalu ku jakiemuś gdzie indziej. Musiało przecież istnieć jakieś gdzie indziej, myślałeś. Ale czy to prawda? Ty także byłeś obcym w gdzie indziej. Chmury, chmury zmieniające nieustannie kształt, krążą po niebie. I podróżują bez busoli. Gwiazda Polarna. Krzyż Południa. Idźmy w ślad za chmurami. Zacznijmy grę z chmurami, podejmiemy wyzwanie: na przykład, na czym polega ta gra? Nimbus, cirrus, cumulus: gracze wystawieni przez drużynę przeciwnika. Oto pojawia się pierwszy z nich. To był ciężki pojedynek. Ach, jakie młynki wykręcałeś szablą. Znakomity rycerzu, który stanąłeś do turnieju, twoja odwaga nie miała sobie równych i niespotykane było twoje męstwo, imponująca wielkoduszność w obronie szlacheckich ideałów. Obciąłeś nogi okrutnemu nimbusowi, posyłającemu pioruny i grzmoty. Kopnąłeś niczym oszalała piłkę okrągłego cumulusa, dopasowującego do każdej rzeczy własną okrągłość. A wielki cirrus, tak dumny ze swojej

Moja droga Przyjaciółko, chciałbym wyznaczyć Pani spotkanie w innej kawiarni, nie w tej, bezsensownej, gdzie daremnie czekaliśmy na siebie. Nie wiem jednak, gdzie jej szukać. Obawiam się, że bardziej niż o zwykłą kawiarnię chodzi o Kawiarnię dużą literą, wieczny i niezmienny obraz, rodzaj idei platońskiej. Kawiarnię, gdzie nie podają

„cirrusowości”, ukrywający pod bitą śmietaną własną nicość, rzucił się do ucieczki, w dal. Szlachetny rycerzu, cóż to była za bitwa! I w dodatku bez broni. Potem odszedłeś ku innym gdzie indziej, kruchy, lecz silny, mocny jak skała, a jednak w chwiejnej równowadze. Podróże po rozgałęziających się ścieżkach, drogi do Santiago de Compostela, morza, po których nikt jeszcze nie żeglował, jakże lekka była twoja chwiejna skała, rycerzu bez zmazy i skazy, obarczony wszelkimi zmazami świata i wszelkimi skazami na słońcu.

Aż do chwili, kiedy podróż w jedną stronę przemieniła się w podróż powrotną.

Byłoby pięknie, gdybyś wygrał w tej grze, rzekł ślepy Cygan. Ale ja nie mówię o przyszłości, nie obawiaj się, w dzisiejszej porannej gazecie pewien słynny aktor powiada, że jest stary i że napawa go to dumą, ojczyzna sama w sobie, chociaż niewdzięczna, fascynuje nas i musimy ją kochać (list nie podpisany), jeśli odpowiesz na najtrudniejsze pytanie w Wielkim Konkursie, zapanujesz nad biegiem wydarzeń, zdołasz stać się oparciem dla wszystkich i dla siebie samego, wygrasz dwadzieścia osiem punktów oraz podróż do Zanzibaru, a w dodatku, przynajmniej w tym tygodniu, pozytywny wpływ Uranu skłoni cię, wbrew twojej naturze, do zachowania ostrożności, dzięki czemu nie będziesz żywił daremnych złudzeń. Jeśli natomiast chcesz się dowiedzieć, co przewiduje twój horoskop, sprzedam ci go za dwa grosze, jego ważność już minęła, możesz go przeczytać od końca aż do czasu, kiedy bawiłeś się na podwórku biednego domu. Było lato, pamiętasz? Na dworcowej ławce kolebie się porzucona przez dziecko piłka, a naga kobieta na balkonie zamknęła okno.

kawy. To prawda: nikt nie będzie mógł nam nigdy zabrać tego, co przeżyliśmy, szczególnie jeśli poszukiwaliśmy szczelin w bycie. Zastanawiam się jednak: po co szukać ich aż tak usilnie? Może po to, żeby znaleźć *Enjambements* smętnego wierszoklety Aristide'a Duponta, niezmordowanego kontynuatora pikardyjskiej szkoły poetyckiej. A więc, nogi za pas! Wędrując od szczeliny do szczeliny można dożyć zasłużonej emerytury, czekającej na kogoś, kto pełni Publiczną Służbę. A co do cytatów, przyznany nam czas, podobnie jak życie, minął: byliśmy postmodernistami w ubiegłym stuleciu. A propos, tamtego wieczoru, o którym Pani mówiłam, ja także chciałem z kolei nastawić kasetę z piosenką, która wydawała mi się stosowna do okazji, a jej refren brzmi tak: „Gdzie idziesz Gigolette z twoim Gigolò, skończył się walczyk java, który tańczyliśmy tyle lat temu”. Nie miałem jej jednak przy sobie, a teraz właściciel chce już zamykać, muzycy odkładają instrumenty. Zaspiewam ją Pani bez akompaniamentu, jak robiłem to kiedyś.

Żegnaj, droga Przyjaciółko, albo raczej, do zobaczenia w innym życiu, które z pewnością nie będzie naszym. Bo zabawy z rzeczywistością, jak wiadomo, są zabronione, co miało się stać, już się stało. A przecież nasz Stan Obecny narzuca nam nic nie znaczącą, choć niepojętą *Forbidden Game*.

KRAŻENIE KRWI

Moja ukochana Hemoglobino,
upodobnić się do księżycy można jedynie wskutek całkowitego wykrwawienia się, to znaczy totalnego, ostatecznego upuszczenia krwi. Taką zasadę przekazali nam Starożytni, którzy tłumaczyli bezkrwistością księżycową błądź. Krąży w nim, głosi presokratejski fragment, tylko biała limfa, to jest zimna materia. Stąd oczywiście Prozerpina, królowa podziemnego świata, i wszelkie konsekwencje względem pojęcia życie/śmierć. A zatem błądź i kolor, światło i cień, dźwięk i cisza. Milcząca jest bowiem luna i bez dyftongu, rzekł ktoś, kto wiedział, i to „y” w brakującym dyftongu jest niczym długa, melancholijna nuta, niemal lament, przyprawiający o dreszcze.

Cóż to za przywilej, moja ukochana Hemoglobino, rozmawiać z Panią o księżycu. Nie tylko dlatego, że jest Pani konowalem, zajmującym się ludzką krwią, ale dlatego, że jest moim lekarzem krwi, Pani, która zdołała niegdyś przyspieszyć bicie mego serca, i to jego odruch każe napisać mi list i przesłać go Pani, bo kocha mnie Pani albo kochała, bo ja Panią kocham albo kochałem, mogę więc z Pa-

nią rozmawiać o krążeniu krwi jak z nikim innym. A w dodatku, jako hematolog, zna Pani dobrze również białe krwinki, a więc nie tylko czerwień rozpalającą policzki w chwilach namiętności, ale i bladość pojawiającą się na naszej twarzy, kiedy Nasza-Pani-Luna zsyła lodowaty promień swojej melancholii. Ale jak można nie kochać księżycy? Doprawdy, na jego obliczu odmalowuje się wieczność, bo nikomu nie jest obiecanie jutro, jak naucza starożytny Pers, wypijmy za księżycową poświatę, o słodki księżycu, bo księżyc będzie świecił jeszcze długo, kiedy przestanie już nas dostrzegać na ziemi.

Wie Pani, zrobiłem sobie kiedyś badanie głowy. Skłoniła mnie do tego zbyt pracowita arteria, pompująca do głowy nadmiar krwi, który powodował złe samopoczucie, nieznośne wręcz bóle. Lekarz przesuwiał mi po szyi, karku i skroniach czymś w rodzaju komputerowej myszy, a jednocześnie zerkał na monitor, na który też mogłem rzucić okiem. Na monitorze ujrzałem wyraźnie to, o czym medycyna nie ma pojęcia, ujrzałem przypływy i odpływy spowodowane przez księżyc, fale, kiedy ocean w naszej głowie burzy się, zimny wiatr z północy i ciepły wiatr z południa, sirocco wewnątrz czaszki, wydawało mi się, że czuję słonawy zapach, kiedy moja powierzchnia morską marszczyła się, powodując słone bóle głowy, sól schodząca od skroni do podniebienia ma smak utraconego dzieciństwa, wieku dorastania, na który składają się nuda i daremne miłości, życia przeżywanego jak leci, to znaczy bez sensu, bo to, co

przeżywa się jak leci, jest zawsze bez sensu, skoro ty nie potrafisz nadać temu wszystkiemu sensu. Ale kiedy spadnie oczyszczający deszcz? Wodo, kiedy na nas spłyniesz? Piorunie, kiedy uderzysz? Och, trudno powiedzieć, moja ukochana Hemoglobino. Dlatego nie ma innego lekarstwa poza uregulowaniem własnego krążenia krwi. Jak jednak połapać się w krążeniu krwi, moja droga, czuła, ukochana Hemoglobino? Andrea Cisalpino, wie Pani lepiej ode mnie, odkrył kierunek krążenia w połowie XVI wieku, zna Pani jego *Quaestionum peripateticarum*: żyły napelniają się zawsze poniżej, nigdy ponad swymi rozgałęzieniami. A zatem podobnie jest z życiem: zawsze poniżej tego, co się dzieje, zawsze poniżej siebie samego. Cisalpino wykładał na Uniwersytecie w Pizie, ulubionym mieście tego lunatyka cierpiącego na melancholię i zimnicę, który w strachu przed chłodem przykrywał się materacem. To właśnie w tym mieście zrozumiał on Cisalpina; nawet go nie czytając, to znaczy, że żyły doprowadzają krew do serca, a nie odwrotnie, jak sądził Galen i Starożytni i to właśnie dlatego, w Pizie, serce owego lunatyka odrodziło się i zaczęło ponownie bić, jak nie biło już od dawna. Zefir poruszył chore powietrze, on zaś poczuł, jak ożywają w nim dawne złudzenia. Kiedy jednak złudzenia nie mogą już ożyć i nastaje siny świt, a pod twoim oknem ruch uliczny przemienia się z nocnego w dzienny, ulica lśni od deszczu, a tarcza księżycy nie opuszcza ram okiennych, nie dlatego, żeby chciał on zająć, lecz dlatego, że może już wzeszedł, chwila wydaje

się sprzyjać chęci położenia kresu poczciwej hydraulicznej odkrytej przez Cisalpina, pragniemy wtedy, aby serce, uważające się za główną pompę tego, co nazywamy życiem, zapomniało o własnej arogancji. Trzeba więc studiować dokładnie krążenie krwi. Nawet jeśli wydaje się to mało ważne, choćby tylko w tym celu, żeby udekorować różnymi płatkami białe majolikowe płytki na podłodze: plum, plum, chociaż chyba bardziej zgodne z rzeczywistością byłoby gl... pl... bl, bo również chore fontanny płaczą czasami na czerwono. Ach, za dużo w tym wszystkim literatury, i na świecie, i w życiu, dość! ograniczmy się do Nauki, ta jest przynajmniej pewna, nie myli się ani o milimetr. Nauka jest nauką ścisłą, to nie literatura, która jest taka mętna, cała jest z mętności. Fontanna nauki, na przykład, w przeciwieństwie do tej ze słów, pozostaje posłuszna nieuchronnym prawom hydrauliki. Jeśli odkręcisz kran, skoro system krążenia fontanny działa z góry na dół, od środka na obrzeża i z powrotem, kran zaś zainstalujesz poniżej miejsca zbierania się płynu, możesz być pewny, że wypłynie on z przewodu. Jednakże, moja ukochana Hemoglobino, chcę zadać Pani teraz zasadnicze pytanie, które brzmi, jak następuje: dlaczego przyroda, zamiast otworzyć inne naczynia na przepływ krwi, wykluczyła całkowicie taki przepływ u płodu? Zdaję sobie sprawę, że tak zadane pytanie jest nieco od rzeczy. Ale spróbuję wyrazić się jaśniej, zaczynając od pieca, jak to się mówi. A zatem: „W przypadku płodu, skoro płuca nie funkcjonują i jest tak, jakby ich wcale nie było, przyro-

da posługuje się dwiema komorami, aby krew mogła krążyć, i układ jest taki sam u płodów mających płuca, lecz nie czyniących z nich użytku, skoro nie oddychają, jak u płodów niżej stojących zwierząt bez płuc. Dowodzi to ponad wszelką wątpliwość, że skurcze serca pozwalają krążyć krwi od żyły czczej do aorty: drogi przepływu są równie szerokie, a przepływ równie łatwy jak w przypadku dorosłego, którego obie komory połączyłyby się ze sobą na skutek usunięcia przegrody. U większości zwierząt, u wszystkich zwierząt w pewnym wieku, te drogi przepływu są otwarte i umożliwiają krążenie krwi poprzez komory. Dlaczego więc sądzimy, że u niektórych zwierząt ciepłokrwistych (również u człowieka), kiedy osiągną wiek dorosły, krew nie krąży poprzez komory, jak zdarza się to u płodu dzięki niezbędnej anastomozie, skoro krew nie może przepłynąć przez nie służące do niczego płuca? Jak może być bardziej korzystne, żeby w wieku dorastania przyroda (a tylko ona wie, co jest bardziej korzystne dla całej reszty) zatrzymała ten przepływ, podczas gdy u płodu ludzkiego i u wszystkich zwierząt występuje on powszechnie? I dlaczego przyroda, zamiast otworzyć inne naczynia na przepływ krwi, uniemożliwiła go całkowicie u płodu?”

Musi Pani zrozumieć, że stawiam ten problem nie tylko dlatego, że przyjąłem w tej chwili pozycję embrionalną, która wydała mi się najdogodniejsza i, jeśli można tak powiedzieć, obronna, a w dodatku idealnie nadająca się do tego, aby powrócić do brzucha ziemi, skąd wyszliśmy; nie bez

powodu w cywilizacji minojskiej grzebano zmarłych w takiej właśnie pozycji: kolana podciągnięte pod brodę i ramiona obejmujące podkurczone nogi, ciało gotowe do skoku, jak tylko pojawi się wieczność, której trzeba stawić czoło z niezbędną energią, bo to przecież nie byle co; mówię o tym Pani przede wszystkim dlatego, że, aby starannie się przygotować, poszedłem do biblioteki po dzieło Williama Harveya *De motu cordis*, wydane w 1628 roku, jego pełny tytuł brzmi: *Exercitatio anatomica de motu cordis et sanguinis in animalibus*. Pani, droga Hemoglobino, nie wyda się to dziwne, ale ja osłupiałem, dowiadując się, że trzeba było czekać aż do roku 1628, aby ludzie poznali dokładnie mechanizmy, za pomocą których mięsień sercowy pompuje ten dziwny, czerwony płyn krążący w ciałach i stanowiący niezbędne pożywienie ich życia.

Jest Pani słynnym hematologiem, moja ukochana Hemoglobino (proszę wybaczyć, jeśli upieram się tak Panią nazywać, jak w czasach, kiedy byliśmy studentami), podejrzewam jednak, że w Pani czystym laboratorium, pod Pani nieomylnym mikroskopem, na wysterylizowanych płytkach, pozostawionych we właściwej temperaturze w Pani ascetycznych gablotkach, postać Williama Harveya nigdy nie została doceniona. Więc przedstawiam go Pani w tym moim liście, który dojdzie jutro, teraz, kiedy płomienna niegdyś barwa pory roku osiągnęła prawdopodobnie kolor liści rośliny pnącej się wokół okna Pani przepięknego gabinetu; minęły płomienie jesieni na liściach drzew, liście

pożółkły i spadają na płask. Płask, płask, pretty, pretty, szeptaliśmy ukryci pod kołdrą, mrokiem i materacem, jakie tam słońce i stal! A ja kim byłem? Ależ partyzantem Johnnym, urodziwym partyzantem. Na co patrzysz, mój piękny partyzancie, na co patrzysz, mój piękny partyzancie; patrzę na twoją córkę, zabiorę ją z sobą w góry. I jazda, biegiem, ale przecież partyzanci również się starzeją, jeśli nie umrą młodo, jak partyzant Johnny. Albo jak Marilyn. Proszę pomyśleć, gdyby Marilyn nie umarła taka młoda i piękna, byłaby dzisiaj stara i brzydka i któż by się nią zajmował? Czy bawię się słowami? No cóż, bawię się słowami. Lubię zabawę słowami, czyli kalambury. Bury, bury, tutaj wszystko jest bure, każde słowo ścieka na podłogę, rozpryskuje się, przemienia w dziwną kulistą gwiazdę, cóż za dziwne brzegi ma to słowo rozprysnięte na podłodze, wygląda jak fraktal, bo jest potrzaskane, biedactwo, to frakcja nas samych, która rozbija się, jak rozbijają się fale na plaży, będące zresztą drobną frakcją rozległego morza. I monotonna, przede wszystkim monotonna, zgodzi się Pani? Tak jak monotonna jest ten nieustający deszcz, klap, klap, zupełnie jakby klaskał Kaczor Donald. A co robi kropla? co robi kropla? Cavat lapidem, oto, co robi, dlatego wymyślono rynnę, ważne, żeby nie zmoknąć, bo w przeciwnym razie możesz tylko otrząsnąć się jak pies. Pytanie: czy można strząsnąć z siebie życie? Na przykład wczoraj spotkałem Natalina, powinien stać się człowiekiem do wielkich zadań, ale wszyscy nazywają go zdrobniale Talino. I on wiedział, że jest

Talinem, nie nadającym się do wielkich zadań, był źdźbłem trawy na wietrze, gałązką drzącą w pierwszym podmuchu życia. Biedny Talino! powtarzaliśmy. Ale żebyś wiedziała, co się z nim stało; zmienił się nie do poznania. Przedtem muszę ci jednak opowiedzieć, gdzie na niego trafiłem, to jest, gdzie sam trafiłem. Leżałem pod drzewem, ogromnym drzewem. To było w wiejskim gospodarstwie, prawdopodobnie gdzieś na Półwyspie Iberyjskim, chociaż tam nie mówi się „gospodarstwo”. Więc jak mam mówić, „posiadłość”? Niech i tak będzie, może to słowo bardziej się Pani spodobą. Tak czy owak, było to piękne miejsce, określiłbym je jako sielankowe. Więcej, arkadyjskie. Bo trwało lato (proszę się nie dziwić, wczoraj trwało lato), raczej koniec lata, ponieważ kiście winogron z pnących się tutaj winnic zaczynają już dojrzewać. A z tych kiści robi się doprawdy znakomite wino. Rosso? verde? verdicchio? Werdykt. Słusznie, proszę Pani, wyrok jest sprawiedliwy, panie sędzio. Sąd przysięgłych zaaprobował, niech będzie „posiadłość”, a może nawet, wie Pani co? wieś. Tak, byłem na „wsi”, chociaż nie mogę powiedzieć na „mojej” wsi, bo kiedy doda się zaimek dzierżawczy, brzmi na ogół lepiej, wtedy tak zwana wieś oznacza właśnie posiadłość. Wylegiwałem się jak Titiro i czułem się szczęśliwy, ponieważ na skraju łąki płynął strumyk, słyszałem jego plusk wśród sitowia. Trochę dalej było okrągłe klepisko z pięknego, surowego i gładkiego kamienia, bo przez wieki wygładzały go bose stopy chłopów i żerdzie do podpierania kolb kukurydzianych.

Obok klepiska duży spichlerz z dachem pokrytym trawą, jakie można zobaczyć w Kantabrii. I wśród wiejskiej ciszy, przerywanej rechotem żab i cykaniem koników polnych, bo tym powinny się zajmować żaby i koniki polne, pod majestatycznym dębem, moje ciało poczuło, że ogarnia je niezwykajny spokój, ledwo zdążyłem pomyśleć: ach, co za spokój, a już otworzyłem oczy i zauważyłem, że to potężne drzewo było Natalinem. Natalino! Natalino! zawołałem, zmieniłeś się w drzewo, stałeś się dębem, nic nikomu nie mówiąc, nawet Owidiusz by tego nie wymyślił, drogi mój Natalino, jestem szczęśliwy, że przemieniłeś się w drzewo i to jakie! Natalino uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, jak czynił to, kiedy graliśmy w karty, jego uśmieszku nie rozumiał nikt oprócz mnie, bo w briskolę graliśmy zawsze w parze. Może powinienem jednak przewidzieć, że staniesz się drzewem, powiedziałem, musiałem to pojąć już wcześniej, nie bez powodu zażądałeś dębowej trumny i jak pięknie się na tobie prezentowała, tamtego dnia, kiedy odprowadzaliśmy cię, a orkiestra grała chór z *Nabucco*, ktoś próbował nawet osłonić cię parasolem, ale ja powiedziałem: daj spokój, głupcze, nie widzisz, że Natalino jest z dębu? I wie Pani, moja droga, co zrobił Natalino? Coś nieopisanego. Zaczął poruszać wszystkimi liśćmi, zaczęły drzeć jedne po drugich niczym instrumenty grające nieznaną muzykę, i jakże wydało mi się słuszne spoglądać nań z dołu do góry, kiedy wszyscy patrzyli zawsze na niego z góry, i widzieć, jak wprawiały go w drzenie przyjaźń i radość ze spotka-

nia ze mną w jego rozegłym, opiekuńczym cieniu. Trudno mi opisać Pani koncert, jaki Natalino urządził na swoich liściach, przypominało to trochę dzień, kiedy poszliśmy na plażę we wrześniu, nie było już nikogo, pozostał tylko mistral, poruszający trzciniami na daszku, pod którym jedliśmy i kochaliśmy się.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że jestem tutaj, że jest może sobota, typowa sobota na wsi, chociaż dalej szumi miasto, ogromne miasto, a jutro godziny nie przyniosą smutku ani nudy, bo pomyślałem o krążeniu krwi i o tym, jak pulsuje ona w naszym wnętrzu, regularnie, cierpliwie, całymi latami i że trzeba przerwać raz a dobrze ten oddech bratający nas wszystkich z sobą w kosmicznym tchnieniu, tam i z powrotem, tam i z powrotem, jego odwieczną monotonię odmierzającą bezsens. Postanowiłem więc przedsięwziąć odpowiednie środki, mające na celu wyeliminowanie owego metronomu, odmierzającego rytm odwiecznego baletu. Uff. Ponieważ, jak ktoś powiedział, człowiek, którym jesteśmy, nie został stworzony, aby żyć z mózgiem i dodatkowymi organami: szpikiem, sercem, płucami, woreczkiem żółciowym, narządami płciowymi i żołądkiem, nie został stworzony, aby żyć z krążeniem krwi.

Wiem, że zrywam umowę. Nie zobaczymy się więcej, tak zostało ustalone, a pisać możemy do siebie tylko w przypadku absolutnej konieczności, jak zgodziliśmy się w umowie, którą Pani zredagowała, a podpisaliśmy oboje.

To prawda, że nie jestem w sytuacji absolutnej

konieczności, bo mam ją już za sobą i nie zdąży Pani przybyć na czas. Odczuwam jedynie absolutną konieczność napisania do Pani tego listu. Zostawiam Pani wybór pomiędzy trzema przyczynami. Pierwsza: nie lubię odchodzić w milczeniu. Druga: nie chce mi się pisać do tej, do której powinienem napisać. Trzecia: przyśnił mi się Talino. Którą wybierasz?

Zauroczone były zmysły, o moja szlachetna pani, jego dłoń, niczym sierp księżycy, poruszała się w twojej czuprynce. Zręczna jest jego dłoń: nawykła do macania wnętrzości zabitych jagniąt, palcami w rękawiczce, delikatnymi jak wiatr, zszywa, konserwuje albo powierza Wieczności.

Rozdaję jedynie role, o moja szlachetna pani, dyrektor tego żalostnego teatru mianował mnie dzisiaj dyrygentem. W tej marnej operze, skleconej z odpadów, nędznych fantazji, wypocin, tęsknot, żalów i wzruszeń, to ja mam zadbać o muzykę, scenografię, orkiestrę, chór i wykonawców. Proszę cię, nie sprzeciwiaj się, nikt nie może się sprzeciwiać, musisz się poddać, ty jesteś Normą, taką Normą, jakiej chcę. Daj spokój, proszę cię, nie protestuj, obiecuję, że to będzie pastisz całkiem w twoim guście. Będziemy mieć rzadko słońce, reszta to deszcz, który w nas wsiąka, bo deszcz w nas wsiąka, o moja szlachetna pani, nasącza kości, z kości przenika do duszy, niczym wilgoć, która pomалу osadza pleśń na ścianach i siwiznę na ludzkich głowach, ale patrz i ciesz się: teraz nie ma deszczu. Jest zima i pada śnieg, a wokół górskiego

schroniska wiruje śnieżycą. Czy zdołasz coś zobaczyć przez okienko o zaparowanych szybach, wychodzące na dolinę? Ja nie. Śnieżycą tworzy gęstą i szarą mgłę, przytłaczającą. Och, tak, z pewnością, wolałabyś jasne światło, które pozwoliłoby ci dostrzec wyraźnie na śniegu ślady wszystkich twoich kroków, jakie zrobiłaś w ciągu całego życia, aby tutaj się znaleźć. Nie da się jednak ich zobaczyć, ale w gruncie rzeczy, cóż to ma za znaczenie, skoro tak tutaj dobrze, w ciepłe? A cóż można robić w ciepłe schroniska, które los nam podarowuje, podczas gdy na dworze szaleje burza śnieżna? Może pije się wrzący rosół z kubka? Nie, nie pozwalałam ci, nie wypada. Te dwa straszliwe słowa i ten melodramat ledwo naszkicowany, w którym nie zaczęły się jeszcze jego najstraszliwsze części, jeśli takie będą. Spróbujmy na razie zachować minimum elegancji: w ciepłe schroniska, które los ci podarował, podczas gdy na dworze wiruje śnieg, pije się filizankę *consommé*, tak należy się wyrażać. Za tobą nieruchoma postać, w mroku, oparta o stół. Biała szata i ponury wygląd sugerują Kapłana: Wielkiego Kapłana, rządzącego druidycznym plemieniem za pomocą swoich magicznych sztuczek: *laudanum*, igieł, morfiny. Tak, to człowiek, który składa ofiary na gładkich kamieniach dolmenów, rozpruwa brzuchy kozłów i rozrzuca wnętrzości na wiatr. On również, w półmroku, podniósł kubek z rosółem, jak podczas jakiejś tajemnej biesiady. Ale uwaga! wschodzi księżyc, unieśmy filizanki! Za okienkiem, zaparowanym z powodu oddechów i cierpkiego zapachu potu,

Casta Diva zwraca ku wam swoje piękne oblicze, bezchmurne i nieosłonięte. Kapłan, jak mówiłem, jakby się zablokował. Nieruchomy w mroku, z twarzą okoloną tak czarną, że aż niebieską brodą, która ocienia jego policzki niczym czarne skrzydło, z wąskich warg kilka kropli rosołu skapuje na białą szatę. Gdybym mógł, o Normo, kazałbym ci zaśpiewać „Ach, wytrzymaj z warg consommé”. Ale to za wiele, nawet jak na taką operę. Na razie, nic nie wycieraj i pij swój rosół w schronisku osaczonym przez zawieruchę. Ja, który przygotowałem ten rodzaj opery, jak przygotowuje się jakiś obłądny proces, nie chciałbym, żeby to wszystko przypominało uczenie mrówek, jak działa liczydło: wolę powierzyć spektakl prawdziwemu reżyserowi, jednemu z tych, którzy robią to zawodowo, doświadczonych, takich, co nie patrzą nikomu na usta, czy jest tam rosół czy consommé. Przekazuję więc pałeczkę i wycofuję się za kulisy.

★ ★ ★

„Szanowna Pani, jak pewnie Pani wiadomo, dyrektor teatru powierzył mi dyrygowanie tą operą, w której jest Pani główną wykonawczynią. Nie będzie miała Pani chyba do mnie pretensji, jeśli pokieruję akcją, tak jak mi się spodoba, improwizując zgodnie z sytuacją, okolicznościami, czasem. Improwizacja, jak Pani wie, opiera się na intuicji jako formie poznania, na szybkości rozumienia, na domniemaniu i na zwarciu. Od Pani wymagam całkowitego posłuszeństwa, szybkiego wykony-

wania każdego mojego polecenia, wysiłku strun głosowych, których Pani nie brakuje, zwinności ruchów ciała, całkowitego bezruchu, kiedy bezruch jest konieczny, co uda się Pani z pewnością dzięki znanym Jej technikom wschodnim. Czy można zachować młodość, nie opuszczając przez resztę życia łóżka ze świerkowego drewna? Taką kuszącą teorię wysunęła «Gwiazda Komety», prestiżowe czasopismo ezoteryczne, według którego nóż chirurgiczny musi zagłębić się w zmarłym, aby móc go obudzić, ale to ryzykowne wbijać skalpel w trupy: zmarłego ożywia metal, budzi się, krzyczy przerażająco w nocy. Taki musi być Pani śpiew w tym spektaklu, szanowna Pani: jak przerażający krzyk zmarłego, przebudzonego skalpelem. Ma Pani do tego wszelkie warunki głosowe i tego od Pani wymagam”.

Mężczyzna, który napisał te słowa, wziął leżącą na pulpicie batutę i wykonał lekki ruch w powietrzu, jakby przyzywał odległą muzykę, skłaniał widoczny fortepian do zagrania nokturnu. I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozległ się w dali szmer klawiatury, światła przygasły i w tle zaczęła się pojawiać scenografia, odmienna od brudnego, zaparowanego okienka, przez które wygląda Casta Diva. Błękitne płótno oprawione w ramę, rodzaj ogromnego okna na całą scenę, dzięki czemu, jak na niektórych obrazach Magritte’a, część zewnętrzna zdaje się wdzierać do środka i unicestwiać go. I rzeczywiście, środek zniknął w oka-

mgnieniu, materia rozwiała się w błękitie niczym dym z papierosa i pozostało tylko powietrze, wielka przestrzeń o kulistym horyzoncie, pustka zdolna pomieścić jakiegokolwiek ciało, jakąkolwiek sytuację, jakąkolwiek akcję i ruch, wykonywane przez zbiory atomów i komórek. Czubkiem batuty mężczyzna zahaczył o księżyc i ściągnął go aż na środek błękitu, ogromnego okna, które zdążyło już wessać wszystkie inne ciała fizyczne, wypełniające przestrzeń. Jakże dziwna jest batuta dyrygenta, którą mężczyzna porusza w powietrzu, przypomina pióro wędrujące po magicznej tablicy i zapisujące swoje nuty w przestrzeni! To nie Mistrz poruszał batutą, lecz może jakiś iluzjonista, cyrkowiec, który trafił tutaj przypadkiem, albo ktoś, kto za pomocą dziwnej sztuczki umie przemienić nuty w widzialne znaki w powietrzu i nadać im dowolne barwy. Dotknął ponownie *Casta Diva*, która z żółtawej plamy dopiero co weszłego księżyca przemieniła się w siną, jak wtedy, gdy zapowiada trzęsienie ziemi, sztormy, katastrofy grożące ludziom. Czułe było jej oblicze, niczym żałobnej *Prozerpiny*, żyjącej jedynie w świecie podziemnym, swoją bladością pobieliała wesoły błękit, ogromne okno, uczyniła z pustki wokół siebie coś ponurego i nieoczekiwanego, a jakże zmieniła się muzyka, rozległ się płacz odległego oboju, który ustąpił monotonnemu i obsesyjnemu lamentowi wiolonczeli, z interwałem kwarty. Płacze, płacze, jak płacze wiatr w trzcinach, płacze jak konik polny, odśpiewał chór, zdający się dochodzić z brzucha *Prozerpiny*, który urósł, jakby była w ciąży. Czyje były

bolesne głosy, przepelnione cierpieniem i lękiem, przyprawiające o dreszcze i szepczące: dzikie stada jak zboże, ścięte sierpami?

Batuta poruszyła się, drgnęła nagle, jakby dyrgowała jakimś *andante con brio*. Dwa błyski, dwa uderzenia batem, dwa cięcia w pustce: zamiast piętrowego łóżka, stojącego przedtem na scenie, narysowała dwa pionowe kamienie, podtrzymujące gładki kamień poziomy: dolmen. Głosy chóru nabrały intensywności. Batuta zastukała krótko w dolny prawy róg tego pejzażu nicości i Kapłan w białej tunice wyłonił się z tła. Czego szukał na tym pustkowiu? Cel wskazała batuta, przesuując się szybko na kamienny stół, oświetlony przez weszłą *Divę*, w stronę wnętrzości leżących na dolmenie. Były to bez wątpienia wnętrzości pozbawione ludzkiego czy też zwierzęcego opakowania, które przedtem je w sobie mieściło. Rurka z kruchej i białawej chrząstki, zakończona czerwona kulka, skąd rozchodziły się inne przewody, wyposażone w naczynia krwionośne i limfatyczne. Nie prowadziły donikąd, ponieważ ciało pozostawało właśnie nieobecne. Kapłan trzymał sztylet, którego ostrze błysnęło pod srebrnym promieniem. Zatrzymał się na chwilę, wznosił rękę ku niebu i potężnym basem zaśpiewał: „*Tintarella di luna, tintarella color latte, tu fai bianca la mia pelle, tu sei bella tra le belle*”¹.

Batuta przemierzyła błyskawicznie pejzaż i prze-

¹ Opalenizna księżycowa, opalenizna w kolorze mleka, wybielasz moją skórę, jesteś najpiękniejsza ze wszystkich!

sunęła się w przeciwny kąt. Zapisła swoją muzykę w powietrzu i pojawiła się Norma w woalce na głowie. Niosła koszyk pełen owoców opuncji, a wokół twarzy, posmarowanej miodem, tańczyły łagodne pszczoły, śpiewając: „Qual cor tradisti, qual cor perdesti, quest'ora orrenda ti manifesti, un Nume, un fato di te più forte ci volle uniti in vita e morte”².

„Norma, che avanzi a fare, Norma o icché tu fai?”³ — zaśpiewał pojedynczy głos, który oderwał się od chóru. Batuta przesunęła się po ustach Normy, która posłusznie zaśpiewała: „Giro, giro tondo, un giro intorno al mondo, un mazzo di viole, signori, chi ne vuole?”⁴. Poruszyła rękami jak marionetka, posłuszna pociągnięciom za sznurki, następnie zaś, nabierając powietrza w obfitą pierś, zupełnie jakby ktoś ją popchnął, sprawiając, że wypięła biust, zaśpiewała: „Fichi d'India! chi vuol comprare fichi d'India dorati? Hanno le spine ma dorati son!”⁵.

Batuta przesunęła się w kierunku Kapłana, smagając powietrze. A on, który stał zasępiony w mroku, otworzył usta (miał różowe usteczka, niemal dziecięce, nie pasujące do tak czarnej, że aż niemal

² Jako serce zdradziłeś, jako serce straciłeś, ta straszna godzina nadchodzi, los, silniejszy od ciebie, chciał, byśmy byli złączeni i w życiu, i w śmierci!

³ Normo, po co się zbliżasz, Normo, co czynisz?

⁴ W kółko, w kółko, dookoła świata, bukietek fiołków, kto go zechce?

⁵ Owoce opuncji! Kto chce kupić złote owoce opuncji? Mają kolce, ale są złote!

niebieskiej brody) i zaśpiewał potężnym basem: „Miiizzicaaaa io, li voglio!”⁶.

Batuta poruszyła się niczym ręka, dająca znak, aby się zbliżyć. Chodź, powiedziała niema, jak czynią to batuty dyrygentów, mówiące w milczeniu, chodź, przyszła kolej na ciebie, podprowadź również drużkę, niech pozostanie jednak w półmroku i odprawia swój obrządek, jest tęgą, piegowatą góralką o mlecznej cerze, w okularach w grubej oprawce, zbyt jest w stylu lat sześćdziesiątych, przesadziliśmy z tym unowocześnianiem, nie pasowałyby do scenerii ofiar z ludzi i celtyckich księżyców, ale ty, do jakiego druidycznego plemienia należysz, taki dziarski, mimo podeszłego wieku?

Oto jak zbliżał się Kapłan: milczący, z nożem chirurgicznym w ręce, podszedł do kamiennego stołu, dolmenu i... ach, jakie cuda potrafią sprawić światła, jeśli tylko elektryk ma choć trochę talentu! Błękit morski tego tła, będący oknem wychodzącym na nicość, wszystko jedno, czy był on iluzją czy rzeczywistością, czy zlanie się horyzontów, ów morski błękit przemienił się w mleczny lazur, jak w przypadku lamp na sali operacyjnej, oślepiające światło padające właśnie na kamień dolmenu. I na tym operacyjnym stole, bardziej niż mógł to wymyślić wyklęty hrabia, piszący poematy horrofikie, spotkały się przewód pokarmowy, nóż chirurgiczny i złote owoce opuncji. Owoce, które Norma, podczas gdy Kapłan celebrował

⁶ Do diaaaska, ja chcę!

ofiarny rytuał, rozrzuciła wokół, tańcząc pięknie wraz z eterycznymi dziewczętami z prerafaeliczkich obrazów, mając na sobie przezroczystą niebieską tunikę. I śpiewała: „Non mai l’altar tremendo di vittime mancò”⁷, a śpiewała jakby to była piosenka, która brzmi: „Via, via, vieni via con me...”⁸

★ ★ ★

O moja szlachetna pani, w tym miejscu powinna się zakończyć ta obłądna operetka, którą reżyser chciał wystawić tamtego wieczoru jako improwizację. Ale w istocie trwa ona nadal. Znam jej finał: wymyka się z dekoracji, z tego żalostnego teatru, przenika przez płótno w tle i nędzne tektury, pomalowane po to, aby zwieść widzów, przemierza spektakl, salę, przestrzeń, czas i zdąża w kierunku obiecanych im przez Prozerpinę ze świata podziemnego, przebraną za Casta Diva. I jakie to ma znaczenie, czy Kapłan był konowałem, inżynierem w sztuce uwodzenia, czy wesołym staruszkim, biegłym w trójkątach nierównobocznych: zmiana czynników nie powoduje zmiany produktu. W każdym razie ty byłaś sobą.

Wsiadają właśnie na metalowego potwora, oparłego o tył dolmenu, potwora z połyskującej stali, lśniącego pod promieniami księżyca. On, z jeszcze czerwonymi dłońmi, kręci rączką od kierownicy i silnik zaczyna warczeć. Ona, na tylnym siodel-

⁷ Nigdy straszliwemu ołtarzowi nie brakowało ofiar.

⁸ W drogę, w drogę, chodź, chodź ze mną...

ku, obejmuje go w talii. Jazda! Warczący potwór jedzie wzdłuż nadmorskiego bulwaru, potem wjeżdża w tunel, gdzie ciemność nocy jest jeszcze ciemniejsza, ona zaś, cała drżąca, śpiewa: „Si, fino all’ore estreme compagna tua m’avrai, finché il mio core a battere io senta sul tuo cor”⁹. Dotyka piersiami pleców centaury, aby odczuł wyraźnie bicie jej corazón. I jakież cielesny dreszcz w tych dwóch stykających się ciałach! Bo teraz tułów centaury przemienił się w prawdziwy grzbiet centaury, kosmaty, jak u dzikiego zwierza, przypominający sierść dzika. Ona krzyczy: szybciej, szybciej! jedź szybciej, proszę cię! On przyspiesza i jazda! warkot silnika w nocy, tunel za tunelem, rzadkie prześwity, kiedy widać na krótko odległe światła morza i twarz Prozerpiny, coraz bardziej uśmiechniętą, coraz bardziej zmysłową.

Wtedy właśnie centaur, jadąc coraz szybciej i czując pieśczoć na grzbiecie, puścił jedną ręką kierownicę, trzymaną teraz mocno drugą, i jego zręczne palce, niczym sierp księżyca, poszukały czuprynki Normy i zaczęły się w niej poruszać. To był diapazon, ów magiczny moment, którego tak oczekiwali. Tak, tak, tak, proszę cię, nie przerywaj, nie przerywaj! Tunel kończył się w tym momencie i na otwartej przestrzeni twarz Prozerpiny rozjaśniła się porozumiewawczym uśmiechem rajfurki, potwór ze stali oderwał się od ziemi i pofrunął prosto do podziemnego nieba, dla

⁹ Tak, aż do ostatniej chwili będę twoją towarzyszką, dopóki będę czuła, jak moje serce bije obok twojego.

nich, dyszących, którzy siedzieli okrakiem na samolocie, przemienionym już w małżeńskie łożo, ogromne łożo niczym arena, gdzie miały miejsce porody i poronienia, niedyspozycje dziedziczne i małżeńskie oraz libido rerum novarum. Miejsce stworzone specjalnie dla nich.

Jedynym świadkiem pozostał włoszek w bidecie.

*WSTĄPIŁEM DO CIEBIE,
ALE CIĘ NIE ZASTAŁEM*

Droga, najdroższa Droga,
punkt wyjścia: był sobie kiedyś las. A w lesie była sobie willa. Przed willą — ogród. W ogrodzie — bukszpanowe żywopłoty w kształcie labiryntu, na modłę włoską, i dwie piękne palmy. Pod palmami — cztery drewniane ławki, stykające się oparciami, tak że ten, kto siedzi na jednej, nie widzi osoby siedzącej na drugiej. Ej, czy już zrozumiałaś? Oczywiście, że zrozumiałaś, mówię o tym tylko po to, abyś dysponowała punktem wyjścia. Bo przedwczoraj przywiozłaś mnie w to piękne miejsce, żebym pobyl tu trochę w samotności, tylko trochę, do następnego dnia, pamiętam, że tak powiedziałaś, najwyżej do jeszcze następnego dnia, odpocziesz tutaj, zobaczysz, minie ci bezsenność, i jeszcze ta twoja mania chodzenia, tak dalej nie można, kochanie, wędrować tam i z powrotem, ta mania wałęsania się bez sensu, niektórzy twoi przyjaciele nazywają cię wędrowniczką, nie wiesz o tym, ale kpią sobie z ciebie, dzwonią do mnie, chociaż wiedzą już, że ciebie nie ma, i pytają z ironią w głosie: czy mogę mówić z wędrowniczką? Gdybyś przynajmniej zgodził się na rozmo-

wę ze znajomym Sylvie, co ci szkodziło pojechać do Zurychu? był gotów wysłuchiwać cię całymi popołudniami i to nie z zawodowego obowiązku, ale z przyjaźni, doskonale rozumie takich ludzi jak ty, na temat podobnych przypadków napisał nawet książkę.

Droga, najdroższa Droga, miałem właśnie dostarczyć ci punktu wyjścia, bo wczoraj, a może przedwczoraj, wyruszyłem stąd, właśnie stąd, z jednej z tych ślicznych ławek. Zjadłem śniadanie, zapewniam cię, możesz być zupełnie spokojna, chociaż mogłem się bez niego obejść, na ogół rano wypijam tylko kawę. Ale słowo daję, pokusa była zbyt silna. Żeby tylko dać ci jakieś wyobrażenie: weranda, stół nakryty lnianym obrusem, ręcznie haftowany w ludowe wzory, z przewagą brązu, naprawdę piękny. Na jednym końcu stołu, żeby od czegoś zacząć, micha jogurtu. Jogurt jest domowego wyrobu, z kawałkami świeżych leśnych owoców, zerwanych dzień wcześniej: poziomek, porzeczek, malin, a jeśli nie lubisz ich w jogurcie, możesz je zjeść osobno, posypane łyżeczką cukru albo polane porto, do wyboru. Pucharki są ze szkła z Murano, nie ulega wątpliwości, nie ze zwykłego szkła, to chyba stara zastawa, dziś kosztowałyby majątek, może się zresztą zdarzyć, że w Wiedniu kosztowałyby mniej, szczególnie u mojego przyjaciela Hansa (kolorowe włókna w szkłe są turkusowe i rysują delikatne fale), chociaż ostatnio mój przyjaciel Hans nigdy nie otwiera sklepu, może umarł, bardzo bym się tym zmartwił. Obok miseczki z leśnymi owocami stoi koszyk pełen

malutkich rogalików, przykrytych płócienną serwetką, aby były ciepłe. Trudno oprzeć się pokusie, zapewniam cię. Wolę pominąć temat rozmaitych rodzajów masła i marmolad. Mówię: rozmaitych rodzajów masła, bo są trzy, między innymi solone, produkowane przez chłopów w górach, którzy przywożą je w wiklinowych koszach wyłożonych laurem, ma smak nie do opisania. Marmolady są takie, jak w tych stronach, gęste, zrobione według starych przepisów, poza marmoladą z owoców leśnych, będącą oczywiście specjalnością domu, jest jeszcze jedna, moja ulubiona, z cytryn, coś pomiędzy marmoladą a owocami kandyzowanymi, z galaretką, o lekkim smaku kirschu, ale trzeba się go domyślać.

Jednym słowem, śniadanie bardzo mi smakowało, wszystko bez wyjątku, na koniec wypilem sok pomarańczowy i mocną kawę. Potem pociągnąłem dwa razy fajkę na ławce, o której ci wspominałem i: jazda! Tak przecież wyglądała umowa, o ile się nie mylę, że ty przyjedziesz po mnie następnego dnia albo, najpóźniej, jeszcze następnego, a to oznaczałoby trzy dni. A zatem ja nie zerwałem umowy, czekałem chyba dwa razy dłużej. Aż wczoraj powtórzyłem sobie słynne zdanie: jeśli góra nie przyjdzie do Mahometa, Mahomet przyjdzie do góry. Zabrałem moje rzeczy, wiesz, jakie są lekkie, teraz bardziej niż kiedykolwiek, i wyszedłem bez problemów. Z willi można wyjść zupełnie swobodnie, bo piękna brama z kutego żelaza zamykana jest dopiero wieczorem. I tak rozpocząłem podróż, którą zamierzam ci opisać, cho-

ciąż dobrze ją znasz, bo, wprawdzie w odwrotnym kierunku, ale jest to ta sama podróż, którą odbyliśmy razem, kiedy mnie odwoziłaś. Maszeruj, maszeruj, jak piszą w bajkach, ponieważ, oczywiście, odbyłem ją w całości na piechotę i muszę ci powiedzieć, moja najdroższa Droga, że marsz świetnie mi zrobił, już za długo musiałem zadowalać się krótkimi spacerkami w tym idiotycznym ogrodzie. Może pomyślisz sobie: jak mógł przebyć całą trasę w jeden dzień? Cóż, tak było. Mógłbym ci skłamać co do czasu, bo trasa jest naprawdę długa, naprawdę bardzo długa, moja najdroższa Droga, ale udało mi się przebyć ją zaledwie w ciągu doby. Chętnie zmierzyłbym się z twoim starym przyjacielem, który twierdził, że chodzi jeszcze więcej ode mnie, ale Leporello nie mógłby już tego dokonać, ponieważ od jakiegoś czasu gryzie ziemię. Nie można jednak nigdy niczego wykluczyć, czasami ktoś może po prostu wstać i pójść, kiedyś już coś takiego się zdarzyło.

Jednym słowem, maszeruj, maszeruj, wybrałem na pierwszy postój nadmorskie miasteczko. Brzydkie, paskudne, wręcz obzydliwe (piszę przez „ż”, bo nie zasługuje ono na „rz”). Aby trochę odpocząć, wynająłem pokój z siecią rybacką na ścianie, ozdobioną dwiema rozgwiazdami. Dla mieszkańców oznacza to folklor, prawdopodobnie przyjeżdżają tu latem Niemcy i Skandynawowie, oni kochają morze. Ale rozgwiazdy nie były dobrze wysuszone i śmierdziały rozkładającą się rybą. Jedyne korzyść polegała na tym, że brzydki zapach

odpędzał komary, a więc nie brzęczały ani nie cięły, jak przydarzyło się to nam pewnego wieczoru (mam nadzieję, że pamiętasz) w paskudnym hoteliku, gdzie zatrzymaliśmy się kiedyś; hoteliku do kitu, nie że miał zakitowane okna, ale był brzydki, tak jak i całe miasteczko. Nawet jeśli zapomniiałś, nie szkodzi, chodziło przecież o inną podróż. Tak czy owak, odpocząłem w pokoiku z rozgwiazdami. Potem wyruszyłem w dalszą drogę. Jedyne moje zmartwienie polegało na tym, że podczas tego uroczego wypoczynku dostałem nieznośnego podrażnienia żołądka. Wybacz mało eleganckie szczegóły; nagle pojawiły mi się na skórze małe, fioletowe plamki, powodując pieczenie i swędzenie, chociaż żołądek jest mi na nic, odpoczywa sobie, zakapturzony, wygląda jak jakiś mnich na procesji. A jednak.

Drugi postój zrobiłem w byle jakim mieszkaniu, które odpowiadało mi również ze względu na cenę, lecz zważywszy na pieniądze, jakie miałem w kieszeni, wiesz, mogłem pozwolić sobie na nie więcej niż kilka godzin. Ale przynajmniej zrobiłem relaksującą kąpiel stóp, to było zupełnie puste mieszkanie, bez jednego mebla, nie wydaje ci się dziwne? zauważyłem tylko gitarę opartą o ścianę i przez kilka chwil na niej grałem, chociaż nie umiem grać na gitarze, znam jednak akordy, więc zagrałem akordy, bo z sąsiedniego pokoju dochodził płacz noworodka, a przy akordach dziecko mogłoby usnąć. Zacząłem podśpiewywać: „come prima, più di prima, t’amerò, la mia vita per la vita

ti darò”¹. I płacz ucichł. Dziecku naprawdę potrzebna była jakaś piosenka, nic więcej nie potrafiłem zrobić. Och, tak, wiem, że dla dzieci należałoby robić o wiele więcej, ale nie potrafiłem mu dać nic poza piosenką: myślisz, że to wystarczy? Nadeszła pora, żeby pójść dalej.

Maszeruj, maszeruj, spodziewałaś się pewnie, że ci powiem, bo przecież mnie znasz. Ale nie, moja najdroższa Droga. Czy ci już wspominałem, że mieszkanie jest trochę dziwne? a więc wychodzę z domu, zamykam za sobą drzwi i znajduję się na skalistej i sinej pustyni, z nagimi wzgórzami, których nie potrafiłbym ci opisać, mógłbym powiedzieć wzgórze jak białe słonie, ale obawiam się, że nie odda to obrazu, a w dodatku ktoś już użył takiego porównania. I słońce w zenicie, bezlitosne, przydałoby się sombrero. Pomyślałem: w tym niegościnnym miejscu padnę na ziemię wyczerpany, a sępy obiorą z mięsa moje kości, które będą głupio bieleć w słońcu jako jedyne świadectwo, że ktoś kiedyś tędy przechodził. Ale fortuna sprzyja śmiałkom: nagle, tuż za mną, rozległ się głos dziewczynki, musiała być bardzo malutka, nie potrafiłem jej dostrzec w moim lusterku wstecznym, mam na myśli moje okulary z przydymionymi szklami, które, przechylone pod odpowiednim kątem, służą mi jako lusterko. Była to zatem dziewczynka tuż nad ziemią, może w ogóle nie było dziewczynki, tylko jej głos, zupełnie jak w

¹ jak przedtem, bardziej niż przedtem, będę cię kochać, moje życie na całe życie ci oddam.

przypadku kota z Cheshire, nuciła piosenkę swoim kózkom. Może była niewidoczną pasterką, całkowicie mentalną, jak pasterki trubadurów, które zjawiają się i znikają, kiedy przejeżdża rycerz; skłoniło to mnie do zaimprovizowania pastoreli, prawdopodobnie dość naiwnej, ale co mogę poradzić, nigdy nie miałem talentu do poezji, w opowiadaniu historii jakoś sobie radzę, ale one przynajmniej nie wymagają rymów, w opowiadanych historiach nic z niczym się nie rymuje, nie ma odmierzającego je metrum.

Chciałbym porozmawiać z tobą o moich historiach, ale może chwila nie jest odpowiednia, rozumiesz chyba, piszę do ciebie w wielkim pośpiechu z twojego domu, zauważyłem, że architekt chce już iść, a robotnicy krzywo na mnie patrzą. Historie. Albo raczej: moje historie. Co można by tu powiedzieć? Czasami o nich myślę i chętnie bym porozmawiał, ale potem, w jednej chwili, mija mi ochota i dlatego nigdy ci o nich nie wspominałem. Teraz jednak, choćby tylko mimochodem, chciałbym ci powiedzieć, nie tyle czym one są, bo to byłoby trudne, ile raczej czym nie są. Dobrze wiesz, że łatwiej jest wyrazić swoją myśl w formie przeczącej, przynajmniej mnie zawsze było łatwiej. Po pierwsze, są to historie pozbawione logiki. Mówiąc między nami, chętnie bym spotkał tego, kto wynalazł logikę, już ja bym się z nim policzył. I bez rymów, przede wszystkim bez rymów, historie, w których jedno nie pasuje do drugiego, kawałek do innego kawałka, i efekt jest taki jak w życiu, nie podporządkowanym rymom, każde ży-

cie ma swój własny akcent, odmienny od cudzego akcentu. Ewentualnie kilka rymów wewnętrznych, ale one nie są wcale oczywiste. W willi, skąd wyruszyłem przedwczoraj, a raczej wczoraj, był jeden gość, z którym trochę się zaprzyjaźniłem, gawędząc z nim na ławce pod palmą. Oczywiście siedzieliśmy odwrócenii do siebie plecami, rozboleła mnie od tego szyja. Jest młodym astrofizykiem, który przyjechał tu na odpoczynek, ponieważ jest rzeczą naturalną, że kosmos męczy, pomyśl, jak męczy wstawanie co rano, a cóż dopiero wszechświat. Spytałem go o wieści z wszechświata, mówię: co słyhać w nieskończonym wszechświecie, z którym jest pan za pan brat? a on mi na to: przykro mi, że pana rozczaruję, drogi panie, ale wszechświat nie jest nieskończony. Początkowo, przyznam ci się, zatkało mnie. Jak to? pomyślałem, te wszystkie książki, rozmyślenia poetów, filozofów, teologów o nieskończoności, a ten tutaj młodzieniaszek, wyglądający jak gracz w baseball, siedzi sobie na ławce z założonymi nogami, żuje gumę i utrzymuje, że wszechświat jest skończony? Już miałem odpowiedzieć: za wiele pan sobie pozwala, lecz on ciągnął dalej, niewzruszony: widzi pan, drogi panie, wszechświat zaczął się wraz z pierwotnym wybuchem, powiedzmy, że tak powstał, jest energią, która nadal się rozszerza pod wpływem tamtego początkowego wybuchu, i energia ta nie jest nieskończona, mieści się wewnątrz obwodu, chociaż oczywiście chodzi o obwód, którego nie potrafimy zmierzyć. Ach tak, wtrąciłem, starając się ukryć gniew, proszę mi wy-

baczyć, drogi panie uczony, jeśli wszechświat jest skończony i się rozszerza, to znaczy posuwa się w różnych kierunkach, w takim razie, proszę mi wybaczyć ciekawość, ku czemu zmierza? Ku nicości, odpowiedział młodzieniec naturalnym tonem. I w tym samym czasie przesuwiał czubkiem buta okrągłe kamyki na ścieżce, a miał na nogach tenisówki. Najdroższa Droga, zrozumiesz chyba moje oburzenie oraz moją dezorientację: było nam zawsze łatwiej zrozumieć pojęcie nieskończoności niż skończoności w odniesieniu do wszechświata, ale i do innych rzeczy, pomyśl tylko na przykład, gdybyś powiedziała pewnego dnia: kocham cię skończenie, albo gdybym ja ci tak powiedział. Ale żeby on mówił mi w dodatku o nicości, to już naprawdę przesada. Proszę mi coś wyjaśnić, szanowny panie uczony, rzekłem, lekko zirytowany, czego nie potrafiłem ukryć, a co to takiego nicosc, pańskim zdaniem? Młodzieniec spojrzał na mnie z wyższością i odparł, znużony: nicosc jest tylko brakiem energii, drogi panie, gdzie nie ma energii, tam jest nicosc. I mówiąc to, zaczął wydumchiwać ustami balonik ze swojej gumy do żucia, aż ten pękł, jakby miał przedstawić wszechświat rozszerzający się ku nicości komuś tak ograniczonemu jak ja. Zdajesz sobie sprawę, moja najdroższa Droga? Ale opowiadałem ci o mojej pasterce na tej dziwnej pustyni, naprawdę dziwnej, ponieważ kilka kroków dalej zaczynało się morze. Pomyślisz, że chodzi o nieco szerszą plażę, którą wzięłem za pustynię, ale nie, kilka kroków dalej pejzaż zmienił się całkowicie, to znaczy zdałem sobie sprawę,

że znalazłem się w innej odświeżeniu, jak w teatrze, kiedy zaczyna się drugi akt, i zobaczyłem skały schodzące pionowo do wody, a na skałach stał piękny, duży dom, wystawiony na wiatry i bryzgi fal, jednym słowem, wydał mi się zbudowany specjalnie dla mnie, a poza tym był niezamieszkały, albo na taki wyglądał, więc skorzystałem z niego. Wspaniała noc, zapewniam cię, określiłbym ją jako królewską. Na parterze salony, korytarze, rozległa kuchnia, jak w klasztorze, z miedzianymi naczyniami zawieszonymi na ścianach i źródłem wytryskującym z rodzaju lavaba w kształcie ryby, wykutego w kamiennej podłodze, z którego wypływał strumyk o marmurowych brzegach i okrężał całą kuchnię. Nadszedł czas na przygotowanie sobie smacznej kolacyjki, po całej tej podróży, i była to pyszna kolacyjka, bo spiżarnia pękała od smakołyków. Abyś miała jakieś wyobrażenie: na zakąskę górską suszona szynka, obtoczona w papryce, taka, jakiej już się nie spotyka, postanowiłem ją napocząć i zjeść z kawałkiem arbuza, prawdę powiedziawszy, był to pastèque, miał identyczny smak jak ten, który jadłem pewnego letniego wieczoru (teraz nie pamiętam, gdzie dokładnie) przed lodziarnią w alei Lipowej z moim przyjacielem Danielem. Mogłabyś zauważyć, że przecież wszystkie arbuzy mają identyczny smak, jeśli są słodkie i dojrzałe, ale nie, ten miał dokładnie taki sam smak jak arbuzy, który jadłem z Danielem — nazywał go pastèque, — pod daszkiem tamtej lodziarni na ulicy, mówił mi o Moliere i o jego wędrownym trupie, więc arbuzy, który zjadłem z szynką, to był właśnie pas-

tèque, który jadłem tamtego wieczoru z Danielem, i jeśli nie masz nic przeciwko temu, nie będę używać więcej słowa arbuzy, tylko pastèque. Wiesz, Daniel by poświadczył, ale niestety zmarł nagle, zawiadomiłaś mnie przez telefon, nie możesz nie pamiętać. Następnie otworzyłem puszkę foie gras, sama prawie się napraszała, biedna i zakurzona puszka foie gras z Alzacji, porzucona w tej kuchni z widokiem na morze, które z Alzacją nie ma doprawdy nic wspólnego. I na koniec pomarańcza pokrojona na kawałki, z kroplą słodkiego wina. Wszedłem na pierwsze piętro. Piękne domy mają prosty układ; od razu się w nim orientujesz. Szedłem korytarzem, prowadzącym wzdłuż całego domu, obejrzałem rozmaite pokoje i wybrałem największy, gdzie stało łóżko z baldachimem. Okno balkonowe wychodziło na taras nad morzem i tam, plum, plum, słyszałaś fale pieszczące delikatnie skały. Zgadłaś: przespaliśmy się na tarasie, nie można było się oprzeć płytkom jeszcze ciepłym od popołudniowego słońca i chłodnej bryzie, podczas gdy nad głową iskrzył się cudownie wszechświat rozszerzający się ku nicości. Dobranoc, panie fizyku.

Jedyne zmartwienie polegało na tym, że swędziało mnie żołądek, wybaczyć ten mało elegancki szczegół, musiałem przemywać go wielokrotnie w nocy i posypywać starym talkiem, który znalazłem na półce w łazience. Na szczęście, dało się to znieść i od razu zasnęłam z powrotem. Słowem, piękna noc, pełna gwiazd i snów, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że było osiem nocy, albo osiemdzie-

siąt, jak w jakimś księżycowym cyklu aż do nowego zrównania dnia z nocą.

W czasie zrównania dnia z nocą dzieje się masa dziwnych rzeczy, mają rację lunatycy. Nie wiem, jak to się stało, nie umiem powiedzieć ci, co było przyczyną zmiany. Zupełnie jakby płynąć łodzią z prądem. Usłyszałem czyjś płacz, ktoś płakał (modlił się?), musiał klęczeć przed łóżkiem z głową w dłoniach, wiesz, te inwokacje jak w powieściach sióstr Brontë, musiał być tak nieszczęśliwy ten ktoś, biedaczek, że poczułem się odpowiedzialny za jego nieszczęście. Nie wiem, czy ci się coś takiego kiedyś przytrafiło, ale słyszysz płacz tuż obok siebie i myślisz, o Boże, to moja wina. Wydawało mi się, że słyszę: Leporello! Leporello! Niczym stłumiony płacz krążący w powietrzu, zupełnie jak trucizna. Księżyc miał zawsze dwa oblicza: przypomniałem sobie jeszcze konkurs na stanowisko w Ministerstwie Łączności, aby go wygrać, trzeba było znać na pamięć nazwy wszystkich rzek w kraju, nawet małych strumyków, jakiegokolwiek kraju, nawet wymyślonego, jak metaforyczna Kakania z niektórych amerykańskich musicali, które nasi przyjaciele uwielbiają, a ja uważam, że są paskudne. Dlaczego paskudne? Bo są głupie, naprawdę głupie, głupie, moja najdroższa Droga, ale trzeba się było nimi zachwycać, podobnie jak trzeba było nosić espadryle i jeść awokado z krewetkami na przystawkę. Och, co za straszne czasy, zgodzisz się? Musiała pojawić się jakaś plaga, żeby przynieść oczyszczenie: jakaś wojna, masakra, zaraza. Coś musiało się

przecież stać i stało się, chociaż niczego się nie spodziewaliście.

I znowu, maszeruj, maszeruj. Następnego ranka wychodzę z tej nocy spędzonej na tarasie, żeby kontynuować podróż aż do twojego domu, a tu widzę kobietę nieruchomą jak posąg (to właściwe słowo), tak nieruchomą, że szepczę do niej psst, psst i czekam. Ona odwraca się i patrzy na mnie, mogę się jej dobrze przyjrzeć, jest naprawdę piękna, albo tak mi się przynajmniej zdaje, ja też chyba jej się podobam, mówi do mnie: drzwi mego domu są otwarte, okna rozwarte na oścież, miłość wypływa z niego obficie szerokim strumieniem, w czymś w rodzaju bezzasadnego zaufania i uległości, i niepamięci. Prawdę mówiąc, zdanie to, cytuję je dosłownie, miała mi powiedzieć dopiero po moim odejściu, myśl była w każdym razie mniej więcej właśnie taka. Ale niektóre myśli pojmujesz wyraźnie dopiero później, kiedy wyruszyłeś już w drogę. Tak czy owak, zatrzymałem się, tego jestem pewny. Dom był stary, lecz dość ładny. Dwupiętrowy, pomalowany na czerwono, z odpadającym tynkiem, schodami na zewnątrz, porosły glicynią. Nie brakowało mimozy na Święto Kobiet. Podłogi były z białoczarnych płytek, przypominających majolikę z początków XX wieku, odpowiadało to poczuciu estetyki kogoś takiego jak ja oraz mojemu zamiłowaniu do geometrii, bo mogłem stać raz na czarnej płytce, raz na białej i grać w szachy z samym sobą aż do chwili, kiedy dostałem szach-mata. Oczywiście ja byłem pionkiem, jedyną figurą na szachownicy, bo królową

była ona, a między nami żadnych skoczków. Tylko że tutaj również ktoś płakał. Chyba jakieś dziecko, może chłopiec, któremu nie udaje się urosnąć, co tak smuci kobiety i nas wszystkich, a przecież to daremny smutek i dobrze byłoby o tym pamiętać: dzieci, którym nie udaje się urosnąć, stają się na ogół idealnymi dorosłymi. Problem stanowią raczej dzieci szczęśliwe, ja byłem takim dzieckiem, psują się one z wiekiem i pokonują drogę w odwrotnym kierunku aż do dnia, w którym, pyk, pękają, jak guma balonowa wszechświata rozszerzającego się ku nicości. Słowem, problem stanowi przesunięcie w czasie, który dręczy nas wszystkich, moja najdroższa Droga, nie sądzisz? Mam na myśli: siedzisz tu sobie, urosłeś, ile trzeba, a przez ścianę płacze dziecko albo bardzo stary starzec, którzy wkraczają do twojego kalendarza. W ludzkim życiu powoduje to znaczne przesunięcie w czasie. Idealem byłoby, gdyby wszyscy, ale naprawdę wszyscy, mieli właściwy wiek we właściwym momencie, we właściwym miejscu, w którym zdarza nam się spotkać w tym kawałeczku wszechświata, który rozszerza się ku nicości, bo toby wszystko bardzo uprościło. Ale pewnie biolodzy nie zgodziliby się na takie rozwiązanie, ani demografowie, ponieważ ich zdaniem rasa ludzka zniknęłaby wówczas z powierzchni ziemi i to wcześniej, niż można by się spodziewać. Zgoda, może by i zniknęła, ale skoro i tak zdążamy ku nicości, to czy dotrzemy tam trochę wcześniej czy trochę później, jakie to ma znaczenie? Aby to wszystko zmierzyć, panowie tacy jak ten, z któ-

rym gawędziłem przedwczoraj na ławce w parku, stosują bardzo chytne jednostki: nie są to ani dni, ani godziny, ani lata, ani tysiąclecia, ani kilometry, ani mile, przeczytałem to w książeczce, którą tamten nosił przy sobie i którą mi podarował, żebym się trochę doksztalcił. *Mały podręcznik astrofizyka amatora*. Przechodząc jednak do sedna sprawy: postanowiłem opuścić ten piękny dom z oknami otwartymi na glicynie i drzwiami rozwartymi na miłość, bo naprawdę potrzebowałem znaleźć się w miejscu, gdzie nikt by nie płakał. W przeciwnym razie, nie byłoby mnie tutaj, w twoim domu, gdzie w końcu dotarłem.

A zatem: docieram i pierwszą rzeczą, jaką widzę na ścieżce, prowadzącej do ogrodu, ale dostępnej dla wszystkich, jest żółty trójkąt, a na nim rysunek mężczyzny z łopata w ręce. Obchodzę go i zamiast ubitej ścieżki, wysadzonej krzewami lawendy, zastaję alejkę wyłożoną porfirem, z białą balustradą ozdobioną frędzlami. Rzecz nie tylko mnie zdumiała, lecz, z estetycznego punktu widzenia, wprawiła mnie w osłupienie, szczególnie jeśli zważyć na niektóre publikacje, z których się wyśmiewałaś, typu „Najelegantsze domy na Riwierze” i tym podobne. W każdym razie idę dalej. I zamiast tarasowego ogrodu, gdzie jeszcze wczoraj siadywaliśmy i patrzyliśmy na wieczór zapadający nad morzem, zobaczyłem trawnik z przesadnie zieloną trawą, nie wiem, jak mogła urosnąć tak szybko, chyba że położono darń, jak się podobno dzisiaj robi. Na trawniku leżały w kształcie śladów stóp małe płytki marmurowe, po których można było

przejsć aż do głównego wejścia, to jest do werandy z pergolą. Pergolą, której zresztą nie było. Roślina została wyrwana z korzeniami, zwisała teraz z kamionetki, zaparkowanej obok wejścia. Pergolę zastąpił ganek z czerwonymi dachówkami, bardzo czerwonymi, polakierowanymi, z dwiema marmurowymi kolumnkami o jońskich głowicach. Spojrzałem w górę, tyle razy stałaś na balkonie i czekałaś na mnie. Murek z surowego kamienia, otaczający taras, gdzie, z dala od ciekawskich spojrzeń, opalaliśmy się nago, zniknął. Zamiast niego, sztachety z kutego żelaza, zdobione podobnie jak balustrada w alejce. Zielone okiennice drzwi balkonowych zastąpiła opuszczana roleta, jak w niektórych domach na filmach amerykańskich. Przystanąłem, osłupiały, i postawiłem plecak na ziemi. Na ganku jakiś pan siedział na stołeczku i oglądał ogromne zwoje papieru. Wyglądał na bardzo zajętego i nie zwrócił na mnie uwagi. Dobry wieczór, powiedziałem, jest tu ktoś? Ja jestem, odparł, jak pan widzi, ja tu jestem. Ach, tak, przytaknąłem, jest pan, to oczywiste, ale, proszę mi wybaczyć, kim pan jest? Jak to, kim jestem? powtórzył, jestem architektem, kim mam być? Spojrzał na mnie trochę podejrzliwie i przypuszczam, że wiem, dlaczego: zakurzona marynarka, na głowie stary, filcowy kapelusz, torba podróżna z juty, którą zawsze zabieram ze sobą. Skąd pan przyjechał? spytał, obrzucając mnie spojrzeniem od stóp do głów. Z Villa Serena, odpowiedziałem. Musiał pomyśleć, że chodzi o jedną z willi na sąsiednich wzgó-

rzach i od razu zmienił ton. Chce pan może obejrzeć dom? spytał zachęcającym tonem.

Obejrzyć dom, co to znaczy? pomyślałem, obejrzeć dom, który znam od zawsze, który zostawiłem przedwczoraj. Za chwilę, rzekłem, aby zyskać na czasie, obejdę go wokół. W rzeczywistości zachciało mi się siusiać, być może z powodu niepokoju, jaki ta niezwykła sytuacja we mnie budziła. Zszedłem aż do inspektów, ale inspektów już nie było. Ani jednego krzaku szalwii czy rozmarynu, żadnej fasoli pnącej się po tykach, żadnych donic z bazylią i pietruszką. Były za to alejki z bratkami o trochę zwiędłych kwiatkach, może dlatego, że zostały świeżo przesadzone, oraz niewielki żywopłot z bukszpanu, udający, że jesteśmy w ogrodzie na modłę włoską. Wysiusiałem się na te wszystkie potworności i przyszedł mi na myśl twój przyjaciel Leporello oraz powód, dla którego zrobiły mi się plamki na żołądzu, bo tę egzemę miał on, pamiętam, pewnego wieczoru przyszła do niego wesoła dziewczyna, miała zostać na noc, ale on odesłał ją pod byle pretekstem, a potem, jakby na usprawiedliwienie, rozpiął spodnie i rzekł: zrobiło mi się to ni stąd, ni zowąd, miałeś kiedyś coś takiego? nie wiesz, co to może być? Widzisz, co kieruje czasami zrozumieniem rzeczy, byle drobiazg, tylko dlatego, że siusiałem na bratki, zrozumiałem w jednej chwili wszystko, oto dlaczego dostałem tego czegoś w podróży, z bardzo prostego powodu, pozwól, że powiem ci po francusku: parce que tu avais couché avec. Ale czemu ni-

gdy mi nie powiedziałaś? Niezły z ciebie numer, wiesz przecież lepiej ode mnie, że nie miałbym pretensji, pewne rzeczy mogą się w życiu przytrafić, na przykład z roztargnienia. Raczej nie mogę ci wybaczyć, że wyrwałaś szałwię i rozmaryn, aby zasadzić te okropne bratki.

Wróciłem w stronę ganku i ten facet mówi do mnie: a więc chce pan obejrzeć dom czy nie? Zobaczyłem siedzącego na ceglach robotnika w papierowej czapce, takiej, jaką noszą malarze, i w koszuli pochiapanej wapnem, on również obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów. Nie potrzebuję go oglądać, odpowiedziałem, znam go lepiej niż pan. Ach, tak, zdziwił się, jakże to? Przedwczoraj jadłem tu kolację z panią domu, oznajmiłem. Uderza dłonią o udo i wykrzykuje: genialne! a co takiego jedliście? Opisałem mu krótko kolację, żeby go przekonać. Chcę zaznaczyć, zacząłem, że Pani jest doskonałą kucharką, pasjonuje się gotowaniem. Zjedliśmy zupę-krem z groszku z odrobiną masła i listkiem szałwii, kurczaka po myśliwsku i kawałek czekoladowego tortu, który Pani przygotowała własnoręcznie. Pyszna kolacyjka, skomentował, ale skoro jadł pan kolację przedwczoraj, zdążył już pan ją strawić. Rzeczywiście, przytaknąłem, jestem teraz przy apetycie, ale, przepraszam, gdzie jest Pani? Wymienił spojrzenie z malarzem, które wydało mi się porozumiewawcze. Peter, co o tym sądzisz? spytał malarza. Cóż, odparł tamten, rozkładając ręce. Zacząłem naprawdę się niepokoić. Wyszła? spytałem, może wyszła? Obawiam się, że tak, odpowiedział typ, podający

się za architekta, obawiam się, że wyszła. Dawno? spytałem. Nic nie powiedział. Dawno wyszła? powtórzyłem. Facet zwrócił się ponownie do malarza. Peter, co o tym sądzisz? Malarz wyglądał na rozbawionego, wykrzywił twarz, jakby chciał się powstrzymać, ale w końcu wybuchnął głośnym, wulgarnym śmiechem. Według mnie, dobrych kilka lat temu, wymamrotał, głupio się śmiejąc, co najmniej przed wojną, panie architekcie. I dalej się śmiał, jak ze świetnego dowcipu. Zdałem sobie sprawę, że ogarnia mnie irytacja, i usiłowałem zachować spokój. Czy nie zostawiła dla mnie listu? spytałem. Nic mi nie wiadomo, odparł architekt. Myśli pan, że wróci późno? zapytałem. Obawiam się, że tak, chyba tak, rzekł, nie wiem, czy opłaca się panu czekać, my w każdym razie musimy już iść, nie ma rady, zamykamy drzwi i idziemy. Poczekam, aż wróci, powiedziałem, dziś wieczór nie mam nic do roboty, zostanę tu i będę pisał do niej list.

O TRUDNOŚCI UWOLNIENIA SIĘ OD DRUTU KOLCZASTEGO

Więc tak: tęsknota przedostała się do tych wierszy. Nazwę ją tęsknotą za zasiekami, chociaż nie ma powodu, aby uciekać się do słowa, oznaczającego coś więcej niż drut kolczasty.

Vittorio Sereni, „Taccuino d’Algeria”, 1944

Moja droga Przyjaciółko,
zdarza się, że podczas jakiegoś towarzyskiego spotkania, zupełnie przypadkowo, rozmowa schodzi na pierwszy lepszy temat. Na przykład tamtego wieczoru byłem zaproszony do znajomych, którzy mieszkają dokładnie naprzeciwko kościoła Saint-Germain i w trakcie pogawędki przypomniał mi sobie o książce Oliviera Razaca *Histoire politique du barbelé*. Powiem ci od razu, że nie znam autora i że nie skończyłem jeszcze czytać jego książki. Ale idea drutu kolczastego poruszyła mnie na tyle głęboko, że nie mogłem powstrzymać się od sformułowania pewnych refleksji, jak gdyby ten pisany do ciebie list był seansem psychoanalitycznym i jak gdybym sam leżał na kozetce. Nie lubię kozetek psychoanalityków, bo pełno na nich pcheł zostawionych przez pacjentów: pcheł, które gry-

zą, kłują, syte już cudzej krwi. Każdy mówi własną krwią, należącą pozornie do ogólnych grup; dla Czerwonego Krzyża mieć grupę zero oznacza być uniwersalnym dawcą, to jest posiadać taką samą krew, jak wielu innych ludzi. Ale to nieprawda. Krew stanowi coś tak osobistego, że jest nieprzekazywalna. Nie składa się bowiem wyłącznie z białych i czerwonych krwinek, lecz przede wszystkim ze wspomnień. Przeczytałem niedawno w fachowym czasopiśmie, że wybitni naukowcy próbują ustalić, gdzie znajduje się centralny i najgłębiej własny punkt świadomości, który nazwali „duszą”. Usytuowali ją w pewnej części mózgu. Nie zgadzam się z nimi: dusza mieści się w krwi. Nie w całej krwi, oczywiście, ale w jednej krwince, która przemieszała się z miliardami innych krwinek i dlatego nigdy się jej nie odnajdzie, tej małej krwinki, zawierającej duszę, nawet za pomocą najdoskonalszego komputera, podobnego do Boga (bo o to nam przecież chodzi). W historii ludzkości to artyści i mistycy zrozumieli i dowiedli, czym jest taka krwinka, która transportuje duszę. Artysta wie, że w jednej z jego książek liczących tysiąc stron, na przykład *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta czy *Boskiej Komedii* Dantego jest jedno słowo, które jest ową krwinką i transportuje duszę, a cała reszta mogłaby zostać wyrzucona do kosza. Debussy wie, że w jego *Południu fauna* albo *Danse sacrée* i *Danse profane* jest jedna nuta zawierająca jego duszę. Leonardo da Vinci wie, że w jego *Madonnie wśród skał* albo *Giocondzie* jest jedno dotknięcie pędzla, w któ-

rym naprawdę zamknęła się jego dusza. Wie, ale nie potrafi wskazać, gdzie się ona znajduje. I żaden krytyk, żaden egzegeta nie zdołają nigdy trafić na jej ślad. Dlaczego?

Dlatego, że istnieje drut kolczasty, który otacza kroplę krwi.

Bywały chwile, w których okoliczności historyczne, liberalne nastawienie społeczeństwa, pozorną szczęśliwość życia wmówiły nam, że znamy tę krwinkę, to nieuchwytnie, drobniotkie stworzenie, dzięki któremu narodziło się na tym świecie życie i rozumienie życia. Były to z pewnością najpiękniejsze i najszcześniejsze chwile dla Wiedzących, to jest dla tych, którym przyroda nadała przywilej rozumienia wszystkich innych. Ale złudzenie pozostaje zawsze ulotne. Kiedy nie ulatnia się z samej swojej natury, ginie z powodu drutu kolczastego. Są dwa podstawowe rodzaje drutu kolczastego, zabijające w naszych duszach zdolność rozumienia: jeden instalują inni, drugi wytwarzamy my sami. Nie będę mówił o pierwszym, znamy go niestety aż nadto w tym naszym stuleciu, które Primo Levi streścił w groźnie brzmiącej formule chemicznej: cyklon B, radioaktywność, drut kolczasty. A w czasach negowania przeszłości i rewizjonizmu, zgodnie z którym trupy ze wspólnych grobów w obozach koncentracyjnych, góry butów i okularów z Auschwitz, które jeszcze można zobaczyć, to nic innego jak dym wydobywający się z kominów imaginacji stronnicy historyków, mówienie o drucie kolczastym wydać mogłoby się sarkastyczną tautologią.

Dajmy spokój. Pomówmy raczej o drucie kolczastym mentalnym, prowadzącym do drutu kolczastego, o którym mówię: jest on częścią mojego umysłu i jest częścią twojego umysłu, moja droga Przyjaciółko. Wiem, dlaczego wiem. I wiem, bo dożywszy roku 2000 i słusznego wieku, zostałem zraniony przez ów drut tak, że wypłynęła ze mnie kropla krwi, zawierająca całą moją duszę, i twoją, chociaż tego nie chcesz. Ten drut kolczasty, chociaż wyobrażasz go sobie jako ciasne więzienie, może być również największą dostępną nam wolnością. Jest na przykład oknem. Tego wieczoru, tutaj, w domu moich znajomych, otwieram okno i wychylam się. Od dawna marzyłem o letniej burzy i zastanawiam się, czy będzie mogła się powtórzyć w ten sam sposób, wywołując te same wrażenia, jak w niepamiętnej przeszłości. To było w Toskanii, zapadła już ciemność, prowadziłem samochód. Jechałem drogą schodzącą od Montalcino w stronę Amiati. Nagle, mimo ciemności, zapragnąłem zobaczyć raz jeszcze klasztor Sant'Antimo. To z pewnością najpiękniejszy romański kościół na świecie, nie tylko z powodu czystego piękna konstrukcji, absydy, przypominającej pomarańczową skórę, przyczepioną do stateczku dla dzieci, z powodu koronkowych płaskorzeźb zdobiących fronton i gzymsu wzdłuż całego budynku, ale również dlatego, że w dolinie, widocznej zaraz za pierwszym ostrym zakrętem, droga schodzi powoli: przypomina mi się, jak w dzieciństwie babka głaskała mnie po plecach, abym usnął. Obok budowli z piaskowca, żół-

ciejącego w blasku słońca, rosną dwa cyprysy w kształcie pędzli, nic więcej. Za drugim zakrętem widać wielki dąb, stary, bardzo stary, zatrzymałem się pod nim. Tamtego wieczoru nie świecił księżyc, tylko czarne chmury zwisały nisko w dusznym powietrzu. Pełnia lata, upał, jak to w Toskanii, nauczyłem się kochać ten upał, odkąd przyjechałem z północnych Włoch, taki upał, że czekasz, aby się ochłodziło, czekasz na wodę, która zgasi ogień, choćby tylko chwilowo. Za kościołem pojawił się siny błysk i oświetlił absydę, zrobiło się jasno jak w środku dnia i z anielskiej przemieniła się ona w diabelską. Potem nastąpił drugi błysk na zachodzie, nad winoroślami schodzącymi aż do plebanii. Przestraszyłem się tą zapowiedzią burzy i pomyślałem: lepiej wrócić do domu. Mieszkałem wówczas na odludziu, niedaleko, na wzgórzach. Po moim powrocie ulewa już się zaczęła, niebo płonęło, jakby w czasie wiejskiego jarmarku rozłożyli się święci. Wszedłem na górę do mojego pokoju i otworzyłem okno. To było wielkie okno z widokiem na cierniste krzaki i skały podziurawione przez deszcze. Mieszkały tam odyńce i dzikie króliki, które schowały się w norach. W moim pokoju była kobieta, która mi powiedziała: chodź spać. Jeśli jej nie było, musiałem ją sobie wyobrazić, bo kiedy zaczyna się gwałtowna burza, która przyprawia cię o drżenie rąk, trzeba usłyszeć głos kobiety, uspokajającej cię słowami: chodź do łóżka. Zapaliłem papierosa i oparłem się o parapet, a żarzący się ognik był doprawdy niczym płomień na rozszalałym niebie. Powietrze było tak nałado-

wane elektrycznością, że przewodziło nie tylko myśli, ale i głosy, biegnące po falach magnetycznych, które badał niegdyś Marconi. Nie trzeba było wcale wykręcać numeru, żeby się połączyć. Pomyślałem wtedy o moich zmarłych i zacząłem z nimi rozmawiać. Głosy brzmiały jasno i wyraźnie, nie zwracali w ogóle uwagi na huk grzmotów. Opowiedzieli mi swoje życie, które nie było życiem, powiedzieli mi, że są spokojni, bo z przeżytego życia nie muszą wcale się tłumaczyć. Potem pożegnali się ze mną, mówiąc: idź do łóżka i kochaj się.

A tymczasem wyglądałem jeszcze przez okno, wychodzące na paryskie niebo, podczas gdy w kuchni gotowała się włoska potrawa. Wieczór był piękny, rzadkie chmury wędrowały lekko po niebie w barwie zbliżonej do kobaltu. Potem dzwony Saint-Germain zaczęły wygrywać wesołego carillon. I letnia burza sprzed trzydziestu lat wróciła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeżyłem ją ponownie, bo rzeczy można przeżyć jeszcze raz w ulotnej chwili, drobnej jak kropla deszczu stukająca o szybę i poszerzająca nasze widzenie świata.

Widziałem z tego okna wielkie miasto, widziałem dachy Paryża, widziałem życie milionów osób, widziałem świat. Miałem złudzenie, że ten rozległy horyzont to wolność, której mnie, albo moim przodkom, bronił drut kolczasty. I wiem, że mogę pisać o tej wolności. I wiem, że może się ona wydać tobie, moja droga Przyjaciółko, przywilejem prawdziwej, wywalczonej wolności. Ale zach-

wuję swoje złudzenia, podobnie jak ty, ponieważ, aby rzeczywiście znaleźć tę maleńką krwinkę, wędrującą pośród milionów krwinek mojej krwi, w której znajduje się moja dusza i która mogłaby przedrzeć się przez drut kolczasty, powinienem naprawdę wyskoczyć przez okno i zdobyć się na to, by mała kropla krwi została utrwalona, niczym pędzlem malarza, tam w dole, na chodniku. Tam byłbym naprawdę i tam mogłabyś mnie naprawdę odczytać. Ale sama wiesz: kto miałby za zadanie mnie odczytać? Ekipa kryminalistyczna, która, dostępnymi sobie sposobami, odcyfrowałaby moją grupę krwi. Zamiast więc tego wszystkiego zostawiam ci słowa, nie ma co grymasić, bo cała reszta to słowa, słowa, słowa.

DOBRE WIADOMOŚCI Z DOMU

Moja droga,

w tym radosnym, świątecznym dniu, na który wszyscy czekamy przez cały rok, piszę do ciebie, moja miła i droga towarzyszko życia, abyś wiedziała, że chociaż nie możesz już fizycznie być obecna, jesteś obecna wśród nas bardziej niż wszyscy inni obecni. Obecna do tego stopnia, że Rosa nakryła nawet dla ciebie w tym samym, co zwykle, miejscu przy stole (pomysł był jej, szczerze mówiąc), położyła lnianą, haftowaną serwetkę, tę, którą kupiliśmy kiedyś w Maladze, i ustawiła... zgadnij, co ustawiła? Zgadłaś: ustawiła serwis подарowany nam w dniu ślubu przez wuja Enrico, może wyda ci się to dziwne, ale przez te wszystkie lata nie był nigdy używany. Synek Tommasa, którego nie można spuścić ani na chwilę z oczu, bo zaraz coś napsoci, stłukł jedną sztukę, ale to nic, chodzi o maleńką miseczkę w kształcie płatków róży, której zastosowania nigdy nie mogliśmy odgadnąć i która służyła mi jako popielniczka, kiedy zapraszaliśmy gości na kolację. Ale ponieważ przestałem palić, wcale mnie nie zmartwiło — mam nadzieję, ciebie też nie — że Masino (zacząłem go nazywać

tak, jak nazywaliśmy naszego Tommasa, kiedy był dzieckiem) stłukł tę głupią miseczkę, której zastosowania nigdy nie mogliśmy odgadnąć. A może się zmartwiłaś? No, bo gdybyś się zmartwiła, mógłbym zrozumieć, byłbym wręcz pierwszy, który by rozumiał, wiem przecież, jaką wagę przywiązujesz do rodzinnych pamiątek, oznaczają dla ciebie tradycję, twoich przodków i nawet miseczka od wuja Enrico może w jakiś sposób symbolizować świętej pamięci wuja Enrico. Dziwne, że nigdy nie zależało ci na rodzinnych klejnotach, z wyjątkiem diademu, do którego zabrania cię zmusiłem. Pomyśl na przykład o kolczykach z nefrytu albo o naszyjniku z ametystów twojej ciotecznej babki Fenël, zawsze mówiłaś, że są zbyt marokańskie albo egipskie, albo tureckie, słowem, zbyt zalatują Wschodem, tak jak zbyt zalatywały Wschodem twoje cioteczne babki, i, ostatecznie, trzymałaś wszystkie te klejnoty w puzderkach, nawet kiedy wypadalo jakies ważne wyjście, uciekałaś się do wymówki, jakoby w ametystach nie jest ci do twarzy. Nieprawda. Posłuchaj: nasza synowa, może po to, by sprawić mi przyjemność, poprosiła mnie dzisiaj, abym pozwolił jej włożyć właśnie naszyjnik z ametystów, mówiąc między nami, ma oczy podobnego koloru jak twoje, wyglądała w nim przepięknie. Nasza synowa, nawiasem mówiąc, jest świetną dziewczyną, chyba Tommaso nie mógłby znaleźć lepszej żony. Dzisiaj chciała przyrządzić pierwsze danie (zdenerwowało to trochę Rosę, ale nasza synowa, bystra kobieta, zorientowała się w mig w sytuacji i pozwoliła

Rosie przygotować drugie, mówiąc: Roso, wejdę tylko na pięć minut do pani królestwa) według nieznanego mi przepisu, chyba i ty go nie znasz (podejrzewam, że chodzi o nouvelle cuisine, chociaż przysięgała, że to tradycyjna potrawa z Kampanii): tagliatelle po positańsku. Wiem, że ta nazwa cię denerwuje, bo wyobrażasz sobie od razu grupkę snobów, takich, jakich poznawaliśmy czasami latem, co to jedzą grejpfrut na śniadanie rano, czyli w południe, potem na plażę i znowu spać. Nic z tych rzeczy. Do zrobienia sosu potrzebne jest jedno jajko na głowę (nie wzięliśmy pod uwagę Masina), trzeba ubić białka i żółtka, wymieszać z tartym parmezanem, plasterkami cukinii lekko podsmażonymi na oliwie, szczyptą pieprzu i łyżeczką masła. Wydaje się, że cały sekret polega na tym, aby jajko się nie ścięło, i kiedy wylewa się wszystko na gorące tagliatelle, trzeba szybko mieszać, lepiej robić to we dwoje. Dzień był piękny, doprawdy prawdziwa Wielkanoc. Dziennik telewizyjny pokazał oczywiście na samym początku turystów, którzy, korzystając z kwietniowych świąt (jak wiesz, również we wtorek jest święto), ruszyli tłumnie na wilegiaturę, tak uparcie mówią w telewizji, nie wiedząc, że wilegiatura pochodzi od willi, gdzie niegdyś udawano się na wilegiaturę, ale ci nieszczęśliwcy, stojący w kilometrowych korkach na autostradzie, aby spędzić dzień poza domem, przypominają raczej galerników. Clou dziennika telewizyjnego nastąpiło jednak wtedy, kiedy prezenterka, wyzywająca blondyna o ostrym głosie, zawrotnym dekolcie,

karminowych, wydatnych wargach, z wyrazem twarzy kogoś, kto występuje w dość śmiałym filmie, oznajmiła telewizjom: na autostradzie takiej i takiej zderzyło się osiem samochodów, trzy spały się, a pasażerowie, w sumie siedem osób, wśród nich dziecko, spłonęli, na razie nie sposób ustalić tożsamości ofiar, również dlatego, że tablice rejestracyjne samochodów zniszczył ogień, policja usiłuje odnaleźć rodziny na podstawie numerów podwozia, które trudno jednak wydobyć spod wraków. Teraz, dodała, w dalszej części naszego dziennika przedstawimy państwu efektowne sceny z wyścigów samochodowych, które odbyły się wczoraj w Stanach Zjednoczonych. Tam również wydarzył się niezwykle wypadek, jak mogą państwo zobaczyć, na szczęście, obyło się bez ofiar, pilot wysiadł, cały i zdrowy, uniósł nawet dwa palce na znak zwycięstwa.

Tak się rzeczy mają na tym świecie, moja droga, często zazdroszczę ci miejsca, gdzie przebywasz. Żyjemy naprawdę w dziwnych czasach. Również dzisiaj, w telewizji, widziałem program o jakimś afrykańskim kraju, na który spadło kolejne nieszczęście, albo kilka nieszczęść naraz, pokazywano dzieci chude jak szkielety, z ogromnym brzuchem i zasuszoną twarzą, widać było tylko wielkie oczy i muchy na całej skórze. Trochę później, ale w innym programie, do którego zapraszani bywają politycy, zawsze bardzo eleganccy, jakiś przywódca oznajmił, że jego partia stawia na pierwszym miejscu problem adopcji: trzeba ją ułatwić, wyjaśnił z uśmiechem, biurokracja związana z

adopcją jest u nas zbyt skomplikowana, wiele rodzin, pragnących mieć dziecko, oczekuje z niecierpliwością na możliwość zaadoptowania go. Krótko mówiąc: co roku na świecie umiera kilka milionów dzieci z powodu chorób i niedożywienia, ale pociescie się, drodzy telewizzowie, bo jeśli moja partia wygra wybory w przyszłym roku, będziecie mogli zaadoptować setkę dzieci więcej.

Po południu zdrzemnąłem się w fotelu, tym, co zawsze, wiesz, że mnie wystarczy kwadrans, potem grałem w szachy z Tommasem. Nie pamiętam, czy wspominałem ci, że Tommaso już nie kłamie, ciągle się tym dręczyłaś, i zwierza mi się. Wyczułem, że coś jest nie w porządku: czasami patrzy pustym wzrokiem, czasami, ni stąd, ni zowąd robi się wesoły, czasami odpowie coś bez sensu. Skorzystałem z tego, że zostaliśmy sami, i spytałem go niespodziewanie: Tommaso, mówię, masz inną kobietę, prawda? A on na to: tak. Jakże, mówię, jakże tak? Spytałeś mnie, więc ci odpowiedziałem, uciał. Tommasa zawsze pociągały kobiety, niemal już w dzieciństwie, wiesz o tym lepiej ode mnie. Ale takiej żonie, pięknej, dobrej, wspaniałej towarzyszce życia, a w dodatku, jaka z niej matka, żebyś wiedziała, jak dba o Masina, mówię mu, Tommaso, takiej żonie, jak możesz to robić? Patrzy na mnie i ma oczy pełne łez. To mi nie, wyszeptał, zobaczysz, że minie, może to jakaś mania, pewnie jestem podobny do mamy, zobaczysz, że szybko minie. Zrobiło mi się go trochę żal. Zaczyna siwieć na skroniach, wcześniej ode mnie, bo ja miałem czarne włosy jeszcze po pięć-

dziesiątce. Zaproponowałem: Tommaso, opowiedz mi. A on rzekł, rozkładając ręce: daj spokój, tato, takie jest życie, nigdy nie wiadomo, w jakim kierunku się potoczy, zobaczysz, że wróci do swego normalnego biegu. Może wyda ci się to dziwne, ale mnie uspokoił. Ciekawe, że ojciec czuje się uspokojony przez syna, kiedy właśnie się o niego martwi. Bo co do mnie, nie mam już wielkich aspiracji. Wycofałem się w prywatność, jak to się mówi. Mój kolega Caponi, ten, który wygrał konkurs na urbanistyczny plan naszego miasta i którego kiedyś uważałaś za prawdziwego rekina, okazał się w rzeczywistości drobną rybką. Kupił kawałek ziemi koło nas, ziemi pod zabudowę, i postawił dom, żeby zamieszkać tu po przejściu na emeryturę. Oczywiście sam zrobił projekt i dom, znów się zdziwisz, dość mu się udało. Nie żeby jako architekt był coś wart, co to, to nie, ja byłem lepszy, również na Wydziale wszyscy o tym wiedzieli, ale przynajmniej w tym wypadku się popisał. Oszklone drzwi wychodzą na ogród na zboczu (dom stoi na wzgórzu od wschodniej strony), skąd widać całą okolicę. Rodzaj zagospodarowania przestrzeni przypomina bardzo (powiedziałbym, za bardzo) dom nad wodospadem Wrighta, oczywiście w skromniejszej wersji, przede wszystkim dlatego, że nie ma wodospadu, całość wygląda jednak przyjemnie, a wewnątrz urządzone jest z gustem. W zeszłym tygodniu zaprosił mnie na kolację i spędziłem całkiem miły wieczór. Zadzwoił do mnie: mój drogi, powiada, nie widzieliśmy się sto lat, skoro jesteśmy teraz sąsiadami, głupio uda-

wać, że się nie znamy, a poza tym, mam wielką ochotę zobaczyć się z tobą, żyjemy tu z żoną we dwoje, wiesz, syn, odkąd się ożenił, mieszka już na stałe w Paryżu, może wpadłbyś jutro na kolację?

Rozmawialiśmy o dawnych czasach na Wydziale, o Iksie i Igreku. I o niektórych drobnych zdarzeniach — na przykład o Radzie Instytutu — które wyparłem kompletnie z pamięci, a które on pamiętał ze wszystkimi szczegółami, choćby moment, kiedy Sabatini (pamiętasz, ten, co wykładał estetykę, wyglądał jak pies bernardyn, poczciwy, że do rany przyłóż) omal nie pobił się z dyrektorem administracyjnym z powodu stypendium, na którego temat ten ostatni zrobił kilka złośliwych uwag. Rozmowa zeszła nieuchronnie na ciebie, chociaż starałem się mówić jak najmniej: tak, naturalnie, jest mi dobrze, tak jak jest, Tommaso i jego żona troszczą się o mnie, dzwonią co wieczór, czyż nie mam cudownej synowej? Oczywiście, że mam cudowną synową, w każdym razie Tommaso zasłużył na kogoś takiego. Tommaso jest bardzo zdolny, czy to prawda, że został potentatem finansowym? no cóż, nie przesadzajmy, Tommaso już w szkole był świetny z matematyki, w liczbach nie miał sobie równych, to dar natury, po dyplomie z ekonomii przeszedł praktykę w dużym banku w Mediolanie, ale zasługa pozostaje przede wszystkim wykładowców, chociaż potrzebny jest też uczeń, który potrafi się uczyć, a Tommaso uczył się świetnie, tak czy owak wszystko zawdzięcza temu geniuszowi finansowemu, który go polubił i przekazał mu całą wiedzę, żeby jednak

Tommasa nazywać potentatem finansowym, to gruba przesada, powiedzmy, jest kimś, kto liczy się w świecie finansów, tak, to prawda, jest doradcą ministra, ale doradza tylko sporadycznie, kiedy go wzywają, nie jest na etacie, również dlatego, że ktoś taki jak on nie może spędzać całych dni w ministerstwie, rozumiecie chyba. Tommaso musi jeździć do Londynu czy Nowego Jorku co najmniej raz w miesiącu, bada puls giełdy, nie potrzeba mu dużo czasu, Tommaso taki już jest, spędza na Wall Street trzy dni i wie, skąd będzie wiał wiatr przez najbliższe trzy miesiące w Europie, w tej dziedzinie jest naprawdę kimś w rodzaju geniusza. Wtedy żona Caponiego powiedziała: rzeczywiście, kto by się spodziewał, taki trudny chłopiec jak pański Tommaso, miał takie ciężkie dzieciństwo. Ciężkie do pewnego stopnia, zauważyłem, nie wdając się w szczegóły; wie pani, dzieci wydają się czasami w dzieciństwie trudne, ale potem to mija. Niestety nie zdają sobie one sprawy z konsekwencji, ciągnęła dalej pani Caponi, im może i mija, ale co się miało stać, to się stało. Próbowałem zmienić temat i z trudem, ale mi się udało, chociaż żona Caponiego uparła się, żeby wyciągnąć ze mnie, co zaszło, pewnie pomyślała sobie: wreszcie dowiemy się, jak to wszystko wyglądało, dziś albo nigdy. Ale nie, moja droga, zapewniam cię, wiesz, jak zależało mi zawsze na tym, żeby nikt nie dowiedział się niczego o Tommaso. W dodatku, muszę ci powiedzieć — to akurat muszę ci powiedzieć, wybac mi — że Tommaso robił zawsze wszystko, co tylko możliwe, aby przy-

znać ci rację. Postępował nieświadomie, to oczywiście, całkiem jasne, zważywszy, jak się później zmienił, jaki zrobił się pewny siebie, i tak dalej. Ale na początku zachowywał się w taki sposób, że nikt nie mógłby się z tobą nie zgodzić, usiłował za wszelką cenę podkreślać swoje tak zwane „problemy”, problemy, które miałaś przez niego, to mam na myśli. Słowem, „przymus poczuwania się do winy”. Wiesz, to nie jest tylko określenie Greta, która pierwsza się nim zajęła z wielką troską i cierpliwością, ale również sławnego klinicysty, psychiatry z Genewy, do którego zawiozłem go pół roku po tym, co się stało. Greta mi to doradziła, ona także już była bezsilna, po tym jak odeszłaś, to ja wozilem go na wizyty i pewnego dnia Greta mi powiedziała: w całej tej historii coś się nie zgadza, sama sobie jednak nie poradzę, może jako psychoterapeutka nie nadaję się do tak skomplikowanego przypadku, ktoś musi mi pomóc, znam pewnego luminarza psychiatrii dziecięcej, chciałabym poznać jego zdanie. I skierowała mnie do profesora z Genewy, powierzając mi wszystkie papiery z notatkami, jakie robiła w ciągu roku, w którym oddałem jej pod opiekę Tommasa, włącznie z twoimi wyjaśnieniami, dlaczego Tommaso został w domu. Również tamtego dnia w Genewie Tommaso zrobił wszystko, aby przyznać ci rację. Podróż pociągami okazała się prawdziwym piekłem. Zachowywał się niespokojnie, przeszkadzał kobiecie, jadącej w naszym przedziale, wyszedł na korytarz, zaczął przechodzącą obok niego ładną dziewczynę, która o mało co

nie spoliczkowała go. U psychiatry natomiast był zupełnie spokojny, istny aniołek, cały czas wpatrywał się w sufit. Profesor okazał się potężnym mężczyzną o silnych dłoniach, niebieskich oczach i rudawych włosach, wyglądał raczej na robotnika niż na wielkiego psychiatrę i mówił tak, że się go rozumiało: słowem, ktoś, kto budzi zaufanie. Wolałbym, aby zostawił nas pan samych, powiedział i wprowadził mnie do sąsiedniego pokoju, a Tommasowi polecił rozebrać się i położyć na kozetce. Była to bardzo długa wizyta, trwała około godziny. Potem zawołał mnie, zobaczyłem Tommasa siedzącego na taborecie, już ubranego, ze wzrokiem wbitym w sufit. Teraz on musiał wyjść, profesor wprowadził go do tego samego pokoju, gdzie przedtem ja czekałem. Spojrzał na mnie, potrząsnął głową i zaczął przeglądać papiery dostarczone mu przez Gretę. Czytał i mruczał: zupełna wariatka. W pewnym momencie spytał: ile lat ma pański syn? Dwanaście, prawie trzynaście, odpowiedziałem. Nie zareagował i w dalszym ciągu czytał, pomrukując: kompleks... kompleks... jeszcze jeden kompleks... manie... nieznane zaburzenia... Ile lat, mówił pan, ma pański syn? powtórzył pytanie. Dwanaście, prawie trzynaście, raz jeszcze odpowiedziałem. Oddał mi papiery i spojrzał prosto w oczy. Drogi panie, rzekł, co się tyczy genitaliów, mam na myśli organ męski, pański syn mógłby mieć dwadzieścia lat, lub nawet trzydzieści, wie pan, drogi panie, jest dokładnie taki, jak pana albo mój, a może nawet trochę lepiej wyposażony, nie wiem, czy wyrażam się jasno. Nie, zaprotestowa-

łem, nie wyraża się pan zbyt jasno. Ale kim jest ta wariatka? spytał. Nie odpowiedziałem, bo nie chciałem mieszać do tego wszystkiego Grety, przecież nikt inny tylko ona skierowała mnie do tego luminarza. Czy pan również był tak wcześnie rozwinięty pod względem płciowym? spytał mnie. Nie, odpowiedziałem, byłem normalny. No cóż, zauważył, z normą jest jak ze statystyką, czy w pańskiej rodzinie zdarzyły się podobne przypadki? O ile wiem, nie, odrzekłem. Jest coś takiego jak endokrynologia, zaczął profesor, bada system hormonalny, w tym cała rzecz, pański syn zważywszy na swój wiek, ma system hormonalny trochę poza normą, włącznie z organami płciowymi, i nie wie, oczywiście, jaki zrobić z nich użytek, jego system hormonalny skłania go do używania ich zgodnie z naturą, ale niech sam pan powie, w wieku dwunastu lat wiedziałby pan, jaki zrobić z nich użytek? oczywiście, że nie; a zatem, musimy mieć trochę cierpliwości, niech mu pan da nieco podrosnąć, wystarczy poczekać pięć, sześć lat, wszystko się wyrówna, bo w tej chwili jego dość szczególny system hormonalny jest trochę w innej fazie, teraz wyraziłem się jasno? Całkowicie, przytaknąłem. Postukał dłonią po papierach leżących przed nim na biurku i raz jeszcze zapytał: ale kim jest ta wariatka? Jak możesz się domyślić, sytuacja zrobiła się naprawdę kłopotliwa: jeśli dotarłem do tego profesora, któremu udało się rozwikłać dręczący nas problem, zawdzięczałem to właśnie Grecie, będącej nie tylko znakomitą psychoterapeutką, ale i twoją najlepszą przyjaciółką. Odpowie-

działem więc: to pańska koleżanka, panie profesorze, nasza zaufana psychoterapeutka, wolałbym jednak nie wymieniać jej nazwiska. Nie o niej mówię, zniecierpliwiał się profesor, chodzi mi o obłąd tej drugiej osoby, prawdziwy obłąd, wszędzie widzi duchy, nawet nie wie, w jakim jest stanie, to dopiero niepokojące, naprawdę znajduje się ona w tragicznej sytuacji. Znajdowała się, powiedziałem, popełniła samobójstwo pół roku temu. Jak to? zapytał. Jego matka, wyjaśniłem, moja żona. Matki bywają niecierpliwe, orzekł, i za bardzo martwią się o dzieci.

Moja droga, nie ma sensu mówić ci, jaki ból nam sprawiłaś, rzucając się do studni, wspominałem ci, że Tommaso, który nie rozumiejąc, rozumiał, aby tylko się ciebie nie wyprzeć, odgrywał jeszcze przez pewien czas nienormalnego, jakiegoś cztery, pięć lat. Potem przestał i zrobił się całkiem normalny, bardzo normalny, nawet za bardzo. Cieszę się, że jest taki normalny, ale zapewniam cię, że spędzenie z nim całego dnia to śmiertelna nuda, nie wiem, jak jego żona może go znosić, bo jest kobietą ciekawą wszystkiego i z dużą wyobraźnią, to ona powinna znaleźć sobie kochankę, a nie odwrotnie, jak właśnie się stało. Nie chciałbym, abyś pomyślała, że od razu zacząłem żyć z Gretą. Zresztą nigdy nie żyliśmy ze sobą naprawdę, naprawdę razem, mam na myśli zamieszkanie pod jednym dachem. Próbowaliśmy przez kilka miesięcy, ale nie dałem rady, wolałem wrócić do naszego starego domu, gdzie przynajmniej czuję twoją obecność. Trzeba przyznać, że Greta, bie-

daczka, przy wszystkich swoich zaletach jest z kolei najnudniejszą osobą na świecie: nigdy żadnego spontanicznego odruchu, nigdy żadnego szalonego pomysłu, nigdy żadnej intuicji, nigdy żadnego nagłego pragnienia albo kaprysu, jak było z tobą, a przecież wszystko to przydaje życiu smaku. Wracając wieczorem zmęczona po wszystkich tych rozmowach z pacjentami, zjadała sałatkę i jakiś owoc, zasiadała przed telewizorem, potem, aby nie tracić czasu, stawiała wszystko na tacy i już mogła oglądać telewizję, fascynował ją pewien wypomadowany dziennikarz, który przeprowadza wywiady z wszystkimi politykami w kraju, niewiarygodne, kładłem się do łóżka i czytałem. Wiesz, co ci powiem, w pewnym momencie pomyślałem, że prawdziwym obłądem jest zwyczajność, nie sądzisz?

Pewnie, wielka szkoda, że zdecydowałaś się na ten krok. Minęły już lata, moja droga, tyle lat, naprawdę tyle lat. A przecież, patrz, jak o tobie pamiętamy, jak o tobie pamiętam. Jesteś zawsze przy mnie, wiesz o tym, towarzyszysz mi w każdej chwili mojego życia. Chociaż teraz żyję na dziesięć procent. Ale kiedy żyłem na sto procent, tak jak i ty, jakże piękna, jakże wielka była nasza namiętność. Tak wielka, że komórki mojego ciała są jeszcze nią przepojone, niczym gąbka nasiąknięta wodą morską, która ją wyżywiła. Bo później, moja droga, to była już tylko woda słodka, wręcz mdła, jaki więc ma sens, zastanawiam się, żyć dalej, skoro ani szczypta soli nie pobudza już mojego podniebienia?

KOMU POTRZEBNA HARFA
Z JEDNĄ STRUNĄ?

*Jeśli ten głos obudzi cię w nocy,
kiedy obejmuje cię mąż leżący obok,
nie śpij, jeśli nie chcesz spać,
ale udawaj, że ogarnął cię głęboki sen.*
„Voce'e notte”, piosenka neapolitańska
E. Nicolardiego i E. De Curtisa

Miłości moja,
dowiedziałem się przypadkiem, że jeszcze żyjesz. Stary sprzedawca jarzyn z Szarii Farassy miał dziadków Włochów, zależy mu na utrzymaniu kontaktu z krajem przodków i pewnie dlatego zaprenumerował gazetę, dostarczaną mu prosto do sklepu, może zresztą wcale jej nie czyta i naza jutrz zawija w nią sałatę. Raz na tydzień gazeta poświęca trochę miejsca kronice życia na prowincji, tej prowincji, gdzie poznaliśmy się i której nie zapomniałem, wiesz? dobrze pamiętam wysadzone cyprysami aleje, gdzie jeździliśmy na rowerach, jesienne ranki, kiedy błękitna mgiełka unosiła się znad młodych dębów, wiejskie zagrody w dolinie i pierwsze skupisko domów — w jednym z nich mieszkała twoja rodzina — i twój uśmiech,

to doprawdy dziwne, że widzisz, jak uśmiecha się on do ciebie z pomiętej gazety, z której wyjmujesz owoce i warzywa na stole w swoim pokoju, i spostrzegasz ten sam uśmiech sprzed czterdziestu lat, kiedy powiedziałaś mi: cześć, do jutra.

Jak to się rzeczy mają i co nimi kieruje: byle drobiazg. W sierpniowe wieczory o zachodzie słońca nadmorskie sosny, rosnące w naszych stronach, zapalają się, w dzień intensywnie zielone, stają się najpierw koloru blond, potem różowe, potem ceglaste, może dlatego Luxorius przemienił się w Rossore,¹ czasami fałszywe etymologie prowadzą do słusznego wniosku. Pomyślałem: rumieniec. I pomyślałem o wstydzie. Zsiadłem z roweru, czułem, że pali mnie twarz, czerwona jak barwa na sosnach. Dwa kroki dalej, za aleją, wzdłuż której ciągnął się po obu stronach mur, stał dom rodziny Ascoli. Została tylko Luciana, z młodszym kuzynem, wujowie już nie wrócili. Minęły trzy lata, odkąd skończył się koszmar, wszyscy wiedzieliśmy, co się z nimi stało, po co dłużej czekać? i dlaczego nie poszedłem do nich nigdy więcej, żeby im coś powiedzieć, cokolwiek: dobry wieczór, wystarczyłaby choćby sylaba. Wiem, co byś mi odpowiedziała: no tak, a twój wujowie? dlaczego nadal czekasz na swoich wujów? nigdy o nich nie mówisz, zupełnie jakby wyszli z domu na wycieczkę i mieli lada chwila wró-

¹ Rossore — nadmorska miejscowość w Toskanii, łacińska nazwa: Luxorius; *rossore* znaczy po włosku rumieniec wstydu (przyp. tłum.).

cić. Dlatego, odpowiedziałbym ci, dlatego i już, bo wszystko jest takie absurdalne, tak nieznośnie absurdalne, przecież ja również udawałem, jak wszyscy inni, że nasi krewni zaraz wrócą, potrafilismy nawet śmiać się z ustaw tego paskudnego karła przebranego za cesarza i wymyślać na jego temat dowcipy, twierdziliśmy: w każdym razie nam nic się nie może stać, tamci są prymitywnymi potworami z wypiętą piersią, ale my mamy przecież kulturę, tradycję oraz trochę pieniędzy. A jednak w mgnieniu oka wszyscy zniknęli. Pomyślałem: wejść, nie wejść, wejść, nie wejść, jakbym obrywał płatki margerytki. Nie wszedłem. Tymczasem zdążyłem wypalić z dziesięć papierosów, nazywały się „Giubek”, gasiłem niedopałki o podeszwę buta, wsiałem z powrotem na rower i wróciłem do domu, gdzie nie było nikogo, kto by na mnie czekał, i gdzie nie czekałem już na nikogo.

Miłości moja, wybac mi, jeśli nazywam cię jeszcze tak, jak nazywałem cię wtedy, po tylu latach nie wiem już, jak mam cię nazywać. Jak zwracać się do ukochanej kobiety, która powiedziała nam cześć, do jutra i którą porzuciło się, nie zostawiając nawet listu z wyjaśnieniem? Bo byłaś moją miłością przez całe życie, a także moją kobietą, ponieważ moje ulotne związki z nielicznymi kobietami były jedynie dla zaspokojenia zmysłów i co noc, kiedy próbowałem zasnąć w pustym łóżku, mówiłem do ciebie: miłości moja, sama zaś myśl, że trzymam cię w ramionach, wydawała mi się zawsze wielkim przywilejem. Pamiętam pierwszą

noc mojej ucieczki, w Neapolu, w marnym hoteliku, który był moją pierwszą kryjówką, podśpiewywałem w ciemności cichutko *Voce'e notte*, jak gdyby, wskutek tej śpiewanej w ciemności piosenki, mój głos mógł do ciebie dotrzeć, życzyć ci, abyś znalazła dobrego męża, mężczyznę, który kochałby cię i obejmował nocą, abyś w jego ramionach zapomniała zło, które ci wyrządziłem, i aby był dobrym człowiekiem, czystym i niewinnym, i aby nie był niczyją ofiarą, bo ja, czując się ofiarą, nie byłem już niewinny i wobec ciebie okazałem się najbardziej winny i największym tchórzem.

Ale wczoraj zobaczyłem cię ponownie w gazecie sprzedawcy jarzyn i to wszystko, co próbowałem przez te lata pogrzebać, dzień po dniu, rok po roku, z cierpliwością godną er geologicznych, wróciło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, mój trud rozwiął się w nicości, albo raczej stało się tak, jakby pod stopami rozwarła mi się przepaść czasu, zapadłem się w nią i spotkałem cię, ponieważ nie można oprzeć się fotografii w pamiętej gazecie z resztkami sałaty, zdmuchnąłem warstwę ziemi pokrywającą ci oczy i tam, gdzie jesteś ty, ja również powróciłem. Piękna ta fotografia, ponieważ nie ma w niej fałszu, to znaczy: odzwierciedla wszystkie minione lata i pokolenia, które owe lata uosabiają. Przedstawia cię z profilu, z kartką w ręce, wyglądasz, jakbyś czytała, ale znam cię, zawsze wiedziałaś, co powiedzieć, z tym twoim jasnym umysłem nie potrzebujesz czytać z kartki. Obok ciebie twój wnuk, informuje podpis, nazywa się Sebastiano, gra na organach, imię jak zna-

lazł. Ładny chłopiec, wystające kości policzkowe, kręcone włosy, bardzo do ciebie podobny, chciałbym go uściskać, bo przypomina mi ciebie, kiedy byłaś dzieckiem, jakże bym chciał, żeby był i moim wnukiem, naszym, synem syna, którego z tobą począłem. W artykule, napisanym w eleganckim stylu, powiada się, że zagrał na organach koncert Carla Philippa Emanuela Bacha, skomponowany w 1762 roku, zatytułowany *Solo na harfę*, i że publiczność wzruszyła się. Jakie wszystko jest dziwne: może również dlatego zdobyłem się na odwagę, żeby do ciebie napisać: ponieważ twój wnuk wykonał w organowej wersji solo na harfę, które ja zagrałem kiedyś na harfie tylko dla ciebie, na łące przed wiejskim domem, pewnego wieczoru 1948 roku, kiedy miał wzejść sierpniowy księżyc w nowiu. I tak jak trwa twój uśmiech, koncert tamtego wieczoru, przy księżycu wschodzącym nad wiśnią, rozbrzmiewa w powietrzu, kieruje się ku niskim wzgórzom, odbija się, wraca, muska nas, ginie wśród dźwięków natury, towarzyszy bryzie owiewającej liście. Patrz, szepczesz cicho, nadciąga burza, czuję, że zbiera się nad doliną, przerwij swoje akordy, mój mały Dawidzie, uszanuj potęgę żywiołów. Odkładałem instrument, którego dźwiękami cieszyliśmy się wspólnie, i zaczynamy przyglądać się ogniovi szalejącemu na horyzoncie, czekając, aby on również się uspokoił, podobnie jak krew, która, krążąc zbyt szybko w naszym ciele, wybucha i potrzebuje chwili przerwy. W ciszy, którą fotografia mi przekazuje, patrzę na widownię przed tobą. Dzieci i mąż sie-

dzą w pierwszym rzędzie, wyglądają na szczęśliwych, jak ci, którym los podarował dobrą matkę i dobrą żonę, a z uśmiechów, malujących się na twarzach słuchaczy, można wywnioskować, że byłaś również dobrą przewodniczącą naszej wspólnoty, dlatego uwielbiają cię za to, co potrafiłaś zrobić. I tak, z fotografii w gazecie sprzedawcy jarzyn, poznałem twoje życie i pomyślałem, że chciałbym, abyś poznała moje. Ale jak je opowiedzieć? Jak można opowiedzieć życie, które przybrało pozór śmierci, ukrywając się przed życiem? Niemożliwe, pomyślałem, chyba można tylko opowiedzieć „gdzie”, a nie „jak” i „dlaczego”. Zresztą moje „jak” znasz od zawsze, składa się z dźwięków, czyli z nut, które wydobywałem niezmiennie z mojego instrumentu. A dźwięki były dla mnie dostępne tylko w niektóre wieczory, nie we wszystkie, początkowo nie było łatwo, zresztą, nigdy nie było. W roku, w którym odszedłem, twój kraj, mający być i moim, wydawał się rodzić na nowo do życia. Jakie podniecenie wyczuwało się w powietrzu! I jaki zapach! Mieli głosować, po raz pierwszy po tylu latach, pomyśl tylko, i fakt ten sprawiał, że czuli się pełni zapachu i energii, myśleli, że nie są tymi, którzy przeżyli, ale że urodzili się na nowo, co jest zawsze pięknym złudzeniem. Ja tymczasem dojechałem do Neapolu i wynająłem pokój w hoteliku położonym przy jednym z zaułków. To było moje pierwsze „gdzie”, ale oszczędzę ci go. Chcę ci jednak powiedzieć, że Neapol jest najpiękniejszym miastem na świecie. Nie jako miasto samo w sobie, bo jest piękne jak wiele innych, ale

z powodu ludzi, którzy są naprawdę najpiękniejsi na świecie. Na mojej uliczce można spotkać sprzedawców owoców, handlarzy ryb, opryszków. Ale byli tym wszystkim tylko za dnia, ponieważ, kiedy nadchodził wieczór i cichł gwar dzielnicy, drobnego handlu i ciemnych interesów, nikt nie był już sprzedawcą owoców, handlarzem ryb albo opryskiem, ludzie zaczęli myśleć tylko o tęsknocie, jak gdyby w poprzednim życiu byli kimś innym lub jak gdyby w hipotetycznym życiu przyszłym mogli stać się kimś innym niż sprzedawcą owoców, handlarzem ryb albo opryskiem, wyciągali z suterren krzesła i ktoś, patrząc na zaułki i ich brudną geometrię, jakby to był horyzont, intonował piosenkę, ale bardzo cicho, powiedzmy *Voce'e notte*, zaraz przyłączały się inne głosy i było to coś w rodzaju śpiewanej, chóralnej modlitwy, aż zaczął dominować jeden głos i słyszałeś na przykład *luntane'e te quanta melancunia*², ale ta melancholia nie należała tylko do nich, była tą samą, którą odczuwali ich ojcowie albo dziadkowie, emigranci w Ameryce, i oni odczuwali ją za tamtych, jakby to był spadek, którego nie można odrzucić i którego ciężar i udręka trapią nas jeszcze bardziej. Akompaniowałem im na harfie, wieczorem zostawiałem ją w sklepiku sprzedawcy owoców, to on właśnie miał najpiękniejszy głos, sam był gruby i brzydki, zezował jednym okiem i może dlatego natura chciała mu wynagrodzić braki, obdarzając go pięknym głosem. W soboty natomiast wkłada-

² Z dala od ciebie, cóż za melancholia.

łem frak i zajmowałem swoje miejsce w orkiestrze wielkiego teatru; przed sobą, podczas gdy maestro poruszał batutą, widziałem elegancką publiczność, mężczyzn w smokingach, kobiety w długich sukniach, wsłuchiwali się w magię, którą tylko muzyka może wywołać i która sprawia, że zapominamy o podłościach życia. W tym przepięknym teatrze, pełnym sztukaterii i złocień, gdzie grałem w orkiestrze jako harfista Barucco (wybrałem sobie takie nazwisko, jestem pewny, że ci się spodoba), nigdy nie grałem solo. Ale miałem swój udział we wspólnych wykonaniach, na przykład w krótkim koncercie na harfę w kwartecie złożonym z harfy i klarnetów Castelnuovo-Tedesco, zagranym przez nas, kiedy teatr otworzył na nowo swoje podwoje po koniecznych pracach konserwatorskich. A także w kwintecie na harfę, flet, klarnet, saksofon i gitarę Villy-Lobosa, to ten utwór nas zespolił, uczynił z nas orkiestrę. Mam na myśli orkiestrę w fazie tworzenia się, ponieważ co tydzień pojawiał się nowy muzyk, panował wtedy straszny głód, wielu z nas miało dziurawe buty, ale przecież graliśmy. Postanowiłem odejść dopiero cztery lata później. I nie dlatego, że nie lubiłem tego miasta, bo, jak już wspominałem, pokochałem je całym sercem, ale dlatego, że przyszło mi do głowy, żeby zrobić... nie wiem, jak to ująć, otóż... coś jakby inwentaryzację. Inwentaryzację czego? spytasz mnie. Ot, tak, nie inwentaryzację w ścisłym znaczeniu, ale raczej coś w rodzaju przeglądu, absurdałnego przeglądu, jakby ktoś szukał śladów na śniegu po przejściu zawieii. Flecista po-

wiedział mi, że w orkiestrze w Salonikach potrzebny jest flet i harfa, bo to rzadkie instrumenty. On miał żonę i dzieci w Neapolu, więc został, ja wyjechałem.

Saloniki są miastem przypominającym Neapol, nie są nadzwyczajnie piękne i podobnie jak Neapol pełne są ludzi o pięknych duszach. Ale również jako miasto są piękne, tyle że ich urodę trzeba dopiero odkryć. Na przykład okolice portu, za nadmorskim bulwarem, tam, gdzie kończą się śródmiejskie dzielnice kawiarni i restauracji, tam, gdzie zaczyna się dzielnica Ladakika, baraki rybaków, magazyny powrozów, magazyny oliwy i czujesz, że znalazłeś się na skrzyżowaniu wpływów Morza Śródziemnego, Bałkanów i Wschodu, w tłumie, w którym miesza się rybacy i przybysze, włóczędzy i obcy, w którym zdają się spotykać Maurowie i Fidasze. Różnorodny tłum jest zawsze piękny, bo możesz się w nim zgubić i nikt cię nie będzie szukał, nie będzie cię pytał, kim jesteś i co tu robisz. Tak też postąpiłem, zmieniając nazwisko na Baruckos. Dałem do zrozumienia, że jestem Włochem z Aleksandrii i nie znam greckiego, ale stopniowo uczyć się go.

To w Salonikach zagrałem po raz pierwszy sonatę Hindemitha. Maestro nazywał się Stavros, był starszym panem z drewnianą nogą, trzymał batutę, jak trzyma się widelec przy jedzeniu spaghetti, ale może tylko udawał, bo był wspaniałym dyrygentem, a co do mnie, tamtego wieczoru moje palce przelatowały po strunach, jakby miały skrzydła, nie zdawałem sobie sprawy, że gram, to

harfa sama grała. Odniosłem na swój sposób sukces i sądzę, że pani Ioanna zachowała do dziś wycinki z ówczesnych gazet, pełnych niemal entuzjastycznych recenzji, może również dlatego, że chodziło o kompozytora prześladowanego przez nazizm, który spędził życie na wygnaniu. Tak więc tydzień później, po wielkim koncercie Beethovena, maestro poprosił mnie o wykonanie *Koncertu na harfę Villy-Lobosa*. Entuzjazm był tak ogromny, że słuchacze wstali, brawa nie milkły, grecka publiczność taka już jest, rozgrzewa się, żądała, abym grał dalej, maestro poprosił mnie o zagranie dowolnego utworu, miałem przygotowaną *Sonatę Caselli* z 1943 roku, to przejmujący kawałek, zdaje się przywoływać zmarłych, szkoda, że Casella był faszystą, jego sztuka nie zasługuje na coś takiego, koncert odbywał się w Aghios Gheorghios, jednym z niezwykłych miejsc na świecie, bo daje ci poczucie świętości, nawet jeśli nie wierzysz w świętość. Publiczność wiedziała jednak, czym jest świętość: ich wojna dopiero się skończyła, zbyt dużo ludzi zginęło. Słuchacze w pierwszych rzędach, nie tylko kobiety, ale i starsi mężczyźni płakali, z miasta nie dochodził żaden hałas, jedynym dźwiękiem była harfa i zdawało się, że bierze pod opiekę tych, co ocaleli; zapominając niemal o akordach Caselli, moje palce zaczęły grać starą grecką piosenkę *Thaxanarthis*, co znaczy „powrócisz” i publiczność zaczęła nucić słowa, brzmiało to nie jak ludzkie głosy, było tak, jak gdyby ziemia i morze, i cała natura wokół nas oddychały wraz z nami i oddychając, śpiewały. Po-

tem skończyłem grać i śpiew również ustał, wstaliśmy wszyscy w milczeniu, kobiety zrobiły prawosławny znak krzyża i rozeszliśmy się, w nocy Salonik, każdy do swojego domu.

Moim domem przez wszystkie te lata w Salonikach był pensjonat Petros. Znajdował się w Ladadika, za magazynami z oliwą i powrozami, mającymi przemienić się później w składy mrożonych ryb i paliw. Zaraz po przyjeździe, któregoś z pierwszych dni spędzonych w Grecji, ujrzałem kobietę, która wypełniała wapnem dziury zrobione przez kule w fasadzie domu. Miała nasz profil, piękne włosy i twarz naznaczoną przez życie. Przemówiłem do niej po francusku, ale mnie nie rozumiała. Nie chciałem mówić po włosku i wiedziony dziwną intuicją, powiedziałem „Estó buscando un lugar por dormir”, a ona odpowiedziała mi w ladino albo, jak tu się mówi, w sefarditika, i spytała mnie, skąd przybywam. Znikąd, odparłem. W takim razie jest tu dla ciebie pokój, rzekła, nazywam się Ioanna, potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi doprowadzić dom do porządku, zbudował go mój Petros.

Z pokoju, który przez cały czas zajmowałem, widać morze, a dalej, po lewej stronie, góry na Półwyspie Chalcydyckim, pozwalające odgadnąć, że za nimi zaczyna się Wschód. Spędzałem całe noce w oknie, patrząc na odległe góry, gdzie zapalały się ogniska, myślałem o łące przed domem na skraju lasu, o pewnej nocy, o muzyce, którą wtedy grałem. Łóżko ma metalowe wezglowie, na którym wymalowana jest scena z Arkadii, widać pa-

sterza, ma kostki u nóg przewiązane białą materią, przygrywa na fujarce stadku kóz. Na ścianie, nad łóżkiem, wisi reprodukcja bizantyjskiego Chrystusa, którego naiwny malarz skopiował w ubiegłym wieku dla tutejszych chłopów i rybaków. Przed łóżkiem stoi komoda, gdzie trzymałem bieliznę, a obok — czerwona szafa z drzewa wiśniowego — wieszałem tam zawsze mój frak — z lustrem całym w drobnych plamkach, w którym starałem się przeglądać możliwie jak najrzadziej. Grałem nie tylko w Salonikach, pojechaliśmy również do Alexandropolis, do Aten, do Patras, do Belgradu, z okazji ważnej dla Europy, tak przynajmniej napisano w gazetach. Program nie był zbyt trudny dla mojego instrumentu, wykonywaliśmy znane utwory wielkich kompozytorów, dla mnie przynajmniej były znane. Tylko czasami przypadały mi ciekawsze kompozycje, jak *Sonate liuthée* Migota lub *Impromptu* Fauré, bo poprosiłem maestro o zmianę repertuaru. Tamtego wieczoru, dobrze pamiętam, byliśmy w teatrze Dionizosa pod Partenonem, publiczność stanowili francuscy turyści, przywiezieni tu dwoma biało-niebieskimi autokarami, poszukiwali greckości, a tu trafili na muzykę dekadencją, postanowiłem więc zaprezentować im prawdziwą dekadencję, nie sztuczną, mającą jedynie dostarczyć tanich wzruszeń, lecz wspaniałą, taką, jaką potrafili powołać do życia Migot i Fauré. Ioanna przychodziła do mnie trzy razy w roku: w dzień swoich urodzin, na prawosławną Wielkanoc i w rocznicę swojego ślubu. Bez stukania, uchylała cicho drzwi. Petros, śpisz? szep-

tała w ciemności. Nie, odpowiadałem, stoję w oknie, cierpię trochę na bezsenność. A o czym myśli mój Petros? pytała, kładąc się do łóżka. O wiejskim domu, odpowiadałem, o muzyce pewnego wieczoru, kiedy rozpętała się letnia burza.

W soboty krążyłem po starym mieście, przyglądając się nazwiskom przy dzwonekch u drzwi, nie było już widać nazwisk naszego ludu, nawet tych, którzy od wieków nosili greckie nazwiska. Czasami, bardzo rzadko, dzwoniłem do drzwi. Kogo szukałem? pewnie mnie spytasz. Właśnie, kogo szukałem: samotnej kobiety, ocalałych staruszków, obcych, którzy zastanawialiby się, czego szukam albo kogo? I rzeczywiście, sam się zastanawiam: czego szukałem? kogo szukałem? myślałem może, że jestem Dawidem, który otrzymał zadanie policzenia swoich ludzi? Ale w moim przypadku, cóż to mogło być za liczenie? Czy gromadziłem cienie? Ależ tak, spędziłem w gruncie rzeczy dwadzieścia lat na gromadzeniu cieni, to właśnie robiłem w Salonikach. Zdawało mi się niemal, że wybieram z kosza bez dna nuty, które grałem wieczorami na koncertach. Czy można gromadzić nuty? Nie, nie można, giną tam, skąd przyszły, w powietrzu, bo same są z powietrza.

Kiedy wyjeżdżałem z Salonik do Aleksandrii, Ioanna chciała zanieść moje walizki aż na statek. Zaprotestowałem, bo kobiety nie powinny wysługiwać się mężczyznom, ale ona zadzwoniła po taksówkę, niczym jakaś wytworna dama, i nałożyła kapelusik z woalką. Nie wiem, czy to był kapelusz z dnia ślubu, ale to bez znaczenia. Powiedziała:

Chrisostomo, kochałam cię przez welon i przez welon cię pożegnam. A potem dodała w naszym języku: „va a la bon hora, el Dios que sé con ti”. Widzę ją jeszcze na tle portu, jak macha mi ręką, a następnie rozkłada ramiona, niczym ktoś, kto poddaje się oczywistości życia, któremu poddaliśmy się już dawno. Nazwałem się Chrisostomo, kiedy przyjechałem do Grecji, i jako Chrisostomo figurowałem na afiszach oraz w programie orkiestry w Aleksandrii. Nie była to, ściśle biorąc, orkiestra, bo od samego początku chodziło o kwartet: harfę, flet, obój i wiolonczelę. Ale to nastąpiło dopiero później. Najpierw pojechałem ja sam, ponieważ przeczytałem w gazecie ogłoszenie, że Hôtel Cecil poszukuje muzyka w celu uprzyjemniania czasu gościom w porze aperitif. Instrument klasyczny i muzyka klasyczna, uściślało ogłoszenie. Wysłałem telegram: solista grający na harfie utwory klasyczne. Również umowa zawarta została za pośrednictwem telegrafu.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Aleksandria była już tym samym zrujnowanym miastem co dzisiaj, ale tak zwany elegancki świat dalej bywał w dwóch luksusowych hotelach: Windsor Palace i Hôtel Cecil. Po próbie w obecności dyrektora, Francuzika z Marsylii, udającego, że zna się na muzyce, uzgodniliśmy rozsądne wynagrodzenie. Zaoferowali mi również posiłki oraz mansardowy pokój na piętrze dla służby, umeblowany jak pokój dla lalki, w latach pięćdziesiątych mieszkał w nim szef kuchni, postać ciesząca się podobno w swoim czasie niemałą sławą. Widok był przepiękny, pokaza-

li mi z dumą pokoje Somerset Maughama i Winstona Churchilla, ale pozostałem tam tylko przez tydzień, dopóki nie znalazłem pokoju w jednym z tych hotelików, jakie lubię, stamtąd właśnie do ciebie piszę. Niektóre hotele są doprawdy dziwne: wydaje ci się, że słynne osobistości, które w nich bywały, zostawiły w nich własne nieszczęścia, a ktoś taki jak ja, kto postanowił zniknąć, woli nieszczęście anonimowe, pozostawione przez anonimowych ludzi, takich jak on, którzy zamieszkiwali ten sarni pokój i spoglądali na anonimową twarz w tym samym upstrzonym plamkami lustrze nad umywalką. Jednym słowem, chociaż bulwar Corniche w Aleksandrii nie jest pozbawiony nieco dekadentckiego piękna, postanowiłem znaleźć się poza kadrem. Wybrałem hotelik w dzielnicy Szaria-al-Nabi, tuż za Świątynią, którą zbudowali Włosi, to jedna z niewielu dobrych rzeczy, jakie Włosi dla nas zrobili, chociaż, z architektonicznego punktu widzenia, ten kiczowaty różowy marmur nie jest niczym nadzwyczajnym.

W Hôtel Cecil występowałem przez siedem lat. Siedem lat to bardzo długo, ale nie przypomniało to niewoli, bo Cecil to nie Laban i nie służyłem mu za pasterza, wprost przeciwnie. Wieczorem wkładałem smoking (frak zarezerwowany był tylko na wyjątkowe okazje), trochę wytarty, stanowiący własność hotelu, i uprzyjemniałem gościom czas przez trzy godziny, od siedemnastej trzydzieści do dwudziestej trzydzieści, oni zaś tymczasem pili herbatę albo aperitif. Podczas wszystkich tych wieczorów grałem głównie utwo-

ry łatwych kompozytorów, odpowiednie dla publiczności i stosowne do miejsca: bardzo romantyczną sonatę Hoffmanna. *Grande étude à l'initiation de la mandoline* Parisha-Alversa oraz *Allegro na harfę* Ravela, które jest może łatwe, ale za to bardzo piękne. To prawda, że brakowało sześciu instrumentów przewidzianych przez Ravela, ale trzeba sobie radzić, jak się da, i publiczność nie narzekała. Często zresztą nie słuchała uważnie, ludzie przychodzili tutaj, aby porozmawiać, popatrzeć, pokazać się. Czasami, około ósmej, kiedy nad Aleksandrią pojawia się pomarańczowe światło, przechodzące zaraz w barwę indygo, pomiędzy jednym a drugim klasycznym kawałkiem, grałem akordy *Voce'e notte*, usiłując wydobyć z nich dźwięk uwolniony, jak tylko to możliwe, od funkcji harmoniczných, atmosfera stawała się dziwna, nasycona tajemniczą magią, klienci wyglądali jak zaczarowani, może byli wzruszeni, widziałem, jak ręce z kieliszkami szampana zatrzymywały się w powietrzu, kelnerzy stawiali na komodach tace z kawałeczkami bouri nadzianymi na wykałaczki.

Kiedy zostałem zatrudniony w orkiestrze symfonicznej, postanowiłem wpisać się na listę muzyków tylko jako Chrisostomo, bo imię to odczuwałem jako najbardziej własne. Mój debiut okazał się triumfem, mówię to bez fałszywej skromności. Początkowo przypadały mi tylko akordy, jak zdarza się to często harfistom w wykonaniach muzyki symfonicznej, ale tamten wieczór należał tylko do mnie, bo w programie figurował koncert na flet i harfę Mozarta, jedna z najpiękniejszych rzeczy,

jakie zostały napisane dla harfisty, a może w ogóle w całej muzyce. Orkiestra okazała się wspaniała, flet brzmiał świetnie, ale najważniejszą partię Mozart napisał dla harfy i Chrisostomo nie zmarnował okazji.

I tak minęły lata. Normalni ludzie tego nie uważają, ale tak to często bywa: lata mijają, a oni nawet tego nie zauważają. Co do mnie, mogę ci powiedzieć, że godna zapamiętania była podróż do Abu Simbel, razem z orkiestrą, bo chodziło, powiadano, o naprawdę wyjątkową okazję, mieliśmy grać dla wielkiej światowej organizacji, która znalazła fundusze na ratowanie starożytnych świątyń. Rzeczywiście tamtego wieczoru przyszło wiele ważnych osobistości i zasiadło pośród tysiącletnich kamieni. To była przepiękna noc, wzeszedł księżyc. Miałem możliwość wykonania utworów, które sam wybrałem, i zacząłem od *Danse sacrée* i *Danse profane* Debussy'ego. Potem, po krótkiej przerwie, zagrałem moje solo na harfę. Może nie jest to nadzwyczajny utwór, ale dla mnie ma znaczenie, którego nie ma dla innych, a więc dla mnie był nadzwyczajny tamtej nocy, tam, na pustyni. Wiesz, na pustyni, nocą, kiedy świeci księżyc, piasek iskrzy się niczym morze i zdaje się srebrny. Podczas gdy grałem, myślałem o naszym domu, o tobie. I po raz pierwszy, odkąd zniknąłem, przestałem dręczyć się tą obsesyjną myślą, tym zdaniem, które zmusiło mnie do ucieczki i które rozbrzmiewało cały czas w mojej głowie: komu potrzebna harfa z jedną struną, skoro wszystkie inne się zerwały? Nie wiem, dlaczego przestałem o tym

myśleć, nie wiem, dlaczego tak się stało. Jak to się rzeczy mają i co nimi kieruje: byle drobiazg. Była noc na pustyni, piasek iskrzył się w księżycowym świetle, grałem na mojej harfie i zdawało mi się, że na jej dźwięk zaczęły odpowiadać ziarenka piasku wokół mnie, publiczności, świątyni. Jak gdyby te ziarenka piasku, miliony i miliony, przebudziły się z długiego snu i odpowiadały mi; pieściłem akord w d-moll i odpowiadały mi, trącałem struny w b-moll i odpowiadały mi. Tamtego wieczoru głosy ożyły, zupełny absurd, ale tak było, zmartwychwstały z krematoriów, gdzie je unicestwiono.

Potem już nie podróżowałem, już nie. Zostałem tutaj, w moim hoteliku, w tym moim pokoju. Nie gram więcej w orkiestrze, jestem za stary, gram tylko czasami, wyjątkowo, jeśli harfista zachoruje albo jeśli z jakiegoś powodu nie przyjedzie ze stolicy, ponieważ dzisiaj harfiści miewają kaprysy niczym prawdziwe gwiazdy. To prawie pusty pokój, sama zresztą wiesz. Na prawo wisi lustro, jest jeszcze łóżko, gdzie marzyło się o wielkiej miłości. Gazeta przywróciła mi ciebie, jest w niej napisane, że wkrótce zaproszą cię tutaj, to ma być hołd złożony przez dwie wspólnoty, tak idiotycznie sobie wrogie, tobie, orędowniczce pokoju. To piękne, bo stanowi ukoronowanie marzenia całego twojego życia, które z pewnością miało sens. Nie będzie mnie wśród publiczności, a jeśli nawet będę, to tak, jakby mnie nie było. Może się jednak zdarzyć, że sens czyjegoś życia polega właśnie na czymś tak bezsensownym jak szukanie zaginionych głosów i na wierze, iż, być może, znajdzie się

je pewnego dnia, na który ten ktoś już nie czekał, ale pewnego wieczoru, stary i zmęczony, gra przy księżycu i zbiera wszystkie głosy, docierające z piasku. To cud, myśli, nie żebyśmy potrzebowali cudów, chętnie zostawimy je innym. A więc, myśli, może to tylko złudzenie, marne złudzenie, które jednak przez chwilę, dopóki grałeś tę muzykę, było naprawdę prawdą. Tylko dla niego żyłeś i wydaje ci się, że nadałeś w ten sposób sens bezsensowi, nie sądzisz?

JESTEŚ PRZECIEŻ TAKI DOBRY

Zależne są od nas: sądy, popędy, pragnienia, odrazy

Epiktet,
„Encheiridion”, przeł. L. Joachimowicz

Moja droga,
„... bo tak dalej być nie może, pewnie ty nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ja mam obowiązek myśleć o sobie i próbować się ratować. Czasami w nocy myślałam: co dla niego oznaczam? bezpieczne ognisko domowe, wygodę? Czy to możliwe, abym była na ostatnim miejscu, zupełnie ostatnim? Wiesz przecież, że cię kocham (albo, może, kochałam), postaw się jednak w mojej sytuacji. Jasne, to, co robisz, jest szlachetne, nie przeczę, i jeśli istnieje raj, zasłużyłeś, by tam trafić, chociaż może wierzysz w niego mniej niż ja. Rozumiem, że czujesz na swoich barkach ciężar cierpienia świata, ale, pamiętaj, nie ty znajdziesz na nie sposób, świat zawsze cierpiał i będzie cierpiał, mimo że istnieją ludzie tacy jak ty. Pomyśl o swojej ostatniej podróży do Abisynii. Zdecydowałeś się wyjechać w ciągu doby, kiedy ja przebywałam u matki, w Wenecji, tylko dlatego, że wa-

sza Organizacja zatelegrafowała do ciebie z Paryża, abyś wyruszył jak najprędzej. Zadzwoniłeś do mnie z lotniska w ostatniej chwili, tuż przed odlotem, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę. Wydaje ci się właściwe takie postępowanie? Powiedziałaś: spójrz na zdjęcia, które mi przysłano z Paryża, a wszystko zrozumiesz, zostawiłem je na komódce w przedpokoju. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobiłam zaraz po powrocie z Wenecji (zmusiłeś mnie do pojechania pociągiem o 16.41 z przesiadką w Bolonii o 18.48, znalazłam się w domu o 19.47, a wiesz przecież, że Wenecja jest daleko, wolę tam przenocować, żeby nie jeździć tam i z powrotem), spojrzałam na te wasze straszne zdjęcia. Przedstawiły jałową równinę, ziemię popękaną od suszy, tłum ludzi pod zadaszeniem, kobiety z dziećmi na rękach, brzdące ze wzdętymi brzuchami i nieprzytomnym wzrokiem. Mogę sobie wyobrazić, jaki czujesz się szlachetny, kiedy wysiadasz z samolotu waszej światowej Organizacji, wyladowujesz puszki z żywnością, zakładasz szpital, ubierasz się w fartuch, wciągasz wysterylizowane rękawice, które zabrałaś ze sobą z Europy, i w świetle lamp zasilanych przez generatory przeprowadzasz swoje ratujące życie operacje na ciałkach tych nieszczęsnych dzieci. Powtarzam, mogę zrozumieć. Wyrzuciłam do śmieci te straszne zdjęcia i wsiadłam do pierwszego pociągu, żeby wrócić do matki. Nie mogłam w żadnym razie czekać na ciebie w takim stanie psychicznym, niczym Penelopa. Gianni, jak wiesz, był zawsze miły nie tylko wobec

mnie, ale i ciebie, chociaż cię nie zna, ale szanuje cię jako człowieka, a jesteś przecież taki dobry, zrozumiesz wszystko to, co...”

Właściwie mogłabyś dalej nie pisać, naprawdę, moja droga, bo wiesz, rozumiem cię jak nikt inny, chcę jednak pozwolić ci pisać dalej, ponieważ prawdą jest również, że drobiazgowo wyjaśnienie wszystkiego ulży ci, sprawi, że poczujesz się mniej winna, a przecież w żadnym wypadku bym sobie nie życzył, abyś tak się czuła. Co do tego, jak miły jest Gianni, nie ma najmniejszych wątpliwości, a przede wszystkim jakim jest kulturalnym człowiekiem, zrozumiałem to natychmiast. I to prawda, że dzwonił do ciebie rano i wieczorem, nie martw się, nie załamuj i tym podobne zdania przynoszące pociechę i sprawiające, że czujesz się ważna, doprawdy, jestem wzruszony, bo to znaczy, że ktoś o ciebie dba, a ty tak bardzo potrzebowałaś w tamtych cholernych miesiącach, aby ktoś o ciebie zadbał. Zrozumiałem wszystko doskonale, kiedy przeczytałem o dniu, w którym postanowiłaś spędzić weekend w naszym starym domu nad morzem i w pewnym momencie zatrzymałaś samochód na skraju drogi, wyłączyłaś silnik i, jak sama mówisz, „zablokowałaś się”. Wiesz, co się stało? Wyjaśnię ci. W języku psychiatrii nazywa się to „paniką”. Po prostu ogarnęła cię panika. Nie żeby w niektórych przypadkach paniki należało lekceważyć psychologiczne przyczyny, które ją wywołały, co się tyczy ciebie, na przykład, to, że byłaś głęboko wzburz-

ona. Ponieważ, jak piszesz, na myśl, że zastaniesz dom pusty, że ja będę daleko, jakbym rozwiął się w powietrzu, poczułaś się opuszczona, wręcz załamana. Po cóż więc robić coś takiego, zastanowi się ktoś bez zastanowienia, w jakim celu jechać na weekend do domu, gdzie spędziło się z kimś szczęśliwe dni, a teraz tego kogoś wprawdzie nie ma, lecz wszystko, meble, przedmioty, nawet naczynia przypominają ci go? Nie trzeba być dobrym, jakim według ciebie jestem, aby zrozumieć coś takiego: każdy by zrozumiał. Zrozumiałem więc od razu, że Gianniscchicchio się tobą zajął. W gruncie rzeczy jestem mu wdzięczny, wiesz? i rozumiem, że stał się dla ciebie podporą. A zatem tamtego dnia, powiadasz, ogarnęła cię panika, chociaż w rzeczywistości określenie jest moje. Na szczęście znajdował się tam bar po drugiej stronie drogi, będący również sklepem spożywczym, należał do staruszka z drewnianą nogą, znanej i szanowanej postaci w naszej nadmorskiej wiosce. Zostawiłaś samochód obok starego budynku, gdzie wmurowana jest tablica, upamiętniająca urodzonego tam poetę trębacza, zdobyłaś się na wysiłek, aby wejść do środka, i zadzwoniłaś do Giannischicchia. Myślisz może, że nie rozumiem, dlaczego zadzwoniłaś do Giannischicchia? A do kogo miałaś zadzwonić, skoro byłem wówczas w Abisynii? bo tamtego dnia byłem właśnie w Abisynii.

Gianni jest rozsądnym człowiekiem, doświadczonym, a przede wszystkim jest ci (nam) oddany. Powiedział to, co może powiedzieć ktoś, kto cię kocha, i o czym donosisz mi w swoim liście: słowa

przyjacielskie, uspokajające, serdeczne, takie, jakich potrzebowałaś. Bo w życiu potrzebujemy zawsze usłyszeć słowa, które chcemy usłyszeć. I dzięki jego słowom zdołałaś wrócić do samochodu i dojechać do naszego domu, odległego od wsi nie więcej niż o kilometr, minęłaś gaj oliwny (à propos, czy ci nowi właściciele, tak łasi na pieniądze, zdążyli już go wyciąć i założyć winnicę?) i wreszcie znalazłaś się w domu. Otworzyłaś szeroko drzwi i okna i, jak piszesz w liście, dom nie wydał ci się zamieszkały przez duchy, wrażenie mojej nieobecności nie wydało ci się już taką udręką, zrobiłaś sobie herbatę, włożyłaś sweter i rozumiałaś, że wszystko nie jest znowu takie straszne, jak ci się wydawało, i że w końcu życie toczy się dalej.

Resztę, poza zdaniem, które mi napisałaś, sam sobie wyobraziłem. Doceniam w każdym razie to, co mówisz mi bardzo wielkodusznie, a mianowicie, że dla mężczyzny może być niezłym szokiem wrócić z podróży po jakiejś nieobecności, dość długiej prawdę mówiąc, i nie zastać już swojej kobiety, a zamiast niej znaleźć list na komódce. Nie przeczę, że był to dla mnie niezły szok, bo w głębi duszy (patrz, jaki ze mnie głupiec) tamtego dnia, kiedy wracałem po męczącym i długim locie, pomyślałem, żeby zaprosić cię na kolację do Hezjoda, wiesz, tej starej knajpy, gdzie je się zupę chlebową i befszyk z rusztu, byłem pewny, że podczas kolacji zapytasz mnie: jak się czujesz? jak było, ciężko? A zamiast tego znajdujesz list, w którym czytasz, że na pewno okażesz zrozumienie, bo je-

steś przecież taki dobry. Ja zaś, jak ci już mówiłem, zrozumiałem, chociaż musisz dać sobie powiedzieć, że z tą moją dobrocią trochę przesadzasz, nie jestem aż taki dobry, jak twierdzisz, a w dodatku, może się mylę, ale w określeniu takim wyczuwam zawsze odrobinę poczucia wyższości, nie śmiem rzec — pogardy.

W każdym razie... resztę wyobraziłem sobie doskonale i naprawdę nie było potrzeby opowiadać mi wszystkiego. Tydzień później Gianni podarował ci telefon komórkowy (jeden z pierwszych!) i oznajmił: kiedy masz kłopot, dzwoń do mnie. Oczywiście, poinstruował cię, żebyś uważała, kiedy dzwonisz, bo ktoś w jego wieku, żonaty po raz drugi od ponad trzydziestu lat, musi przecież uważać, to również jest zrozumiałe. Ale i tak wiadomo, że kiedy mężczyzna mówi o wierności małżeńskiej, mówi o monotonii, więcej, powiedzmy sobie szczerze: jego małżeństwo to katastrofa. A poza tym Gianni, mimo swoich lat, jest jeszcze przystojnym mężczyzną. Przede wszystkim zaś potrafi uwodzić. Ale nie w ten kretyński sposób, który na ogół ma się na myśli: chodzi raczej o prawdziwą troskę, serdeczność kogoś, kto naprawdę się przejmuje, chce wiedzieć, jak czuje się jego kobieta, jak spędza dzień, jak śpi. I pewnego pięknego dnia — to również jest zrozumiałe i mogłaś oszczędzić sobie pisania — zaprosiłaś go do naszego domu nad morzem. Zadzwoiłaś do niego z telefonu komórkowego, który ci podarował, i powiedziałaś: Giannino, dzięki tobie i twojej trosce o mnie zdołałam dotrzeć do domu wśród oliwek,

chciałabym zaprosić cię na kolację. A on nie kazał sobie dwa razy powtarzać.

Wiesz, w całym twoim liście, który jest taki szczerzy i który spotkał się z moim najszczerzym zrozumieniem, jest coś nie tak. Może to wyda ci się dziwne, albo potraktujesz to jako nic nie znaczący szczegół, ale piszesz, że odpowiedziałaś na potrzebę uczucia z jego strony. Więcej: odpowiedziałaś na potrzebę miłości. Miłość się odwzajemnia, kiedy jest się zakochanym, moja droga, i spodziewałem się, że napiszesz mi właśnie coś takiego, z całą lojalnością, jakiej przestrzegaliśmy w naszym życiu. Mogłaś (wręcz powinnaś była) powiedzieć mi: zdarzyło się, że, kiedy ciebie nie było, zakochałam się. Trochę czy bardzo, nieważne, bo są rozmaite stopnie miłości, jak gorączki: może być wysoka albo niska, lecz tak czy owak chodzi o wzrost temperatury. Ale nie, przedstawiasz mi swojego Giannisichicchia, ot tak, jakby to była jakaś przekąska. Chcesz mi wmówić: kiedy ciebie nie było, przekąsiłam co nieco. À propos, przeczytałam w pewnej książce z dziedziny antropologii, że na wybrzeżu kantabryjskim, skąd niegdyś odpływali emigranci, w portach, gdzie mężczyźni zaciągali się na pokład i opuszczali na długo swoje domy, kobiety, które zostawały same, aby nie czekać w smutku i samotności, znajdowały sobie jakiegoś pocziwca do towarzystwa i ten nazywany był właśnie przekąską. Nie mieszkali razem, nie tworzyli nowej rodziny, nic z tych rzeczy, spotykali się po prostu, dopóki nie powrócił prawdziwy mąż słomianej wdowy. Kim jest ten facet spaceru-

jący z tą facetką? zastanawiali się ludzie. Ten? to „przekąska” Marii albo Joaquiny. Był to fakt akceptowany społecznie, nikogo nie oburzał. Nie twierdzę, że przez pierwsze dwa albo trzy miesiące Giannischicchio nie służył ci jako „przekąska”. Potrafi pewnie być bardzo smakowity: miał dwie żony, trzy albo cztery narzeczone i być może przez całe życie nie myślał o niczym innym, jak o zaspakajaniu apetytów złąknionych pań. Zgodzisz się jednak ze mną, że kiedy ktoś wraca po siedmiu miesiącach do domu i zamiast swojej kobiety zastaje list na komódce, ma chyba prawo pomyśleć, że nie chodzi o zwykłą przekąskę. Szczególnie, jeśli w liście czyta, że. No cóż, nie miało sensu pisać dalej tego jakże szczegółowego listu, nie miało sensu powtarzać mi po raz kolejny: przecież jesteś taki dobry, zrozumiesz, że musiałam wypełnić czymś moją samotność i że w gruncie rzeczy zrobiłam to dla nas, bo nie mogę być z Giannim, zważywszy na jego sytuację rodzinną i wiek: to w istocie sposób na czekanie na ciebie, bo ta absurdalna historia nie może trwać, tak twierdzą nawet moje przyjaciółki, które cały czas mnie wspierają, chociaż Lore powiedziała: ależ tak, na razie ciesz się tą miłością, potem się zobaczy, to fascynujący mężczyzna, a poza tym wybitna umysłowość. Przecież jestem taki dobry, jakbyś powiedziała, więc zrozumiałem. Zrozumiałem doskonale. Rozumiem, że dwoje ludzi w waszej sytuacji może wyjechać do wodospadów w Iguacu. Brazylia jest fascynującym krajem, znam go, wiesz, że pracowałem w Amazonii i na północnym wschodzie, to kraj dzie-

wiczny, ogromny, idealny, by zacząć życie od początku i zobaczyć świat, szczególnie dla kogoś takiego jak ty, która siedziałaś w domu i wysłuchiwałaś moich opowieści o świecie. I skoro pewnego dnia Gianniemu, właśnie Gianniemu, który nigdy nie pracował jako inżynier, bo sądził, że jest wielkim poetą erotycznym, skoro właśnie Gianniemu, powiadam, Państwowy Urząd do Spraw Krajów Rozwijających się proponuje kierownictwo nad pracami inżynieryjnymi w tym odległym kraju, czyżbyś miała pozwolić odjechać również i jemu, teraz, kiedy był wreszcie ktoś, kto zabierał cię nie na pustynię, pomiędzy wyczerpanych ludzi i niedożywione dzieci, lecz w kwitnące rejony naszej planety, do hotelu pierwszej kategorii obok placu budowy, on miał otrzymać doskonałą pensję, ty zaś miałaś być traktowana niczym księżniczka, jak nigdy w życiu? A poza tym, gdyby Gianni zaproponował ci upokarzający układ, tobie, mającej zawsze cygańską duszę, gdyby na przykład ci powiedział: posłuchaj, moja droga, mam ładny dom w Wenecji, a Wenecja to romantyczne miasto, czemu nie mielibyśmy spotykać się w weekendy, mogłyby to być wspaniałe spotkania, przy okazji odwiedzałaśbyś matkę, wsiadasz do pociągu, cóż wielkiego? ja przyjeżdżam z Mediolanu, praktycznie potrzebuję tyle samo czasu, co ty, ważne, żeby moja żona niczego się nie domyśliła, wiesz, jest młodsza od ciebie o cztery, pięć lat, dla niej rozwiodłem się z pierwszą, kocham ją w gruncie rzeczy, mam wnuki z pierwszego małżeństwa, dzieci z drugiego, rozumiesz, że w moim wieku nie czuję

się na siłach zaczynać wszystkiego od początku po raz trzeci. Gdyby tak ci powiedział, domyślam się, że odparowałabyś, posyłając go do diabła, wiem przecież, jaka jesteś dumna, oświadczyłabyś mu bez ogródek: Giannino, jedź wieczorem w okolicy dworca, znajdziesz tam odpowiednią dla siebie kobietę. A on, w jego sytuacji, z tą swoją piękną żoną, która, mówiąc między nami, nie jest wcale gorsza od ciebie, z jego pozycją, stawia wszystko na jedną kartę z powodu amour fou, chociaż nie sądziłem, że jest do czegoś takiego zdolny. I co miałaś począć, jak nie pojechać za nim do Iguazu? Wiesz, co ci powiem, wybacz mi ten trochę komiczny paradoks, ale ja też bym pojechał. Ach, gdyby tylko pojawił się w moim życiu jakiś Gianischicchio.

Ale zamiast niego spotkałem Giovannę. Nawet mnie kocha. Ja ją zresztą również. Naiwna to ona jest, ale trzeba wziąć pod uwagę jej wiek, w porównaniu z tobą to młoda dziewczyna. A moja i twoja młodość dawno już minęły, chciała mieć ze mną dziecko i postawiła na swoim, nam to nigdy się nie udało. Pewnie, brakuje jej twoich zalet, twoich wyskoków, twojej przedsiębiorczości, a szczególnie twojego stylu bohémien. W życiu zajmuje się głównie filologią, to znaczy, analizuje każde słowo, każdą sytuację. Pomyśl, jak tylko pojawiła się w naszym domu, z miejsca oświadczyła: trzeba wymienić podłogę. Nie jest skomplikowaną istotą, jej cały świat sprowadza się do naszego domu, do rozmaitych pięknych przedmiotów, które teraz posiadamy, nie ma żadnych fanaberii, nie dba

o sukces, zapewniam cię, że naprawdę największą satysfakcję sprawiła jej wymiana podłogi. Ale przynajmniej się nie miota, nie narzeka, nie czuje się nieszczęśliwa i porzucona, jak niektóre kobiety, które nie potrafią obyć się bez mężczyzny dłużej niż tydzień.

Zupełnie przypadkiem dowiedziałem się, że wróciłaś już z Giannim. Prace przy zaporze zostały ukończone i przyszła pora, aby wracać, powiedział mi to mimochodem opiekujący się Giannim lekarz, który, jak wiesz, jest moim bliskim przyjacielem. On również chciałby pracować jako lekarz przy ONZ, bo jest szlachetnym człowiekiem, ma potrzebę niesienia pomocy, ale jego żoneczka trzyma go na krótkiej smyczy pod pretekstem, że ona nie może przecież zrezygnować z pracy.

Nie dziw się zatem, że po siedmiu latach przepisuję dla ciebie list, który zostawiłaś mi na komódce, mówiąc między nami, jestem pewien, że wyświadczam ci przysługę, bo na pewno nie miałaś czasu zrobić kopii, zważywszy na pośpiech, w jakim mnie opuściłaś. Prawdą jest, że minęło sporo czasu i pewnie dziwnie się poczujesz, kiedy otrzymasz przepisany swój własny list sprzed siedmiu lat, ale życie takie już jest, składa się z cyklów i nawrotów. Pomyślałem więc: na co mi teraz jej list, skoro jej cykl już się skończył, przynajmniej z Giannim. Wiesz, wczoraj zaszedłem do doktora Baudino, mojego bliskiego przyjaciela, jego zespół prowadzi badania nad chorobami tropikalnymi. Wiedziałem, że Gianni wrócił z podejrzeniem ameby czy czegoś w tym rodzaju, ale nie bardzo

się tym przejąłem. Mojego przyjaciela nie było, chyba poszedł świętować srebrne wesele z amebami, bo już ponad dwadzieścia lat zajmuje się chorobami tropikalnymi. Zastałem sekretarkę, porządną, naiwną dziewczynę. Mówi mi: pana doktora nie ma, będzie jutro. Nieważne, powiadam, usiądę na chwilę w jego gabinecie, rzucę okiem na papiery, są w gruncie rzeczy również moje.

Wyniki analiz Gianniego leżały na wierzchu. To jest sarkoma, moja droga, sarkoma prostaty. Nie wiem, czy się orientujesz, może nie, sarkoma to najbardziej złośliwa postać raka, rozprzestrzenia się błyskawicznie, sądzę, że Gianni ma już przerzuty. Przyjaciel Baudino będzie ci to musiał kiedyś powiedzieć, bo nie ma sensu, żebyś się łudziła, że chodzi o jakąś chorobę tropikalną, a to całkiem coś innego. Biedaczek, jakże będzie mu trudno zakomunikować ci coś podobnego, wie, że dla Gianniego poświęciłaś swoje małżeństwo, że wszystko dla niego zostawiłaś i że nie jesteś już najmłodsza. A zatem, skoro jestem taki dobry, pomyślałem, żeby cię uprzedzić, bo mimo wszystko jestem nadal twoim przyjacielem. Kiedy następuje seria przerzutów, bóle stają się bardzo silne, naprawdę bardzo silne, i Gianni będzie wył jak pies. Przerazisz się, bo wycie chorego to najbardziej przerażająca rzecz, jaką możesz usłyszeć. A w kraju takim jak nasz, gdzie terapia przeciwbólowa niemal nie istnieje, każą mu straszliwie cierpieć, ponieważ lekarze boją się narazić wymiarowi sprawiedliwości przekraczaniem dozwolonych dawek morfiny. Gdyby tak było, a sądzę, że tak będzie,

zwróć się do mnie, mam dwie walizki morfiny, jeżdżę z nimi po świecie, zaopatrzę cię w nią bez żadnego problemu. Zawiadam mnie przed końcem grudnia, bo potem planujemy z Giovanną długą podróż do Meksyku i prawdopodobnie wrócimy dopiero późną jesienią, zjeździmy cały Jukatan, a może dotrzemy nawet do Gwatemali.

*KSIĄŻKI NIGDY NIE NAPISANE,
PODRÓŻE, KTÓRYCH NIGDY NIE BYŁO*

*Allons! whoever you are come travel with me!
Traveling with me you find what never tires.*

Walt Whitman, „Leaves of Grass”

*Na véspera de não partir nunca
ao menos não há que arrumar malas.*

Fernando Pessoa, „Poemas de Álvaro de Campos”

Miłości moja,
pamiętasz, jak nie pojechaliśmy do Samarkandy? Wybraliśmy najlepszą porę roku, początek jesieni, kiedy lasy i zarośla wokół Samarkandy, tam, gdzie kończą się zbocza nagich wzgórz i wyrasta roślinność, zapalają się od czerwonych i żółtych w odcieniu ochry liści, klimat jest łagodny, tak przynajmniej było napisane w naszym przewodniku, pamiętasz nasz przewodnik? kupiliśmy go w małej księgarni na Ile Saint-Louis, „Ulisses”, specjalizującej się w książkach o podróżach, na ogół są to książki używane, często pełne podkreśleń i notatek zrobionych przez ludzi, którzy w owe podróże się wybrali i zanotowali na marginesach swoje uwagi, bardzo zresztą użyteczne,

typu: „zajazd godny polecenia” albo „droga niebezpieczna, omijać”, albo „w tym sklepie sprzedają piękne dywany po przystępnych cenach”, albo „uwaga, w tej restauracji oszukują przy rachunku”.

Do Samarkandy można dotrzeć na wiele sposobów, twierdził przewodnik, najszybciej samolotem, ale tak jest najbanalniej. Można na przykład wylecieć z Paryża, Rzymu, Zurychu i wylądować w Moskwie, gdzie trzeba jednak przenocować, bo nie ma takiego połączenia samolotowego z Uzbekistanem, które pozwoliłoby znaleźć się tam tego samego wieczoru. A zatem: czy opłaca się nam nocować w Moskwie? Długo o tym dyskutowaliśmy pewnego wieczoru u Ludwika, w tej restauracji przy małej uliczce, gdzie podawano smaczną rybę i gdzie pracował przemiły kelner homoseksualista, który wspaniale nas obsługiwał. Co do mnie, nie mogłem wykluczyć takiej ewentualności. Czemu nie, mówiłem, pamiętasz? pomyśl tylko: Plac Czerwony nocą, widziany z okien wielkiego hotelu, gdzie Aeroflot umieszcza turystów zmuszonych nocować w Moskwie, jest jesień, w Moskwie panuje już chłód, la Place Rouge będzie pusty, jak w piosence Gilberta Bécaud, będę do ciebie mówił Nathalie, wysiadziemy z taksówki, na które w Związku Radzieckim — coś takiego kiedyś wyczytałem — przerabiano podobno limuzyny mężów stanu, w hotelowej restauracji podadzą nam astrachański kawior, wokół latarni będzie się już pewnie gromadzić trochę mgły, jak w powieściach Puszkina, i będzie pięknie, jestem

pevien, pójdziemy również do Bolszoy, bo to obowiązek każdego, kto znajdzie się w Moskwie, może nawet obejrzymy *Jeziro łabędzie*.

Ale to była wersja najbardziej banalna i dlatego, za obopólną zgodą, zrezygnowaliśmy z niej. Dużo lepsza byłaby podróż pociągiem i dlatego zdecydowaliśmy: Orient Express, a potem kolej Transsyberyjska albo via Teheran. Orient Express, wiadomo, urzeka nawet najbardziej snobistycznych intelektualistów, wprowadzie my się za takich nie uważaliśmy, lecz może niesłusznie, w każdym razie decyzja zapadła: pociągiem, pociągiem. Ach, pociąg! Wiesz, że kiedy Georges Nagelmackers postanowił zbudować tory dla swojego luksusowego ekspresu, musiał negocjować z Francją, Bawarią, Austrią i Rumunią, które uznały, że zagraża on ich narodowej niezawisłości? Inauguracja odbyła się w 1883 roku i pierwsza podróż została szczegółowo opisana przez Edmonda About, dziennikarza i humorystę, autora *Le nez d'un notaire*. Nagelmackers nigdy by sobie nie poradził bez poparcia Leopolda II, króla Belgii, będącego również jego współnikiem. Może zdziwi cię wiadomość, że już wówczas niektóre lokomotywy przekraczały szybkość 160 kilometrów na godzinę, to były brytyjskie Buddicom z systemem hamulcowym na sprężone powietrze. Chcesz poznać menu z czwartego stycznia 1898 roku? zdobyłem je. Przygotuj się, bo nie chodzi o zwykłą przekąskę: na początku ostrygi, rosół z żółwia lub potage de la reine, potem pstrąg à la Chambord, selle de chevreuil à la duchesse,

bekasy, parfait de foie gras, trufle w szampanie, owoce, desery. I jeszcze wagon-lit, huk żelastwa, tłumiony przez szyby w oknach, pociąg przemierzający kraje, kochający je bez dotykania, zgodnie z radą udzielaną przez Chardonne'a przyjaciółom: „si vous aimez une femme, n'y touchez pas”, a wagon-lit pozwalał nam dotykać krajów czubkiem palca, jak w marzeniu owego poety, który pragnął dotknąć gestu harfistki, nie dotykając jej ręki. Recytowałem ci z pamięci wiersze o pociągach i w bistrach koło Gare d'Austerlitz deklamowałem Valéry Larbaud: „Och, Orient Expressie, użyj mi swojego wibrującego głosu przepędzającego troski, lekkiego, łatwego oddechu smukłych lokomotyw, ciągnących bez wysiłku cztery żółte wagony ze złożonymi literami, pośród górskich pustkowi Serbii, przez Bułgarię pachnącą różami...”

Gdzie należało wsiąść do Orient Expressu? Ależ na Gare de Lyon, na Gare de Lyon! A cóż jest na tym cudownym dworcu? Ależ Train Bleu, najbardziej fascynująca restauracja w Paryżu! Pamiętasz ją? oczywiście, że pamiętasz, nie możesz nie pamiętać. Train Bleu to trzy ogromne sale z pretensjonalnymi freskami na ścianach, kanapkami obitymi czerwonym pluszem, lampami z czeskiego kryształu, kelnerami w kamizelkach i czyściutkich tabliers, witającymi słowami „Bienvenus, Messieurs Dames” z miną kogoś, kto ma wszystko w nosie. Na początek zamówiliśmy ostrygi i szampana, bo para, która nie jedzie do Samarkandy Orient Expressem ma chyba prawo zamó-

wić coś podobnego na początek, no nie? Wyjechać to zawsze trochę umrzeć, powtarzaliśmy, patrząc na ludzi, którzy mieli zostać na peronach i żegnali się z pasażerami, wyglądającymi przez oświetlone okna. Gdzie jedzie ten łysy starszy mężczyzna w eleganckim krawacie, który pali fajkę w oknie z taką samą swobodą, jakby przebywał we własnym salonie? A kobieta siedząca w tym samym przedziale, w czerwonym kapelusiku i futurzanym kołnierzu, jest jego żoną czy zwykłą nieznaną? Czy w trakcie podróży nawiąże się między nimi romans? Kto wie, kto wie, tymczasem zaczynamy podróż, mówiliśmy, pociąg odjeżdżał z peronu 1, tak przynajmniej wynikało z tablicy informacyjnej, pierwszą stacją miała być Wenecja. Ach, Wenecja, jak marzyłaś, żeby zobaczyć Wenecję! Canal Grande, San Marco, Ca'd'Oro... Tak, moja droga, zgoda, ale nie sądzę, aby dało się wszystko zobaczyć, naprawdę, przykro mi, pociąg zatrzymuje się nocą na dworcu Santa Lucia, co najwyżej będziesz mogła zobaczyć z okna lagunę, lagunę z lewej, otwarte morze z prawej, chciałbym jednak, abyś nie zapomniała, że jedziemy przecież do Samarkandy, bo w przeciwnym razie przyjdzie ci ochota zatrzymywać się we wszystkich miastach, których dotyka pociąg, najpierw Wiedeń, potem Sztambuł, chyba nie miałaś nic przeciwko temu, żeby zobaczyć Sztambuł? pomyśl, Bosfor, meczety, minarety, Wielki Bazar.

Jednym słowem, podróżą, której nie należało odbyć, była podróż do Samarkandy. Wspomnienie jej pozostaje niezatarte, a w dodatku tak wy-

rażne, tak szczegółowe, jak to możliwe jedynie w przypadku rzeczy urojonych. Wiesz, czytałem pewnego francuskiego filozofa, który zauważył, że urojenia podlegają równie ściśle określonym prawom jak świat rzeczywisty, urojenia, moja droga, to nie złudy, bo te ostatnie to zupełnie coś innego. Z Samuela Butlera był niezły numer, nie tylko z powodu fantastycznych powieści, jakie pisał, ale i tego, jak patrzył na świat. Przychodzi mi do głowy jego zdanie: „Mogę tolerować kłamstwo, ale nie zniosę braku precyzji”. Miłości moja, powiedzieliśmy sobie w życiu wiele kłamstw i zgodziliśmy się oboje na wszystkie, bo były takie naprawdę prawdziwe w naszym namiętym urojeniu. Ale było jedno, a raczej cała seria, dotyczące tego samego rzeczywistego faktu, które zgubiło nas na zawsze, było to kłamstwo fałszywe, ponieważ było złudne, a to, co złudne, jest nieuchronnie pozbawione precyzji, istnieje tylko we mgle samoułudzenia się. W naszych marzeniach postępowaliśmy zawsze jak Don Kichot, który wyciąga ostateczne konsekwencje ze swoich urojeń, urojeń zakładających obłąd, jeśli tylko jest on precyzyjny: precyzyjny w topografii pejzażu, przemierzanego dzięki wyobraźni. Czy pomyślałaś kiedykolwiek, że *Don Kichot* to powieść realistyczna? A tu pewnego dnia z Don Kichota zmieniasz się w panią Bovary i tak jak ona nie potrafisz wytyczyć zarysów przedmiotów pożądania, odróżnić, w jakim miejscu się znajdujesz, liczyć wydawanych pieniędzy, rozumieć popełnianych głupstw: to wszystko były realne rzeczy, a jej zda-

wały się powietrzem, nie zaś na odwrót. Cóż za ogromna różnica: nie można mówić „jechałam do odległego miasta” albo „pewien opiekuńczy pan dotrzymywał mi towarzystwa”, albo „nie sądzę, aby to była miłość, raczej czułość”. Nie powinno się mówić takich rzeczy, miłości moja, albo przynajmniej nie powinnaś ich mówić mnie, bo to było twoje marne złudzenie, twoje marne, żalosne złudzenie: miasto miało przecież określoną nazwę i nie znajdowało się daleko, on zaś był tylko mężczyzną w pewnym wieku, z którym chodziłaś do łóżka. Twoim kochankiem, o którym myślałaś, że jest z powietrza, a on był z ciała.

To dlatego przypominam ci podróż, której nie odbyliśmy, bo to było nasze prawdziwe, głębokie przeżycie. Nie przerywam więc gry. Jak powiada filozof, o którym ci wspominałem, pamięć przywołuje przeżycia, jest precyzyjna, dokładna, nieubłagana, ale nie tworzy niczego: to jest jej ograniczenie. Wyobraźnia natomiast nie potrafi niczego przywołać, bo nie potrafi snuć wspomnień i to jest jej ograniczenie: ale za to tworzy nowe, coś, czego przedtem nie było, co nigdy się nie wydarzyło. Dlatego wykorzystuję obie umiejętności, wspomagające się nawzajem i przywołuję dla ciebie naszą podróż do Samarkandy, której nie odbyliśmy, ale którą wyobraziliśmy sobie w najdrobniejszych szczegółach.

Naszymi towarzyszami podróży były na przemian rozczarowanie i zachwyt. Ten bardzo elegancki pan, który wydawał się taki subtelny, okazał się podrzędnym przedsiębiorcą ze skłonnoś-

cią do ulegania korupcji, nie zdołaliśmy pojąć, czym handlował z Turcją, nie były to w każdym razie czyste interesy, tobie przynajmniej wydały się podejrzane, mrugnęłaś do mnie kilka razy, pamiętasz? i kiedy wysiadł w Stambule, odechnęłaś z ulgą, ponieważ komplementy, jakie ci prawili, robiły się zbyt dosadne, jak na nieznanego spotkanego w pociągu, nie wiedziałaś już, co począć, podczas gdy ja udawałem, że niczego nie zauważam. Współpasażerka natomiast okazała się kimś dużo bardziej interesującym, niż można się było spodziewać po jej wyglądzie; wyglądzie czechowskim, stosownym do postaci, skomentowałaś szeptem w korytarzu. I rzeczywiście, nigdy nie widziałem kogoś bardziej czechowskiego. Zaczęła od wieku dziewczyny ze *Spać się chce*. W jakim stopniu fizjologiczna konieczność snu może wpłynąć na popełnienie morderstwa? Och, no cóż, zależy, kompetentnie rozumowała fascynująca współpasażerka; czy państwo zastanawiali się kiedyś nad snem, oczywiście z biologicznego punktu widzenia? Otóż stan czuwania ma próg tolerancji, trochę tak jak ból, i zmienia się wraz z wiekiem, na przykład w pewnym wieku potrzeba snu jest absolutną koniecznością, przeważającą nad wszelkimi innymi doznaniem i koniecznościami, szczególnie u osoby płci żeńskiej we wczesnym okresie dojrzewania, i w tym tkwi jedna z przyczyn, dla czego młodziutka nianka udusiła noworodka będącego pod jej opieką: jego płacz nie dawał jej spać, a tamtej nocy, albo co najwyżej poprzedniej, dostała z pew-

nością pierwszej menstruacji i czuła się wyczerpana.

Sporządziłem ci skromne i pobieżne streszczenie, bo kobieta, jak pamiętasz zapewne lepiej ode mnie, posługiwała się nader wyrafinowanym słownictwem i posiadała fantastyczne zdolności jasnego wyrażania swoich myśli, jej znajomość Czechowa nie ograniczała się z pewnością do barwnych i erudycyjnych anegdot, jak ta, którą przytoczyłem. Czy pamiętasz, na przykład, co powiedziała o ostatnich słowach Czechowa? Na pewno pamiętasz, wpadliśmy oboje w osłupienie, mówiąc między nami, ani ty, ani ja nie wiedzieliśmy, że Czechow, umierając, rzekł: „Ich sterbe”. Właśnie, umarł w nie swoim języku. Jakie to dziwne, prawda? Kochał cały czas po rosyjsku, cierpiał po rosyjsku, nienawidził (rzadko) po rosyjsku, uśmiechał się (często) po rosyjsku, żył po rosyjsku i umarł po niemiecku. Niezwykłe były powody przedstawione nam przez nieznaną, wyjaśniające, dlaczego Czechow umarł po niemiecku, i kiedy żegnała się z nami, wysiadając na nieznannej stacji, nie zapomnę nigdy wyrazu twojej twarzy: zachwyt, zdziwienie, może wzruszenie. I jaki piękny i niezwykły był tamten dzień, kiedy zobaczyłem, jak biegniesz w moim kierunku, czekałem na ciebie w tej samej, co zawsze, kawiarni, przebijałaś się, szczęśliwa, przez tłum, machałaś książeczką i wołałaś: „Zobacz, kim jest ta starsza pani!” Książka dopiero się ukazała, krytycy nie zdążyli jej jeszcze zauważyć, ale nie umknęła twojej uwadze, ach, urocza starsza pani, czysty, pe-

łen dobroci głos, wiedza, która uprzyjemniła nam podróż, nie wiedzieliśmy, kim jest, a ona sama rozplynęła się w nicości. I jakież niewłaściwy użytek czyniliśmy w Samarkandzie z ostatnich słów Czechowa! Oczywiście zacząłem ja, potem ty zaczęłaś mnie naśladować, chociaż na początku powtarzałaś: „Błuźnisz, naprawdę, błuźnisz!” Po raz pierwszy zdarzyło się to w owym rodzaju wieży Babel, zwanej Siab Bazaar: zapachy, przyprawy, nakrycia głowy, dywany, krzyki, ścisk, tłum, w którym mieszały się Turkiestan, Europa, Rosja, Mongolia, Afganistan, ja zaś przystanąłem w osłupieniu i zawołałem: „Ich sterbe!”. Sterbowanie stało się odtąd hasłem, obowiązkiem, niemalże nałogiem. Sterbowaliśmy razem przed mauzoleum Timura Gur-i Mir, prawdziwą kolbą kukurydzianą z ceramiki, umieszczoną na cylindrycznej wieży, intarsjowanej koranicznymi wersetami, przed onyksem wewnętrznych paneaux, przed kamieniem nagrobnym z nefrytu, wykończonym arabeskowym ząbkowaniem, z plamami żółtych i zielonych płytek. Sterbowaliśmy bardziej niż kiedykolwiek na placu Registan z dwoma meczetami, gdzie bił pokłony rozmodlony tłum. Zasadniczą rolę odegrała lornetka, którą zabraliśmy z sobą: to był dobry pomysł, w sprawach praktycznych bywałaś doprawdy niezrównana. Bez lornetki nie odcyfrowalibyśmy nigdy mozaik z ceramiki, zdobiących dziedziniec medresy Uług-bega, motywu kwiatów o dwudziestu płatkach, wpisanego w gwiazdę dwunastoramienną, z której rozchodzą się motywy geometrycz-

ne kończące się rodzajem labiryntu. Czy tak jest i z życiem, spytałaś, zaczyna się od punktu, będącego niczym kwiat, a potem rozprasza się we wszystkich kierunkach? Co za dziwne pytanie. W odpowiedzi postanowiłem zabrać cię do obserwatorium Uług-bega, gdzie znajduje się ogromne astrolabium, ma może ponad trzydzieści metrów, pozwala określać położenie gwiazd i planet, dzięki obserwacji, w jaki sposób światło, rozproszone przez otwór w budynku, pada na jego wnętrzu. Czy to lustrzane odbicie? spytałem cię. Co? zdziwiłaś się. Miałem na myśli to, czy niebo jest lustrzanym odbiciem twojego pojmowania życia, to nie odpowiedź, odpowiedziałem na twoje pytanie pytaniem. Później na targu zaczęłaś sterbować z powodu bucharskiego dywanu w kolorze lazurytu, ale twoje sterbowanie nie trwało długo, nie mieliśmy dość pieniędzy, orzekłaś, trzeba byłoby zrezygnować z co najmniej dwóch posiłków, a poza tym może w Bucharze znajdziemy ładniejszy i tańszy dywan. Ale, popatrz tylko, wcale nie pojechaliśmy do Buchary. Kto wie, czemu postanowiliśmy tam nie jechać, pamiętasz może? bo ja, szczerze mówiąc, nie. Byliśmy zmęczeni, to pewne. A poza tym podróż stanowiła doświadczenie tak intensywne, pełne emocji, obrazów, twarzy i widoków, że uznaliśmy to za przesadę, podobnie jest, kiedy wchodzisz do muzeum, zbyt dużego i zbyt bogatego, i postanawiasz ominąć kilka sal, aby piękno nie nałożyło się na piękno już widziane i aby jego nadmiar nie unicestwił pamięci o tym, co zobaczyłaś przedtem. Zresztą życie przy-

woływało nas do rzeczywistości, codzienne życie pozwala czasami na pojawienie się szczelin, które zaraz potem się zamykają.

Tamta szczelina otworzyła się przede mną na powrót dopiero teraz, po tylu latach. I tak zacząłem myśleć na nowo o rzeczach, których się nie zrobiło, to trudny, ale niezbędny bilans, czasami może z niego wyniknąć uczucie lekkości, jakby dziecięcego zadowolenia bez przyczyny. I z tego samego powodu z takim samym zadowoleniem, dziecięcym i nieumotywowanym, jakby w konsekwencji, zacząłem myśleć również o książkach, których nigdy nie napisałem, a które opowiedziałem ci ze wszystkimi szczegółami, podobnie jak o podróży, której nie odbyliśmy do Samarkandy. Ostatnia, nie napisana, będąca także ostatnią, którą ci opowiedziałem, nosiła tytuł *Szukając ciebie* oraz podtytuł *Mandala*. Podtytuł wskazywał na rodzaj poszukiwania, które przedsięwziął bohater, w tym sensie, że jego wędrówka była koncentryczna, spiralna, a postaci, jak wiesz, nie były moje, ukradłem je z innej powieści. Wiesz, uznałem za niemal nieznośny fakt, że ta pozbawiona złudzeń i pełna wesołych duchów powieść nie kończy się spotkaniem obojga bohaterów, jego i jej. Czy to możliwe, aby on, skrywający pod maską ostentacyjnego sarkazmu nieuleczalną melancholię, i ona, taka wielkoduszna i namiętna, nie mieli się więcej spotkać, zupełnie jakby autor chciał sobie z nich zakpić i cieszył się z ich nieszczęścia? A w dodatku, myślałem, ona w gruncie rzeczy wcale nie zniknęła, jak sugerował autor, wcale

nie wyszła z kadru, przeciwnie, według mnie pozostawała dobrze widoczna, dokładnie w środku obrazu, i nie było jej widać, ponieważ właśnie była zbyt widoczna, zasłonięta przez jakiś szczegół, więcej, zasłonięta przez samą siebie, niczym skradziony list Poe'a. I to dlatego kazałem mojemu bohaterowi wybrać się na poszukiwanie ukochanej i krążyć po kręgu, podczas gdy kręgi robiły się coraz ciaśniejsze, zupełnie jak w mandali, on docierał do środka stanowiącego sens jego życia, to znaczy odnajdował ją. To była powieść nieco romantyczna, może za bardzo, prawda? ale nie to stanowiło powód, dla którego jej nie napisałem: w rzeczywistości powieść miała być arcydziełem spośród wszystkich nigdy nie napisanych powieści, fundamentalnym dziełem milczenia, którego przestrzegałem przez całe życie. Mam na myśli małe arcydzieło, nic z tych monumentalnych powieści — tak cieszących wydawców — których nigdy nie miałem najmniejszego zamiaru nie napisać: jednym słowem, coś niewielkiego, co nie przekraczałoby dziesięciu rozdziałów, sto stron to idealna objętość. Na nienapisanie jej zużyłem dokładnie cztery miesiące, od maja do sierpnia, prawdę mówiąc, mógłbym nie napisać jej w krótszym czasie, ale moje ówczesne dni były wypełnione czym innym, niestety. Ukończyłem ją dziesiątego sierpnia. Pamiętam datę, bo noc świętego Wawrzyńca oznaczała zawsze dla nas specjalną noc, szczególnie dla ciebie, z powodu życzeń, które można wypowiedzieć, patrząc na spadające gwiazdy, wypełniające wówczas niebo. Przy-

szedłem właśnie do ciebie tamtego wieczoru, pamiętasz, spędziłem przedtem cztery miesiące w wiejskim domu, w wilgotnym upale, który dusi za gardło i przenika do kości, dzwoniłaś do mnie co wieczór i pytałaś: dlaczego nie przyjedziesz? mówiłem ci przecież, powtarzałem, zacząłem nie pisać skomplikowaną powieść, pocę się nad nią bardziej niż z powodu tego piekielnego upału na wsi, ale, zapewniam cię, będzie piękna, a raczej dziwna, dziwniejsza ode mnie, istoty dziwnej jak jakiś nieznany chrząszcz, zastygły niczym skamielina na skale, kiedy tylko przyjadę, opowiem ci.

Opowiedziałem ci ją tamtej nocy, na tarasie domu nad morzem, patrzyliśmy na spadające gwiazdy, pozostawiające białe smugi na nocnym niebie. Dobrze pamiętam, co mi powiedziałaś, kiedy skończyłem, ale mimo wszystko mam ochotę przytoczyć ci raz jeszcze jeden rozdział. Ale tym razem nie streszczę ci go, jak uczyniłem to tamtej nocy, przepiszę go dla ciebie, jakby to miała być kopia, bo, oczywiście, istnieje on, słowo po słowie, w mojej pamięci, która go wyobrazila. Konkretnie nie istnieje nigdzie. Jednym słowem: nieważne, gdzie, aby tylko nigdzie. Wiesz, ile mnie kosztuje złamanie sekretne go paktu, jaki zawarłem z samym sobą, i przeniesienie na papier, a więc uczynienie obecnymi słów, które dotąd unosiły się jedynie w powietrzu, lekkie, skrzydlate i nieuchwytnie, mogące być nie będąc, jak dzieje się to w przypadku myśli. I jakże stają się ostateczne, raz przelane na papier, niemal wulgarne i gru-

be, nieuchronnie aroganckie, jak rzeczy, które są. Nieważne, zrobię to mimo wszystko, tak naprawdę ty również lubiłaś szczeliny między rzeczami, ale potem wybrałaś pełnię i może dobrze zrobiłaś, bo to jakaś forma ratunku, w każdym razie zgody na to, czym wszyscy jesteśmy. Ah, que la vie est quotidienne!

Spróbuję oszczędzić ci opisów i narracyjnych przejść. Nigdy ich nie lubiłem, kiedy pisałem je w myśli, wyobraźmy sobie, co by było, gdybym pisał je naprawdę. Kilka niezbędnych informacji: chodzi o ósmy rozdział: w poszukiwaniu jej on przybywa w dziwne miejsce, w szwajcarskich Alpach, do buddyjskiej wspólnoty zen albo czegoś w tym rodzaju, przeczuł bowiem, że ona wdała się w doświadczenia w tym stylu, które dziś uznalibyśmy za New Age, ale wiele lat temu, kiedy nie pisałem mojej powieści, miały inny wydźwięk. I w tym miejscu je kolację i nocuje, on także jako pielgrzym czegoś szuka, co jest zresztą prawdą. Podczas kolacji zaczyna rozmawiać z kobietą siedzącą przy tym samym stole. To niemłoda już Francuzka, otoczenie, jak pamiętasz, jest nieco orientalne: hinduska muzyka typu raga i hinduskie jedzenie typu guthaba oraz klopsiki z warzyw, szczegóły, których ci oszczędzę, bo uważam, że są irytujące. W pewnej chwili kobieta mówi dziwne zdanie: że znajduje się tutaj, ponieważ utraciła granice. Teraz muszę posłużyć się cudzysłowem, a wiesz, jak tego nie znoszę.

„Tutaj obowiązują reguły, to prawda, ale reguły są potrzebne, kiedy utraciło się granice, a

poza tym jest jeszcze powód praktyczny: w gruncie rzeczy to kryjówka”.

„Co to znaczy, że utraciło się granice? Nie rozumiem”.

„Zrozumie pan, jeśli będziemy rozmawiać dalej, na razie jednak dobrze byłoby wybrać potrawę, jeśli pan pozwoli, przetłumaczę panu dzisiejsze menu”.

[*Omissis...* muzyka zmieniła się, teraz rozległ się dźwięk bębenków. *Omissis...*]

„Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym zrozumieć, co znaczy utracić granice”.

„Znaczy, że wszechświat nie ma granic, i dlatego tu jestem, bo ja także utraciłam granice”.

„To znaczy?”

„Wie pan, ile gwiazd liczy nasza galaktyka?”

„Nie mam pojęcia”.

„Okolo czterystu miliardów. Ale w znanym nam wszechświecie są setki miliardów galaktyk, wszechświat nie ma granic”.

[Kobieta zapaliła hinduską cygaretkę, z gatunku tych perfumowanych, zrobionych z jednego liścia tytoniu... *Omissis...*]

„Wiele lat temu miałam syna i życie mi go odebrało. Nazwałam go Denis i natura okazała się dla niego macochą, chociaż miał on swój rodzaj inteligencji. I ja ją rozumiałam”.

[*Omissis...*]

„Miał swój rodzaj inteligencji, a ja uczyłam się jej. Wynaleźliśmy na przykład kod, jeden z tych kodów, których nie uczą w szkołach dla dzieci takich jak Denis, ale które matka potrafi wymyślić

z własnym synem, bo ja wiem, uderzenie łyżką w szklankę, jasne? uderzenie łyżeczką w szklankę, dzyń, dzyń”.

„Niech pani mówi jaśniej, bardzo proszę”.

„Konieczne jest opanowanie częstotliwości i natężenia sygnału, a na częstotliwości i natężeniu to ja się znam, wchodziły w zakres mojego zawodu, badałam gwiazdy w obserwatorium astronomicznym w Paryżu, ale nie w tym tkwiła przyczyna, przyczyną było to, że byłam matką i że dziecko kocha się bardziej od siebie samej”.

[*Omissis...*]

„Nasz kod sprawdzał się wspaniale, wymyśliłszy język, którego ludzie nie znają, on wiedział, jak mi powiedzieć mamo, Kocham cię, ja wiedziałam, jak odpowiedzieć jesteś całym moim życiem, a poza tym wyrazić jeszcze inne rzeczy, zwyczajne, niektóre jego potrzeby, ale również i te najbardziej skomplikowane, czy jestem smutna czy wesół, czy on jest smutny czy wesół, ponieważ nawet osoby, dla których natura okazała się macochą, wiedzą podobnie jak my, a nawet bardziej niż my, czym jest szczęście i nieszczęście, melancholia i wesołość, wszystko, co odczuwamy my, którzy uważamy się za normalnych”.

[*Omissis...*]

„Ale natura jest nie tylko macochą, jest jeszcze okrutna, co by pan zrobił?”

„Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Co pani by zrobiła?”

„Kiedy go zabrakło, za dnia wędrowałam po Paryżu, patrzyłam na wystawy, na ubrane isto-

ty, które szły chodnikami, siedziały na ławkach w parkach albo przy kawiarnianych stolikach, i myślałam o tym, jak zorganizowaliśmy życie na naszej planecie Ziemi, noce spędzałam w obserwatorium, ale jego teleskopy przestały mi wystarczać. Chciałam obserwować wielkie przestrzenie międzygwiazdne, byłam jak mikroskopijny punkcik, pragnący badać granice wszechświata, nic innego mnie nie interesowało, jakbym znajdowała w ten sposób trochę ukojenia. Co by pan zrobił na moim miejscu?”

[*Omissis...*]

„W Chile, w Andach, znajduje się najwyżej położone na świecie obserwatorium, a także jedno z najlepiej wyposażonych, potrzebny był astrofizyk, wysłałam więc moje curriculum, zatrudnili mnie i wyjechałam...”

„Niech pani mówi dalej, bardzo proszę”.

„Poprosiłam, aby posadzili mnie przy radioteleskopie, chciałam badać mgławice poza naszą galaktyką, wie pan, co to jest mgławica Andromedy?”

„Oczywiście, że nie”.

„To galaktyka spiralna, podobna do Drogi Mlecznej, jest jednak nachylona tak, że ramiona spirali nie są doskonale widoczne. Aż do pierwszych lat XX wieku nie było pewności, czy znajduje się ona poza Drogą Mleczną, dopiero w 1923 roku pewien uczony, badający Gwiazdozbiór Trójkąta, rozwiązał problem: to są granice naszego świata, naszego układu”.

[*Omissis...*]

„Przez radioteleskop usiłuje się odbierać emisje radiogalaktyczne, zawierające sygnały modulowane, które mogą pochodzić od istot inteligentnych, my zaś z kolei wysyłamy sygnały modulowane...”

[*Omissis...*]

„Ach, nie może pan sobie wyobrazić, co to znaczy przebywać w najwyższych górach świata, podczas gdy na zewnątrz tylko śnieg i zawieja, i wysyłać sygnały do mgławicy Andromedy... pewnej nocy, w czasie burzy śniegowej, kiedy lód pokrywał skorupą kopułę obserwatorium, przyszedł mi do głowy pomysł, to był pomysł absurdalny i nie mam pojęcia, po co to wszystko panu opowiadam...”

„Bardzo panią proszę, naprawdę, proszę”.

„Mówiłam panu, to był szalony pomysł”.

„Proszę panią”.

„Cóż, wysyłałam sygnały modulowane i tamtej nocy wybrałam modulację, którą pamiętałam, następnie wybrałam kod, kod znany wyłącznie mnie, przełożyłam go na modulację matematyczną i wysyłałam... to szaleństwo, mówiłam panu”.

„Proszę panią”.

„Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że aby wysłać sygnał do mgławicy Andromedy, potrzeba stu lat według naszego kalendarza, licząc w latach świetlnych, i wiek, aby otrzymać ewentualną odpowiedź. To absurd, pewnie pan pomyśli, że oszalałam”.

„Nie, wcale tak nie myślę, sędzę, że we wszech-

świecie wszystko się może zdarzyć, proszę, niech pani mówi dalej”.

„Kryształy lodu tworzyły skorupę na szybie, była noc, siedziałam przy teleskopie, jak ktoś, kto zrobił coś absurdalnego, i w tym momencie z Andromedy nadeszła wiadomość, to był sygnał modulowany, przekazałam go do dekodera i rozpoznałam natychmiast, ta sama częstotliwość, to samo natężenie: z matematycznego punktu widzenia to był sygnał, którego wysłuchiwałam przez piętnaście lat mojego życia, sygnał od mojego Denisa. Czy wydaję się panu wariatką?”

„Nie, nie sędzę, może raczej wszechświat zwaśniował”.

„Co by pan zrobił?”

„Nie wiem, szczerze mówiąc, nie potrafię odpowiedzieć”.

„Przeczytałam w pewnej świętej księdze hinduskiej, że przestrzeń może być nieskończona albo nie istniejąca niczym w kręgu i myśl ta zaniepokoiła mnie, astronom nie może przecież obyć się bez przestrzeni. Dlatego tu jestem, bo nie można sądzić, że dotarło się do granic wszechświata, ponieważ wszechświat nie ma granicy”.

Wiesz, moja miłości, nie pisałbym ci tego wszystkiego, gdyby nie było tak późno, to jest, gdybym nie znajdował się po drugiej stronie lata, w słonecznych dniach grudniowych. Ale strony powieści, której nie napisałem, obudziły we mnie wspomnienie podróży, której nie odbyliśmy, mo-

że dlatego, że mówią o gwiazdach, a niebo ma tyle gwiazd, więc nie ma się co martwić, jeśli nawet któraś spadnie, my zaś próbowaliśmy pojąć ich topografię tamtego 24 września, tyle lat temu, bo w trakcie podróży do Samarkandy, której nie odbyliśmy, spędziliśmy całą noc w obserwatorium Uług-bega. Cóż to za głupota badać gwiazdy, prawda? W ziemię trzeba patrzeć, w ziemię, bo życie zmusza nas zawsze do spuszczenia głowy.

Ostatnio zacząłem uczyć się trochę uzbeckiego. Ot, tak, dla żartu, jak uczysz się niektórych języków z rozmówek dla turystów, potem przeczytałem, że w pewnym wieku uczenie się języków zapobiega chorobie Alzheimera. Pamiętasz, jaki wydawał się nam śmieszny ten język, kiedy słyszeliśmy go na ulicach? Na przykład „do widzenia”, co znaczy zresztą żegnaj, jest śmiesznym słowem, bo brzmi jak po hiszpańsku „alvido”. Ale może najśmieszniejszym zdaniem jest „men olamdan ko’z yaemapman”. Chociaż jest to wyrażenie literackie. Prostsze, to znaczy potoczne, brzmi „men ko’z o’ljapman”. Wiesz, co znaczy?

To czasownik. Znaczący „Ich sterbe”, moja miłości.

MASKA JEST ZMĘCZONA

Moja słodka Ofelio,

nadchodzi zawsze taka chwila, w której pojmujesz złudę następowania po sobie dni albo że ich muzyka dobiegła końca. Co do złudy, to było tak, jak o świcie, kiedy kontury rzeczywistości, przedtem zatarte, rozświetla coraz mocniejsze światło i stają się wyraźne, ostre jak brzytwa i nieuchronne. Co zaś do muzyki, to było tak, jakby nuty orkiestry, po moto allegro, scherzoso, adagio i allegro maestoso, zaczęły brzmieć uroczyście, a potem cichnąć stopniowo, światła pogasły i koncert skończył się.

Dzisiaj wyszedłem z naszego teatrzyku i zobaczyłem, że na londyńskim niebie pojawiło się nagle niezwykle pomarańczowe światło, nie mające nic wspólnego z naszymi zachodami słońca, chociaż pasowałoby do tego znużonego września, kiedy szykuje się jesienne zrównanie dnia z nocą. Ale to światło zmienia barwę, z pomarańczowego przechodzi w fioletowe i indygo, jak w niektórych miastach na Południu, w mieście z wody i marmurów, czego Turner poszukiwał w Wenecji. Tutaj jest szary kamień, a jeśli chodzi o wo-

dę, mamy tylko płynącą wolno Tamizę, zacząłem właśnie spacer wzdłuż jej brzegów. Nie zaszedłem zbyt daleko, zatrzymałem się przy balustradzie mostu koło stacji Embankment, cały czas rozmyślałem, pozwalając płynąć swobodnie moim myślom, a tymczasem również Tamiza, podobnie jak myśli, płynęła w moim kierunku i wydawało mi się, że opowiada starą historię, tak starą jak nasza, ta, którą musimy odgrywać od lat. Od ilu lat? zastanawiałem się. Och, zbyt wielu, kiedy się nad tym zastanowić, doprawdy zbyt wielu, dwudziestu, licząc do początku roku, już niemal dwudziestu jeden, mój słodki książę, odpowiedziałabyś melancholijnie ze swojej garderoby. Moja słodka Ofelio, już od ponad dwudziestu lat unosisz się z prądem, od dwudziestu lat widzę, jak toniesz, i wiem, że jestem przyczyną twojej śmierci.

Patrzyłem na wolny prąd rzeki i myślałem o minionych latach, o płomiennym entuzjazmie, o rutynie, w którą się popada i która staje się schronieniem, po tym, jak powolna złuda dni staje się powolną złudą, że jutro może być inne niż dziś. Nie: jutro nie może być inne, mała Ofelio, jutro powiem ci raz jeszcze rzeczy bez związku, że teraz cię Kocham i już cię nie Kocham, że wypędzam szczury z mojego pałacu, będę wyśmiewał się z twojego brata i zasztyletuję twojego ojca, ten błazen Yoryk będzie stał nieruchomo przede mną z wyciągniętą ręką, trzymając w niej dynię, a ty, ze złamanym sercem, poddasz się prądowi. I w owej chwili, kiedy światła przygasają

i stają się niebieskie, aktorzy nieruchomieją na scenie, po to aby nastąpiła pełna oczekiwania pauza, mająca oczarować publiczność, z głośników popłynie piosenka Yesterday, all my troubles seemed so far away. I jak zawsze posłużymy się głosami Beatlesów, aby przywołać starą tragedię sprzed wieków.

W tamtych latach nasz podkład muzyczny robił wrażenie, prawda, mała Ofelio? jakie to było nowatorskie, jak podobało się publiczności, gazetem, że w teatryku w Soho zespół młodych ludzi, ubranych w rurkowane spodnie i przy muzyce Beatlesów, przedstawia odwieczną tragedię. Przyjeżdżałem moim minimorrisem, wysiadałem na oczach wielbicieli, obchodziłem samochód wokół, otwierałem ci drzwiczki, jakbyś była jakąś arystokratką naprawdę godną księcia Hamleta, zachęcałem cię, abyś wysiadła, kłaniając się uniżenie i zamiatając ziemię kapeluszem z piórem. Och, daleka Ofelio, to był koniec lat sześćdziesiątych, czuliśmy się młodzi i byliśmy nimi. Londyn wydawał się jednym wielkim świętem, podobnie jak życie. Może najgenialniejszym pomysłem było posłużenie się dwiema wielkimi marionetkami z XVIII wieku do roli Rozenkranca i Gildensterna. Dwie lalki mechaniczne z drewna i metalu, zrobione przez dawnych rzemieślników, marzących w tamtych czasach o skonstruowaniu automatu przypominającego pod każdym względem istotę ludzką, poruszały głowami o smutnych twarzach, na których umieściliśmy dwie łyzy jak u Pierrota, zaś dwa głosy zza kulis, wygłaszające

ich kwestie, wywoływały doprawdy niepokojący efekt. Spójrzcie, drodzy widzowie, oto prawdziwi aktorzy, mechaniczne marionetki z magnetofonami w drewnianych brzuchach, nie mają trzewi, nie mają serca, nie mają duszy, mają tylko wióry i taśmę magnetofonową imitującą ich emocje. Pokażcie mi wasz teatr, mówię. Rozenkranc klęka, jego metalowe ścięgnię trzeszcza ponuro na scenie, Gildenstern przybrał zboląłą pozę kogoś, kogo boli brzuch, trzyma w ręce list i podaje go królowi odległego kraju. Sire, mówi Rozenkranc, tym listem musimy zdradzić duńskiego księcia, proszę go przyjąć, bo tak chce mój kompan Gildenstern. Sire, mówi Gildenstern, tym listem musimy zdradzić duńskiego księcia, proszę go przyjąć, bo tak chce mój kompan Rozenkranc. Sire, mówią jednocześnie Rozenkranc i Gildenstern, jako rękojmię naszej zdrady proszę przyjąć nasze łzy jak u Pierrota. Zrywam się na równe nogi, wszystko to wydaje się nieznośne, te dwa głupie drewniane manekiny usiłują grać na moich emocjach, zrobić na mnie wrażenie, trafić do części mojego jestestwa, tej najsłabszej i najbardziej tchórzliwej, szantażują mnie, myślą może, że uda im się mnie schwytać w swoją pułapkę? Ach, nie pójdzie im tak łatwo z odważnym księciem duńskim. Wyciąga z pochwy szpadę, celuje w nich, wyzywa na pojedynek, grozi. Łajdaki, marnie aktorzyny, żadni z was aktorzy, nawet najmarniejsi, tylko mechaniczne lalki, myśleliście, że wzbudzicie strach w duszy śmiałego księcia? Głowa jednego z nich, poruszana wewnętrznym me-

chanizmem pozwalającym nią kręcić, obróciła się tak, aby publiczność mogła dobrze widzieć łzę jak u Pierrota, złościącą policzek, i reflektorek elektryka, niczym czubek noża, przesywa łzę, kryształ świecidełka, służącego niegdyś jako kolczyk jakiejś podrzędnej damie i który kupiliśmy na pchlim targu, aby przytwierdzić go do policzka niby-aktora. I jak błyszczy ta łza, bardziej sztuczna od wszystkich sztucznych rzeczy na świecie, po to aby publiczność mogła płakać prawdziwymi łzami z powodu iluzji, sprzedawanej co wieczór za cenę biletu. Ale księżę duński nie pozwala, aby publiczność płakała z powodu innego aktora niż on: dotyka czubkiem szpady szyi towarzysza, tego symulanta udającego płacz, i pyta: Cóż z nim Hekuba, on z nią ma wspólnego, żeby aż płakał nad jej losem? Wzburzony, naprawdę wzburzony jest młody książę, któremu duchy nie pozwalają odpocząć i dręczą go po nocach, wie przecież, że podła królowa leży w łóżku z kochankiem, obrażając pamięć ojca. Obejmuje głowę rękami, zwraca się do księżycy, gnębi go najczarniejsza melancholia, ma duszę czarną od sadzy. Biedna mała Ofelio, ludzisz się, że złagodzisz jego cierpienie swoimi naiwnymi słowami miłości?

Tak mijają lata, starzejemy się, uczeni maski, która została nam narzucona, chociaż sami ją sobie wybraliśmy. Artykuły w gazetach stają się coraz rzadsze, aż pewnego dnia prasa zaczyna cię ignorować. Młoda, entuzjastyczna publiczność, która wpatrywała się kiedyś w ciebie, przyprowadza teraz własne dzieci, aby mogły zobaczyć hi-

storyczne już zjawisko, to znaczy, jak awangardowy zespół z lat sześćdziesiątych potrafił grać Szekspira w latach sześćdziesiątych, teraz, kiedy stulecie dobiega końca. W ten sposób nawet twoja śmierć podlega historii, moja mała Ofelio, twoje samobójstwo z powodu kapryśnego księcia, twoja nieutulona rozpacz, twoje unoszenie się w minispódniczce od Mary Quant na powierzchni plastikowego basenu.

Nie zdając sobie z tego sprawy, dotarłem do Russell Square, potem wszedłem do Covent Garden i kupiłem bilet do Theatre Museum. Zacząłem krążyć po salach, wreszcie jako ktoś, kto ogląda, a nie jest oglądany. Zatrzymałem się w salach, gdzie makiety przedstawiają ewolucję sceny szekspirowskiej aż do dnia dzisiejszego, potem w salach mieszczących plakaty, programy i kostiumy z najsłynniejszych inscenizacji sztuki, którą wystawialiśmy przez ponad dwadzieścia lat. Było dla mnie niepokojącym zaskoczeniem zobaczyć, jak w teatrze wszystko się starzeje oprócz samego ducha teatru. Pradawna, niezmienna tragedia dziwnego duńskiego księcia i zakochanej w nim nieszczęsnej dziewczyny pozostawała niezmienna w każdej epoce, ale jakże brzydkie i niestosowne wydawały się twarze i kostiumy aktorów, scenografie. Wszystko było stare i niemodne, bo nawet w próbie kopiowania dawnej tragedii każda epoka pozostawiała w strojach i twarzach aktorów niezatarte ślady siebie samej i swojego czasu. I pomyślałem, że niedługo znajdziemy się tutaj także i my, pośród plakatów i ko-

stiumów: ja z moimi włosami à la Beatles, opadającymi na kołnierz, które już się przerzedzają, i ty, biedna Ofelio, którą zmuszałem co wieczór do popełnienia samobójstwa w minispódniczce. I naprawdę poczułem dreszcz, ogarnęło mnie prawdziwe szaleństwo: sale były puste, wybrałem jedną, gdzie słynna aktorka z lat trzydziestych spoglądała na mnie z pożółkłego plakatu tragicznym i mętłym spojrzeniem. Nie wiem, co mi się stało, uklękłem przed nią i powiedziałem Pray, love, remember i zacząłem jej mówić o fiołkach myśli i rzekłem, że język przemawia za pomocą dziwnych nut, ślizga się jak wąż, a potem zawołałem: Idź, waćpanna, do klasztoru: na co ci mnożyć grzeszników? Ja sam jako tako jestem uczciwy, a przecież mógłbym sobie zarzucić takie rzeczy, że lepiej by było, gdyby mnie była matka na świat nie wydała. Jestem nadzwyczajnie dumny, mściwy, chciwy władzy, więcej mam przywar niż władz umysłowych do ich poznania. Czego się takie figury tłuc mają pomiędzy ziemią a niebem? I ucałowałem powietrze przed sobą, jak gdyby tą esencją Ofelii, do której się zwracałem, byłaś naprawdę ty i wydawało mi się, że po raz pierwszy w naszym życiu zdołałem wyrazić ci moją miłość, moją wieczną, nieskończoną miłość, która jest jednak chora, bo Księżę źle się czuje, droga słodka Ofelio, gnębi go nieznana dolegliwość, wyjąłwiająca duszę, a jednocześnie napęlniająca mu ciało żółcią, ach, ale któż to jest ten, kim byłem przez te wszystkie lata i którego wciąż nie znam? kim jest ta istota udręczona przez wątpliwości

i bezsenność, czekająca na duchy i wierząca w Wieczność? I dlaczego ten głupi, umęczony człowiek pozwalał, abyś ty, miła Ofelio, w białej minispódniczce od Mary Quant topiła się co wieczór w plastikowym basenie? Nie mogłem dodać jednego słowa więcej? Czy scenariusz, do którego musiałem się dostosować, był rzeczywiście tak nieuchronny i nie do zmienienia?

Nie, nie był. Rzuciłem ci się do stóp i w końcu przed poźólką fotografią starej aktorki powiedziałem słowa, których nigdy nie mogłem ci powiedzieć przez te wszystkie lata. To są ubogie słowa, bo nie jestem wielkim dramaturgiem, który uwięził nas w tym, czym jesteśmy, mam za sobą ubogie dzieciństwo, spędzone na nędznych peryferiach, jestem tylko biednym aktorem i nie potrafię gładko się wypowiadać. Ale powiedziałem ci: słodka Ofelio, wiesz, nie chciałem cię skrzywdzić, tak jak cię skrzywdziłem, wołałbym zachowywać się szlachetnie, normalnie i uczciwie, jak wszyscy ludzie, którzy wracają po pracy do domu, płacą podatki i wiedzą, że należy im się emerytura, bo pracowali uczciwie przez całe życie, porządkowali cudze formularze podatkowe, odbijali kartę w jakimś państwowym urzędzie, dziurkowali bilety pasażerom w pociągach jeżdżących po naszym kraju. Napisałem dla ciebie wiersz, wybacz ubogie wersy, ale są wyrwane z kontekstu, jak czyjeś wspomnienia w strzępach i w kawałkach:

Och, niebiańskie kosmetyki,
uzdrówcie moją ukochaną!

Ma niebieskie oczy
i płacze z powodu mojej czarności.
Noszę czarny płaszcz
i czarna jest moja dusza, powiadają,
ale kocham cię, słodka Ofelio,
mam białą duszę,
bielszą od twojej minispódniczki.

I jak ludzie, o których ci opowiadałem, uczciwi ludzie, dożywający zasłużonej emerytury, o moja słodka Ofelio, która znosiłaś moją nudną obecność przez całe życie, chciałbym, abyś mi powiedziała: Richard, przyjechał nasz wnuk, siedzi w swoim pokoiku, zaraz go zawołam, żebyś mógł się z nim pobawić. I chociaż nie mamy wnuka, bo nie mieliśmy nigdy dzieci, a ty popełniłaś samobójstwo, zanim mogło się to nam przytrafić, udasz się elegancko do gościnnego pokoju w uczciwym szlafroku i papuciach wykładanych w środku sztuczną satyną, nie zaś w minispódniczce od Mary Quant, wrócisz do salonu, trzymając dziecko za rękę i oznajmisz: Francis, powiedz dobry wieczór dziadkowi, wrócił z pracy i będzie się teraz z tobą bawił. Ach, wiedziałem, że mały Francis będzie naszym gościem w ten weekend, nie jestem wcale taki naiwny, jak sądzisz, moja mała Ofelio, patrzcie, jaki prezent dziadek przyniósł. Otwieram paczkę, którą z obojętną miną taszczyłem pod pachą, i wyciągam miniaturową kolejkę elektryczną, która ucieszy na pewno małego Francisca. Są tam góry i tunele, przez które musi przejechać lokomotywa, małe jezioro z cynfolii, dwa przejazdy kolejowe i wioska zupełnie podobna do

tej, w której mieszkamy, bo w naszym wieku mi-
ło jest mieszkać na wsi, prawda, Ofelio? wiesz,
kiedy poprosiłaś mnie, żebyśmy wyjechali z Lon-
dynu, trochę się opierałem, myślałem, że przy-
gnębi mnie życie wśród łąk i stad owiec, życie, w
którym jedyną rozrywką będzie pub w miastecz-
ku. Jakże ucieszył się mały Francis, który już od
zeszłego roku marzył o takiej zabawce. Za droga,
powiedziałaś mi w ostatnie Boże Narodzenie, ale
teraz, wybac mi, popełniłem drobne szaleństwo,
pozwala mi na to moja emerytura, mogę chyba
sprawić radość tak uroczemu wnukowi jak nasz
i tak się cieszę, że wreszcie nie masz nic przeciw-
ko temu, a nawet jesteś szczęśliwa i zabierasz się
od razu do zabawy z wnukiem, już dawno o czymś
takim marzyłaś, prawda, ale jesteś zbyt oszczęd-
na, żeby zdecydować się na podobny wydatek,
więc wszyscy troje tkwimy tu zachwyceni, my
oboje, zupełnie jak dzieci, przyglądamy się kolej-
ce elektrycznej, która jeździ w kółko, mija góry
i doliny, i wioski, wystarczy nacisnąć przycisk,
aby przejazd kolejowy otworzył się i kolejka po-
pędziła triumfalnie dalej.

I właśnie wtedy pojawił się w drzwiach straź-
nik i przyjrzał mi się, osłupiały. Co pan wyrabia?
spytał mnie surowym tonem. Wygłaszam mono-
log Hamleta do Ofelii, szanowny panie, odpowie-
działem. To nie miejsce na wiece, odparował z za-
gniewaną miną strażnik, to nie Hyde Park, gdzie
każdy może powiedzieć, co mu się podoba. I jak
miałem mu wytłumaczyć, że to jest monolog Ham-
leta, m ó j monolog, ten, który powinienem był

wygłosić naprawdę, słodka Ofelio, zamiast szep-
tać ci słowa bez związku, doprowadzające cię co
wieczór do samobójstwa.

Wyszedłem na dwór, zapadła już noc. Rzadkie
światła Londynu oświetlały park. A dalej domyś-
lić się można było miejskich gmachów, życia. Do-
wiedziałem się dopiero wczoraj, że odchodzisz
z naszego małego zespołu. Jesteś najlepsza z nas
wszystkich, a przynajmniej, jeśli o nas już kom-
pletnie zapomniano, ciebie prasa jeszcze wspomi-
na. Nie sądzę jednak, żebyś z tego powodu po-
stanowiła przejść do innego dramatu. Nie zrobi-
łaś tego nie dlatego, że masz talent, ale dlatego,
że jesteś zmęczona: zmęczona moimi słowami bez
związku, zmęczona umieraniem co wieczór. Mo-
że pragniesz również miłości, takiej, jakiej ja ni-
gdy nie potrafiłem ci dać. Wiesz, jakie ryzyko
wiąże się z nową miłością, ale wolisz to od moje-
go daremnego obłędu. Będzie uwodził cię Don
Juan, bo twoja rola polega na byciu uwodzoną,
jego zaś rolą jest uwodzić. Ale przynajmniej w
czasie, który ci pozostał, cóż za nowość, cóż za
dawka tlenu! Nie lubię Don Juana i nie byłbym
dobrym aktorem do zagrania tej postaci. Chociaż
na to nie wygląda, jest on bardziej tragiczny ode
mnie, taki niby dobrze wychowany, pozornie lek-
komyślny, taki uprzejmy i obyczajny, jest o wie-
le bardziej szalony ode mnie, ponieważ jest banal-
ny, więcej, jest być może starym idiotą pojmują-
cym świat jako kobietę i pragnącym z nim kopulo-
wać. To półimpotent, który, aby się podniecić,
musi uciekać się do swoich nędznych uwodziciel-

skich sztuczek. Pozwolę, aby wypróbował je na tobie i aby odegrał swoją rolę, jak wymaga tego scenariusz, bo ja nigdy nie mógłbym być nim. Ale nie chcę cię utracić, mała Ofelio, nie mogę, dlatego ja również opuszczam zespół, poprosiłem o jakąś rolę w tym nowym przedstawieniu, które będzie dla nas konkurencją. Wyjaśniłem, że zgodzę się na każdą rolę, nawet najmniejszą, najmniej znaczącą, mogę nawet przebrać się za kobietę, byle tylko znaleźć się na scenie, na której grasz ty. Mógłbym ci powiedzieć, jakbyś była Małgosią: Niech sobie myśli, co jej się żywnie podoba. Albo jakbyś była Karolką: Niech sobie brnie w swojej wariacji. Albo jakbyś była znowu Małgosią: Każda twarz przy twojej wydaje mi się szpetną. Albo jakbyś była znowu Karolką: Od chwili, gdy cię ujrzałem, nie mogę patrzeć na kobiety. Nie, nie tak, tak może zachowywać się twój donżuan, który posiadał cię w domu Uguccion della Faggiola, w swoim łóżku demonicznego amanta. To rola nie dla mnie, nie mogę być twoim uwodzicielem, mnie przypada raczej rola widza, nie tego jednak, który siedzi na widowni, raczej kogoś, kto patrzy na ciebie z twarzą skamieniałą przez czas i znużenie spowodowane dręczeniem cię przez tyle lat. I powiem, ale bardzo cicho, łagodnym tonem: nie żywi się pokarmem przemijającym ten, kto spożywa chleb niebiański: inne poważniejsze sprawy, inne pragnienia powodowały mną tu, na ziemi.

Nie, nic z tego, będę Widmem i poważnym głosem, przepojonym głębokim wyrzutem, powiem: Don Juanie, zostaje ci tylko jedna chwila,

byś mógł korzystać z miłosierdzia niebios. Jeśli nie skruszysz się natychmiast, zguba twoja postanowiona. A wtedy ten twój pyszny donżuan odpowie: Kto śmie przemawiać w ten sposób? Zdaje mi się, że znam ten głos. Ach panie, to duch! wtrąci się ten naiwniak Sganarel, poznaę go po chodzie. I wtedy twój donżuan, jeszcze bardziej bezczelny, wykrzyknie: Duch, widmo, diabeł, zaraz się przekonamy. I oto, moja słodka Ofelio, która stałaś się Elwirą, która stałaś się Małgosią, która stałaś się Karolką, twój Hamlet, przemieniony wreszcie w widmo, którym dręczył się przez całe życie, będzie mógł zagrać swoją prawdziwą rolę i jak przewiduje scenariusz, odchyli czarny welon spowijający jego postać i stanie się Czasem, nieubłaganym i nieuchronnym, który swoją kosą ścina ludzkie życie. Twój donżuan zblednie ze strachu, ale ja nie będę trzymał w ręce kosy, jedynie pióro z mojego kapelusza Hamleta, i udając, że kreślę litery w powietrzu, zacznę śpiewać „Querida, não quero despedida, eu fui feito pra Você, foi tão bom te conhecer na vida, não tem outra saída, Ofelio droga, nie mogę powiedzieć ci żegnaj, zostałem stworzony dla ciebie, było tak słodko mieć cię w moim życiu, to droga bez wyjścia”, tak brzmią słowa piosenki *Feito pra Você*, wykonywanej przez Grupo Raça, uczę się jej na pamięć, wiesz, zacząłem uczyć się portugalskiego, to fantastyczny język, o wiele bardziej miłszy od naszego, gdyby Szekspir był Brazylijczykiem, nigdy nie kazałby mówić mi słów, które musiałem ci mówić przez całe życie, a poza tym

w Grupa Raça wykonawcy samby są wszelkich możliwych ras, jak to w Brazylii, ta muzyka wydaje mi się bardziej aktualna od Beatlesów, którzy już się skończyli, sami dla siebie i dla nas, a ty, zza kulis, odpowiesz mi „Foi un rio que passou na minha vida, to była rzeka, która przepłynęła przez moje życie”, co, zważywszy na koniec, jaki ci zgotowywałem co wieczór, robi pewne wrażenie i w tym momencie Don Juan zeszywnieje niczym trup, nie potrzeba będzie nawet Komandora, aby pochłonęło go piekło, na jakie zasłużył, ten spóźniony donżuan z peryferii skamienieje, a raczej zamieni się w słup soli, ty zaś, moja słodka Ofelio, ubrana wreszcie jak Ofelia, wyjdiesz na scenę i zawołasz: mój miły księżu, wcale nie popełniłam samobójstwa, poszłam tylko odetchnąć świeżym powietrzem nad jeziorko, dobrze mi robi wieczorny spacer, przywraca poczucie rzeczywistości, ale cóż za radość widzieć, że jesteś w dobrym humorze. I podczas gdy samba rozbrzmiewa coraz głośniej, obejmujemy się na środku sceny, kurtyna powoli opadnie, zobaczysz, że publiczność oszaleje z zachwytu, zaczniesz bić brawo i tupać jak w 1968 roku, kiedy graliśmy w naszym pierwszym przedstawieniu, prawda, mała Ofelio?

DZIWNA FORMA ŻYCIA

*Erkennst du mich, Luft, du, voll noch einst
meiniger Orte?*

Rainer M. Rilke, „Sonete an Orpheus”

Miłości moja,
to dziwna forma życia, ta, w której zdarza ci się budzić nocą w ciemności, słyszeć pianie koguta i masz wrażenie, że jesteś w wiejskim domu, gdzie spędziłeś dzieciństwo. Wpatrujesz się w mrok szeroko otwartymi oczami i czekasz, aż wstanie świt, a tymczasem dzieciństwo jest tuż, obecne, koło twojego łóżka, mógłbyś niemal chwycić je w dłoń, ależ tak, chwycić w dłoń swoje dzieciństwo, myślisz, no już, nie bój się, chociaż minęło tyle czasu, chociaż wygląda na to, że życie je pogrzebało, ono jest tutaj, na wyciągnięcie ręki, no już, chwycić je w dłoń, nie bój się. Wyciągasz rękę w ciemności i czujesz je, to swoje dzieciństwo. Ma postać dziewczynki, dziewczynki, z którą przemierzyłeś dzieciństwo, trzymając ją za rękę. Ach, ale to nie jest dzieciństwo, które spędziłeś w Barcelonie, w mieszczańskim domu pełnym

starych mebli i obrazów przodków nacjonalistów — w każdym razie przyzwoitych ludzi — bankierów, bogaczy z wąsami, tak męskich, tak męskich jak trzeba, aby być dobrym obywatelem, takim, który pamięta o żonie, rodzinie, pieniądzach i również trochę o kochance, bo kochanka jest na ostatnim miejscu, jak służąca; nie, to inne dzieciństwo, idź precz, dzieciństwo podające się za prawdziwe, jesteś moim dzieciństwem z Urzędu Stanu Cywilnego, wiesz, życie nie jest Urzędem Stanu Cywilnego, jest zawsze i niezmiennie gdzie indziej, prawdziwe dzieciństwo wybierasz sobie, jak już dorosniesz albo zestarzejesz się, wtedy bierzesz za rękę swoje wymyślone, najprawdziwsze dzieciństwo, a ono jest dziewczynką z parą chodaków na stópkach, skaczącą po piasku, przed tobą rozciąga się ogrom niebieskiego morza, jest lato, dziewczynka skacze i mówi: tak robią kukiełki, a potem dodaje: kółko graniaste, czworokanciaste, bo zaczynamy zabawę, chcesz się ze mną bawić, Enrique? zrobmy kółko we dwoje. Och, odpowiada Enrique, chłopczyk, który przypiekl się na słońcu i ma posmarowane policzki grubą warstwą kremu: jesteś może z dzielnicy Kolumb? Głupi, ale głupi ten Enrique, świat nie kończy się na Kolumbie, który odkrył Nowy Świat, świat jest światem, zawiera w sobie dzielnicę Kolumb, ale również plac Ciro Menotti, boulevard Jourdan, Clot Fair, przede wszystkim jednak, wiesz, głupiutki Enrique, zawiera granję, piękny, stary wiejski dom albo i hotel, czy jak chcesz go nazwać, nasi rodzice poszli do klubu, grają w kana-

stę, spędzą całe popołudnie w tym idiotycznym pawilonie, a nasi tatusiowie zagrają może również w bilard, grę naśladowującą życie, ponieważ jest pełna kątów prostych i ostrych, taką bowiem drogę muszą przebyć bile, ale my będziemy kręcić się w kółko, prawda, mały Enrique? Tak, tak, prawda, szepczesz w ciemności do twojej towarzyski dzieciństwa, pragniesz, aby stała się twoją koleżanką szkolną, twoją kobietą w łóżku, twoją kobietą na zawsze, chociaż prawdopodobnie nigdy tak się nie stanie, na razie jednak mały Enrique wcale się tym nie przejmuje, na razie jest szczęśliwy, podał rękę swojemu prawdziwemu dzieciństwu i razem kręcą się na półkolu, wyłożonym płytkami z porfiru, które wystaje trochę w stronę plaży z nadmorskiej promenady, jest też odrobinę wyższe od reszty, widać stamtąd morze lepiej niż z jakiegokolwiek innego miejsca. Dzisiaj nie idzie się na plażę, nie, bo wieje libeccio, potrwa to z trzy dni, libeccio jest ciepłym wiatrem, powodującym sztorm na morzu i nerwowość w ciele, ale Enrique i jego dzieciństwo nie są nerwowi, kręcą się w kółko i śpiewają piosenkę.

Na ausência e na distância, śpiewa głos na ulicy i zaraz potem krzyczy: laranjas, laranjas! Trzeba przejść od dzieciństwa do kategorii czasu teraźniejszego, świt zagląda do okna, wędrowna sprzedawczyni nauczyła się piosenki Cesarii Evory: Afryka, którą Portugalia podbiła za pomocą broni i okrętów, gdzie przywiozła cywilizację Chrystusa, język Zachodu i niewolnictwo, teraz powra-

ca niczym nemesis, powraca ze swoim barwnym kreolskim, którego sprzedawczyni pomarańczy w Porto nauczyła się, nie wiedząc może nawet, że Afryka się w niej przegląda, ona zaś podśpiewuje: mansinho, lua cheia i usiłuje naśladować wymowę Cesarii, nosi gumiakki do pół łydki, nie chodzi boso jak Cesaria, chodzi w gumiakach do pół łydki, żeby nie ślizgać się na mokrym chodniku tego zimowego dnia w Ribeirze, w Porto. Śpiewa o Afryce. Afryko, och, Afryko, której nigdy nie znałem, Afryko, matko, Afryko, brzuchu, Afryko, którą moja Europa gwałciła przez wieki, Afryko, ogromna, biedna, chora, a przecież nieustannie radosna, mimo przeżerającego cię raka, Afryko mówiąca o nha desventura, nha crecheu, jak mówi się miłość w twoim języku, który upodliliśmy i w którym śpiewa teraz prosta kobieta z Porto, crecheu crecheu crecheu, nha desventura, Afryko, którą przekłęci bandyci gwałcą nadal, Afryko, gdzie księżyc jest ogromny i czerwony, co można przeczytać w książkach o egzotycznych krajach, w nieobecności i dystansie dzielącymi mnie od ciebie, Afryko, gdzie wielu pisze nadal ze zniewolenia, w języku, w którym ja piszę w akcie wolności, są bardziej purystyczni od purystów, jak gdyby slumsy Luandy, tereny opanowane przez morderców, były ich Real Academia, ich Port Royal, och, Afryko wędrowca Kapuścińskiego, wspaniałego luandczyka, och, Afryko, która teraz przechodzisz pod oknem hoteliku w Ribeirze, w Porto, dzięki nieudolnej imitacji ze strony sprzedawczyni pomarańczy, Afryko, pro-

szę, sprowadź mnie z powrotem do domu; do domu, którego pragnę, jeśli w ogóle mam jeszcze jakiś dom, teraz zrobił się już dzień, zimowe słońce rzuca promień na pomiętą pościel na łóżku, czas wstawać, czas wyjść, czas pomyśleć, kim nie jesteś, mówisz tak do siebie w milczeniu, naprawdę czas pomyśleć, kim nie jesteś.

Moja droga, myślałem o tym podczas ubierania się, teraz zimowe światło, docierające do ujścia, oświetla bezlitośnie obrazki przedstawiające ubogich pastuszków z Fatimy, których naiwny malarz przedstawił jako niedorozwiniętych umysłowo, zasługują oni bowiem na Królestwo Niebieskie, jak wszyscy niedorozwinięci umysłowo, zgodnie z niepokojącym zdaniem, wygłoszonym przez Chrystusa. Ubierasz się i wiesz, że czas zakończyć twoją podróż, której cel pozostaje nieznanym, ale przecież, z jasnością bardziej oślepiającą od światła w oknie, wiesz, że go znasz, posiadasz na własność i chciałbyś, aby tej pewności towarzyszył koncert na fortepian i orkiestrę D-dur Mozarta, bo słyszysz tę muzykę i pragniesz, aby allegro vivace z efektem Serkina wykonały czarodziejskie palce Marii João Pires, pragniesz allegro vivace, odkąd wczoraj przed zaśnięciem przeczytałeś tajemniczą książkę, znaną przypadkiem w szufladzie szafki nocnej. I ta książka autora, który przewidział wszystko na twój temat, twoją drogę, twoją wędrówkę, skłoniła cię do pomyślenia, że może ścigasz swoją przyszłość, a zarazem uświadomiła ci sens tego, co utraciłeś; tak jakby twoja podróż w pionie, twoja podróż ku

prawdziwemu, nieubłaganemu i nieświadomemu końcowi, zmieniła się w poziomą: to prawda! to prawda! poruszasz się i czas cię przenika, a twoja przyszłość szuka cię, już cię znajduje, przeżywa cię, już cię przeżyła.

Znaleźć książkę mówiącą o twoim życiu i znaleźć ją w hotelowej szufladzie, w nieznanym mieście, wyda ci się literackim chwytem, prawda, moja droga? Mogłabyś zaprotestować, co ty tu wypisujesz? Mogłbym ci odpowiedzieć: kto do mnie pisze? Słusznie: kto do mnie pisze i o czym ja w końcu mówię? Mówię o tym, co się stało, o tym, czego chce ode mnie moja ponowna przyszłość, stanowiąca dopełnienie i konieczność, droga w odwrotnym kierunku, wytyczona w książce, znalezionej przypadkiem w hoteliku w Porto. Nie znałem tego miasta aż do chwili, kiedy wczoraj wieczorem, wprowadziwszy się do hotelowego pokoju (pokoju w tylnej części, z poślizniętymi tapetami na ścianach), zrozumiałem z niezachwianą pewnością, że przemierzam w odwrotnym kierunku drogę wytyczoną dla mnie przez nieznanego pisarza. Mar azul, assim mansinho, przeczytałem tę książkę, moja droga, mówiła o mojej wędrówce: o pionowym skoku do błękitnego, spokojnego morza, którego błękitny spokój pochłaniał mnie. Książka przywłaszczyła sobie moje wspomnienia, jakby znała je lepiej ode mnie, wspomnienia z mojej młodości, wspomnienia z czasów, kiedy zrywałem maki na skraju drogi wzdłuż pola porośniętego zbożem, wspomnienia przeczytanych książek, poznanych osób, nawet wspomnie-

nia z podróży po archipelagu, którego może już nie ma, byłem roztrącony i nic nie pamiętam, kiedy księżyc jest najpiękniejszy, a na horyzoncie widać gór kontur i nie pamiętasz, nie ilu dzisiaj urokiem zniewoliłaś, ale ilu masz jeszcze spotkać, bo to jest moje wczoraj i już tu kiedyś byłem, książka o tym wiedziała, zapisała już czas, który miałem przemierzyć. Było w niej napisane: „Pamiętam, że w czasie mojej podróży na Azory, wszedłem do Peter’s bar w Horcie, do lokalu, gdzie bywali łowcy wielorybów, obok klubu sportów wodnych, coś pośredniego między tawerną, miejscem spotkań, informacją turystyczną a pocztą. Peter’s stał się w końcu adresem dla ulotnych i przypadkowych przesyłek, które, w przeciwnym razie, nie miałyby żadnego innego adresu. Na drewnianej tablicy, na ścianie Peter’s bar przyczepiane są wezwania, telegramy, listy, w nadziei, że ktoś je kiedyś odbierze. Znalazłem tam tajemniczy ciąg notatek, listów i głosów, które wydawały się z sobą ściśle powiązane, jak gdyby podróżowały w wymyślonej karawanie fikcyjnych wspomnień, niczym głosy niesione przez coś, ale nie wiadomo, przez co”.

Ta książka wiedziała wszystko, naprawdę, chociaż mój swobodny upadek zdążył ku całkowitej nicości. Nie wiedziała jednak, że nie będzie to podróż w jedną stronę, będzie to podróż powrotna. O mar, mar azul, śpiewa sprzedawczyni pomarańczy, piquinino mar, wyszedłem więc na ulicę, moja miłości, pełnia dnia i zimowe słońce próbowały naśladować odległe lato, a ja musia-

łem sobie przypomnieć, kogo urokiem zniewoliłaś wczoraj, jakbyś miała go zniewalać nadal, zastanowiłem się nad przyczyną tej mojej podróży, którą tajemnicza książka, ukryta w szufladzie w moim pokoju, opisywała jako podróż w jedną stronę. Dlaczego więc miałaś zniewolić ducha Don Juana albo, jak kto woli, Jamesa Stewarta, i dlaczego pozwoliłaś, aby urzekł cię ten stary głupiec pachnący wodą kolońską, i dlaczego miałaś urokiem zniewolić duszyczkę tego rozpustnika Leporella i dlaczego pozwoliłaś, aby ten rozpustnik cię urzekł, kupiłem pomarańcze i zjadłem je w drodze nad morze, o mar, mar azul, mar piquinino, szedłem uliczkami Ribeiry na chybił trafił, ponieważ ulice są idealnym miejscem objawiania się przypadkowości życia, patrzyłem na barki płynące z powolnym prądem rzeki.

W końcu dotarłem do ujścia, miałem przed sobą plażę. Zacząłem siusiać w kierunku morza, sprzyjał mi wiatr wiejący w plecy. Minał mnie jakiś pan w stroju akademika i trójgraniastym kapeluszu, wydawało mi się, że to Marinetti, spojrzał na mnie z dezaprobatą, tak mi się przynajmniej wydawało, powiedziałem mu więc: proszę się nie oburzać, panie akademiku, dodaję do oceanu kroplę wody, niech pan również wysiusia się w kierunku morza, zobaczy pan, dobrze to panu zrobi, proszę tylko uważać, aby nie nasiusiać sobie na buty, akademikom może się coś takiego przydarzyć. Wielkie morze, morze jest naprawdę ogromne, miłości moja, mar azul, la lua cheia jeszcze nie było, tylko fiołkowa smużka na ho-

ryzoncie, nabierającym pomarańczowej barwy, pewnie zaczynała się burza, naprawdę zrozumiałem, że przebywam w odwrotnym kierunku drogi, wytyczoną dla mnie przez tajemniczą książkę, widać było żagle na morzu, wydawały się małutkie, idąc powoli, zawróciłem w stronę miasta. Przeszedłem raz jeszcze przez peryferyjną uliczkę, szukałem rua Ferreira Borges, ale nikt jej nie znał, w pewnej chwili odniosłem wrażenie, że mój wuj Federico Mayol idzie przez plac w drobnym deszczu, który zaczął padać. Odszukałem pocztę i wysłałem telegram, który należało wysłać do twojego Komandora i twojego Leporella: moje najszczerze kondolencje, napisałem do nich, jestem pewny, że będzie jej wam bardzo brakowało. I wówczas zrozumiałem, że mogę naprawdę wrócić do domu, mogę nawet zostawić bagaż w hoteliku, nic przecież w nim nie ma oprócz czterech koszul i dwóch książek, które wielokrotnie przeczytałem: jedna mówi o duchach, które pewien meksykański pisarz spotkał w czasie nocy pełnej snów, druga to Ewangelia według tego optymisty Jana, kochałem go, wierzył tak mocno w słowo, ponieważ na początku było Słowo i w Nim było życie, a życie było światłością ludzi. Ruszyłem piechotą w stronę domu, mojego domu. W gruncie rzeczy Katalonia nie leży zbyt daleko, można ostatecznie dojść na piechotę. Ale czy ty, miłości moja, będziesz tam znowu? Czy ty również odbyłaś podróż powrotną i wszystko zacznie się od nowa, od początku?

W PRZEDDZIEN WNIĘBOWSTĄPIENIA

Moja miła, smutna dziewczyno,
zasmuciłem cię, ja, odchodząc. Ale to nie była moja wina, wiesz dobrze, chociaż nie ma sensu mówić o winie, nie znosiłaś zresztą nigdy słowa „wina”. Zgodą, to nieznośne słowo. Powiedzmy, że stało się tak z powodu kur liwornijskich, użyjmy raz jeszcze naszego dawnego szyfru, przeszczep to jednak nie byle co, wiadomo, nie mówiąc już o całej reszcie. Ale nie wracajmy do tego więcej, dobrze?

Posłuchaj, również wczoraj w nocy, która pozostaje najpiękniejszą nocą, jaką ostatnio spędziłem, najmilszą, najjaśniejszą, najdłuższą, kiedy znowu trzymałem cię w ramionach, pomyślałem: nie powinienem o tym więcej myśleć, nie powinniśmy o tym więcej myśleć, tak się stało, zdarza się, w życiu.

A tymczasem słyszałem dzwony miasteczka pośród drzew oliwnych, które widać z okna hotelu, gdzie trafiliśmy po trwającej całe popołudnie wędrówce przez pola. Najpierw gospoda pod Gadającym Świerszczem. Powiedzieliśmy sobie: mowy nie ma, już za dużo było w naszym życiu

gadających świerszczy. Rino, na przykład, pamiętasz? Wiesz, że wczoraj w nocy przyszedł mi do głowy Rino? No właśnie, Rino, prawdziwy Kleliusz Filipińczyk, wylaniający się z mroków przeszłości. Który to był rok, pamiętasz? 1967, 1968? Coś koło tego. Rino, mądrała, ten, który mawiał, że jeśli świat jest paradoksalny, nic nie jest bardziej paradoksalne od życia zespolonego ze śmiercią. Jeśli dobrze pamiętam, podobał ci się, wydawał ci się interesujący, pisał bardzo skomplikowane eseje na łamach parauniwersyteckiego czasopisma, którego nikt nie czytał. „Wizja czyni ekstazę bardziej pogodną”, lubił powtarzać, cytując ni w pięć, ni w dziewięć Edgara Allana Poe. Moim zdaniem, dawał sobie w żyłę, wówczas wszyscy dawali sobie w żyłę, a kto nie dawał sobie w żyłę, strzelał do innych z rewolweru, zastrzelić jednego, aby wychować stu, jeśli można tak powiedzieć.

Potem okazało się, że czasopismo nie było ani trochę parauniwersyteckie, służyło jedynie za przykrywkę dla grupki niespokojnych duchów, finansowanych podobno przez Imeldę Marcos, tę, która kolekcjonowała buty dla siebie, a dla swoich współobywateli szubienice. Słowem, z tym mądrałą Rino miałaś drobny flirt, choćby tylko intelektualny, bo kiedy zamknęli go ze względów bezpieczeństwa, jak to się u nas robi, nawiązałaś z nim intensywną korespondencję, nafaszerowaną Nietzschem i Szekspirem, żadne tam żarty. Ale sam nie wiem, czemu ci o tym wszystkim mówię, bo wczoraj w nocy, naprawdę, pomyślałem,

z iloma gadającymi świerszczami musieliśmy mieć dotąd do czynienia. Teraz jednak, nareszcie, koniec.

Wczoraj w nocy słyszałem świerszcze, ale to był inny dźwięk. To są świerszcze zapowiadające nadejście lata, które zamierzam spędzić z tobą. Świerszcze naszego dzieciństwa, kiedy obchodziliśmy święto świerszcza, umierały nocą na listku sałaty w klatce umieszczonej w kuchni, tutejsze zaś są wolne, zadowolone, słysząc, jak śpiewają, wydaje się, że mówią „jutro jest pierwszy czerwca, święto Wniebowstąpienia”. Ale co to za święto, Wniebowstąpienie, jak można wniebowstać i kto wniebowstępuje? W moim domu, jak wiesz, nie obchodziło się świąt katolickich, ale może u ciebie tak, bo pamiętam fotografię z twojego ślubu, ubrana jesteś w białą suknię, masz welon na głowie i klęczysz przed księdzem. Ale mimo że wyznawaliśmy różne wiary, dla nas, dzieci, święto Wniebowstąpienia było piękne, ponieważ we wsi robiono placuszki ze smażonego ciasta, posypane cukrem pudrem, i sąsiadka przynosiła je dla mnie i dla brata, ja i Ferruccio przepadaliliśmy za nimi, nasza matka chowała je, tylko my wiedzieliśmy, gdzie, ponieważ ojciec wyrzucał je, krzycząc, że sąsiadka chce nas nawrócić.

Zgubiłem wątek, jak zwykle. Może dlatego, że trudno mi pisać dalej, ale skoro dywaguję i zdążyłem już wspomnieć ci o Rino, chcę ci powiedzieć, że (może zresztą już wiesz) został ważną figurą w potężnym wydawnictwie, jego właścicielem jest jeden z tych, których w naszych czasach nazywa-

liśmy „kapitalistami”. Rino nie gardził niczym, ani z prawa, ani z lewa. Teraz stał się naprawdę sługą kapitalizmu i może osiągnąć spokój zmysłów. Ale patrz, jaką pamięć mają niektórzy: w zeszłym miesiącu napisał do mnie list, elegancki, na firmowym papierze. I wiesz, co zapamiętał z najdrobniejszymi szczegółami, jakby zarejestrował to jego mózg? zapamiętał teksty, które wam przeczytałem tamtego wieczoru po wykładzie starego anarchizującego filozofa, poszliśmy wszyscy do Rina, miałem notatki pod pachą i przeczytałem je wam, pamiętasz? to były notatki na temat artystów, którzy się narkotyzowali, szkic do książki, mającej nosić tytuł *Sztuczna wyobraźnia*, pamiętasz? Nadzwyczajne w tym wszystkim jest to, że Rino w swoim liście precyzował drobiazgowo, jakich autorów sobie nie życzy: „Nie interesują mnie Coleridge ani De Quincey — pisał — i tak wszyscy wiedzą, że palili opium, ani Gautier, ani Baudelaire, ani Rimbaud, ani Artaud, ani Michaux. Chciałbym, żebyś przede wszystkim zajął się Savonarolą, który napisał *In te Domine speravi* pod wpływem laudanum, przecież tak świetnie tłumaczyłeś nam, że Savonarola narkotyzował się laudanum zmieszonym z rutą, mirrą i miodem i miał z tego powodu wizje mistyczne. Poza tym interesuje mnie Barbey d’Aureville, bo twierdziłeś, że mieszał eter z wodą kolońską. Chcę jeszcze, żebyś wspomniał o Nietzschem, który bez morfiny nie napisałby nigdy *Zaratustry*, i o Stevensonie, który bez morfiny nie poznałby nigdy Mr Hyde’a, i jeszcze o Yeatsie, tym folklorystycz-

nym mistyku Yeatsie, który z drugim fanfaronem, Ernstem Downem, spróbował jako jeden z pierwszych meskaliny, a bez niej nici z *Tajemniczej Róży*. Życzyłbym sobie jeszcze, aby znalazł się tam Ball, ten wariat z Cabaret Voltaire, bez którego dada znaczyć by mogło jedynie dodo, bez niego i bez jego heroiny, wynalezionej właśnie w tamtych latach; i jeszcze kokaina Trakla, morfina Adamova, ergotyna Jüngera, a przede wszystkim Drieu, ten nieszczęsny faszysta Drieu La Rochelle, on i jego strzykawki, jego pusta walizka i jego samobójstwo”.

Przepisałem wiernie jego własne słowa, mam list przed oczami. Na koniec pisze: „taka książeczka, napisana w stylu Borgesa walczącego o liberalizację narkotyków, ma szansę stać się bestsellerem roku”. Hurra! Odpowiedziałem magicznym zdaniem: wolę nie.

Wiesz, moja miła, smutna dziewczyno, „wolę nie” było najczęściej używaną przeze mnie formułką w tych ostatnich latach. Świat jest pełen ludzi i wszyscy czegoś od ciebie chcą. Podczas moich dalekich podróży dawałem z siebie dużo, wiesz o tym, ale niemal zawsze ludziom, którzy o nic nie prosili, ponieważ nie oczekiwali niczego od innych i od świata. Pamiętam ścieżki w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej, prowadzące do nędznych wsi, nierzadko spotykałem tam bosego starca w podartej koszuli, opartego o łopatę wbity w jałową ziemię, patrzył na ciebie pogodnym, normalnym wzrokiem kogoś, kto chce ci tylko powiedzieć dobry wieczór.

Moja miła droga, albo raczej ukochana, to właśnie spowodowało nasze ostatnie spotkanie: ukochana, a nie droga. Ukochana kobieta, to właśnie chciałem wymazać z pamięci przez te wszystkie lata, teraz, kiedy do ciebie piszę, tłoczą mi się w głowie obrazy i słowa, jak w męczącym śnie: twoje plecy, które obejmuję w półmroku, słowa, które szepczesz mi do ucha, spór, jaki toczysz ze mną podczas nocnej rozmowy, wybuchy śmiechu, jednoczesne, kolejne, nie kończące się, z powodu popełnianych przez ciebie głupstw, które tak lubię, a nawet to, jak ściskasz mnie za kark i potrząsasz czule, udając, że robisz mi wyrzuty (szalona dziewczyno!) Obrazy te, moja ukochana, pełne są żalu i poczucia winy, bo nikt nie zwróci nam czasu, któremu pozwoliłem przepłynąć przez palce lat, nikt nam nie zwróci tego, co utraciliśmy, tylko dlatego, że nie miałem siły tego nie utracić. Ale może odnajdziemy ów czas odnaleziony, moja słodka miłości, wiem, że go odnajdziemy, bo wystarczyło mi przekonać się, jak jesteśmy jeszcze młodzi, silni i pełni namiętności, aby pojąć, że czas utracony odnaleźć można niekiedy w parę godzin, godzin, podczas których słyszałem, jak krzyczysz z rozkoszy trzy razy z rzędu, a potem, w półśnie, kiedy obejmowałem cię z tyłu, a ty z tego skorzystałaś, aby raz jeszcze dać rozkosz sobie i mnie.

Dzisiaj jestem pewny, że trwać będzie ona zawsze. Jedno mnie tylko trapi: jutro, podczas święta Wniebowstąpienia, znaczącego początek czerwca, nie zobaczymy wspólnie dojrzałych już kło-

sów zbóż, które widać z mojego okna. Rozumiem jednak, że skoro musisz jechać po dokumenty, o których mi wspominałaś, nie możesz zwlekać ani dnia dłużej. Oznajmiłaś mi, że w papierach jest też ważny kawałek historii tego kraju, tak często pozbawionego historii, i myślę, że państwowe archiwum, ale przede wszystkim obywatele, będą ci wdzięczni. Czekam więc na ciebie wieczorem, drugiego czerwca, w dniu w gruncie rzeczy dla mnie ważniejszym, bo to święto Republiki. A kłosa nie będą z pewnością bardziej żółte niż wczoraj. Czas się dla mnie jakby zatrzymał, wiesz?

*OCZY MOJE JASNE,
MOJE WŁOSY KOLORU MIODU*

*Z drugiej strony, dobry szczur, od wszelkiej
filozoficznej hipokryzji wolny,
szczerzy, jednym słowem, i prawdomówny,
choć wyrosły wśród intryg i dworzanin,
miłośnik ludu, przystępny dla każdego
i, jeśli wolno tak rzec, ludzki,
mało o złoto, wielce o honor dbały,
szlachetny i ojczyznę miłujący.*

Giacomo Leopardi, „Paralipomeni”

Oczy moje jasne, moje włosy koloru miodu, wiesz, jak bardzo i od jak dawna cię pragnąłem, od pierwszego dnia, w którym cię ujrzałem. Ale wtedy, sto lat temu, byłaś młodziutką kobietą, a raczej dziewczyną w pełnym rozkwicie. Pewnie, trudno było widzieć w tobie bezbronną dziewczynę, we mnie zaś perwersyjnego faceta, jak w skandalicznej powieści tego rosyjskiego emigranta, wygnança z własnego kraju i samego siebie. Nasza historia mogłaby jednak równie dobrze zacząć się właśnie tak, bo, jak w tamtej powieści, czas odgrywa w niej zasadniczą rolę: czas zrobiony z niczego, podobnie jak rzeczy również zrobione z niczego, z jakiegoś „petit rien”, które skłania

nas do zastanowienia się, co tym wszystkim kieruje: niekiedy nic.

Powiedzieć, że pragnąłem cię od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem, to banał, ale tak właśnie było. Wtedy jednak, sto lat temu, byłaś młodziutką kobietą, dziewczyną gotową zakwitnąć dla tego, kto po ciebie sięgnie, ja zaś powściągliwym mężczyzną w wieku twojego ojca, wszystko zaś działo się w wakacyjnej miejscowości, gdzie przyjeżdżały całe rodziny. I wraz z rodzinami spotykaliśmy się w dalszym ciągu każdej zimy, na ogół w lutym, dla ciebie były to prawdziwe wakacje, dla mnie zaledwie siedem dni, tak zwany „biały tydzień”, na który pozwalała mi redakcja prowincjonalnej gazety, gdzie zarabiałem na życie. Pensja nie była wprawdzie najwyższa, ale miałem wiele uznania, prestiż moralny i intelektualny kogoś, kto walczy o wolność po słusznej stronie, opisałem to w memoriale, cenionym przez krytykę, co w waszych oczach młodych lewicowców z lewicowych rodzin przydawało mi rodzaju aureoli romantycznego bohatera. A w dodatku, jakże podziwialiście styl moich narciarskich zjazdów po najstromejszych stokach, szusowania w rekordowym czasie. Ja, pięćdziesięciolatek o eleganckim i tajemniczym wyglądzie, byłem większym ryzykantem od was dwudziestolatek, którzy zasiadaliście przy kominku, jak tylko spadło kilka płatków śniegu. Jedynie ty odważyłaś się towarzyszyć mi w trakcie owych szalonych zjazdów: jeździłaś na nartach jak prawdziwa mistrzyni, nicze-

go się nie bałaś. Pamiętam pewien ranek, kiedy z czystej chęci stawienia mi czoła ruszyłaś ze mną na trasę nie zważając na ostrzeżenia ze strony twoich przyjaciółek i twojego chłopaka, którzy, przestraszeni śnieżycą, zostali w hotelu i zajęli się grą w pokera. To prawda, hotel, chociaż pozornie skromny, był bardzo elegancki: dziesięć pokoi, nie więcej, cenne meble, trzeszcząca podłoga, ręcznie tkane dywany: nazwa pensjonat, którą przyjął, stanowiła jedynie przejaw snobizmu, wbijający nas w sekretną dumę. Pamiętam tamten ranek, nie tylko dlatego, że zjazd był niebezpieczny (nie pierwszy raz zjeżdżałem w takich warunkach, a ty za mną), ale dlatego, że kiedy doszusowałaś do mnie, zadyszana, z rozpalonymi policzkami, w kombinezonie przyprószonym śniegiem, podkreślającym twoje długie nogi, i po wyhamowaniu chwyciłaś pień świerka, przy którym stanąłem, wybuchnęliśmy śmiechem, jak dzieci, częściowo dlatego, że minęło napięcie, wywołane niebezpiecznym zjazdem, ale w rzeczywistości dlatego, że ty naprawdę byłaś dzieckiem. Spojrzeliśmy na siebie jak dwoje szkolnych kolegów, którzy coś przeszkrobali, jak dwoje wspólników. I wszystko zaczęło się od twego spojrzenia, ja zaś pomyślałem: ta dziewczyna jest moja. Bo nie tyle ja byłem odpowiedzialny za porozumienie, które się między nami nawiązało, ile sposób, w jaki na mnie spojrzałaś. Mężczyzna w moim wieku rozumie, co znaczy spojrzenie dziewczyny, i ja zrozumiałem. Zrozumiałem, że w spojrzeniu tym było

pożądanie i cień zmysłowości, i milcząca zachęta, i propozycja. Pomyślałem, że gdybym tylko zechciał, mógłbym wziąć cię tam, natychmiast, pośród puszystego śniegu, na skraju lasu.

Mijały lata. Pamiętam cię trzy lata później, olśniewającą młodą żonę, z pierwszym dzieckiem w brzuchu, w towarzystwie przystojnego męża, wykształconego młodzieńca, przejętego twoim macierzyństwem, lękającego się, że zamiłowanie do sportu zaszkodzi ci: stąd nasze spacerowanie do sportu zaskodzi ci: stąd nasze spacerowanie w czwórce po ścieżce z ubitego śniegu, nasze rozmowy, w czasie których moja ówczesna żona (jeszcze pierwsza, pamiętasz?) dawała ci rady co do trybu życia: odpoczynek, ale bez przesady, odpowiednia dieta, lekka poranna gimnastyka i tym podobne głupstwa. Kobiety w pewnym wieku lubią dawać rady w takich sprawach. Słuchałaś pilnie, a ja i twój mąż rozmawialiśmy o czymś innym.

Zobaczyłem cię następnie jako młodą matkę, ponownie w ciąży, trzymałaś pierwsze dziecko za rękę. Byłaś szczególnie podniecająca, wiesz? Tamtej zimy nie mogłaś oczywiście jeździć na nartach, rzadko wybierałaś się na spacer aż do miasteczka, większość czasu spędzałaś przy kominku na zabawach z dzieckiem, które uczyło się stać na nogach. Pamiętam, że trzymałaś je na czymś w rodzaju szelek, opasujących mu klatkę piersiową, przekonywałaś, żeby się nie bało, i nazywałaś „malutkim”, zwracając się do niego łagodnym głosem. Tamtego tygodnia śniło mi się

wielokrotnie, że cię biorę, brałem cię od tyłu, obejmując ramionami twój wielki brzuch.

A tymczasem zimy mijały, twoje dzieci rosły, nasze rodziny (mam na myśli siebie i twoich rodziców) coraz bardziej się zaprzyjaźniały, ja starałem się, moja żona również, ale wciąż byłem równie dobry w zjazdach. Mam wrażenie, że kiedy przyjechałem z nową żoną, która jeszcze nie była moją żoną, tylko „narzeczoną”, jak mawiało się wówczas w eleganckich kręgach, spjrzałaś na mnie znów z zainteresowaniem. Może nowa miłość mnie odmłodziła, kto wie, obciąłem sobie włosy niemal na jeża, zostawiając kosmyk na czole, wydałem nową powieść, która zdobyła nagrodę i zyskała uznanie krytyki w niektórych lewicowych gazetach. Wieczorem, przy kolacji, dyskutowaliśmy o niej. Pamiętam dobrze twoje uwagi, nie byłaś jeszcze wtedy literatką, którą się stałaś później, zajmowałaś się również trochę dziennikarstwem: w pewnym tygodniku kulturalnym opisywałaś podróże, których nie odbyłaś, i recenzowałaś nie przeczytane książki. Byłem zakochany po uszy we Francesce, ça va sans dire, to było widać. Ty również nie mogłaś tego nie zauważyć. A jednak miał miejsce pewien epizod, niezależnie i ponad tym wszystkim, coś ulotnego, co zdarzyło się, bo musiało się zdarzyć w sposób naturalny, tak jak wschodzi księżyc albo pada śnieg. Hotel był pusty, pamiętasz? wszyscy udali się na wernisaż tego głupka z Mediolanu, który lewą ręką malował, a prawą grał na giełdzie. Ja miałem za

sobą zbyt męczący zjazd, po powrocie rzuciłem się na łóżko i zasnąłem, kiedy się obudziłem, była już niemal pora kolacji i wszyscy zdążyli wyjść. Oprócz ciebie, ponieważ zostałeś z powodu dzieci. Zszedłem na dół: stałaś przed oknem wychodzącym na dolinę, byłaś odwrócona do mnie plecami, wydawało się, że obserwujesz uważnie odległe światła miasteczka. To było silniejsze ode mnie, podszedłem na palcach, musnąłem twoje włosy koloru miodu i powiedziałem: marzycielka. Wtedy odwróciłaś się i pocałowałaś mnie w usta. A potem położyłaś palec na wargach, które mnie całowały, i szepnęłaś: psst. Nic nie mów, John, proszę cię, to nie jest odpowiedni moment, nic nie mów. I ja nic nie powiedziałem.

Kiedy pojawił się w twoim życiu On, zrozumiałem od razu, że pojawił się mężczyzna, w którym zakochałaś się, jak w nikim innym, ani w twoim mężu, to pewne, ani w tych dwóch czy trzech przypadkowych kochankach, którzy trafili niechcący do twojego życia. Spytasz, w jaki sposób to rozumiałem. Mógłbym ci odpowiedzieć, że znam kobiety, wiesz o tym, potrafię zrozumieć owo szczególne światło pojawiające się w ich oczach, kiedy są zakochane, uchwycić rozmarzone spojrzenie, pojawiający się ni stąd, ni zowąd uśmiech, nie skierowany do nikogo, chyba tylko do osoby, o której się myśli, i inne jeszcze rzeczy, szczegóły, a szczegóły mają zawsze zasadnicze znaczenie. Znam również dobrze ówczesny Mediolan i środowiska, w których bywałaś: salony intelektualne, feministki, tych, co marzyli o rewolucji,

wykrzykiwali slogany na ulicach, a potem wieczorem w domu słuchali w wygodnych fotelach dobrej muzyki. On nie, nie należał do tej typologii. A przede wszystkim nie pisał. Mawiał podobno, że pisanie trywializuje myśl i że z ludźmi lepiej zawsze rozmawiać, książki zaś, jeśli już, powinno się czytać tylko w myśli.

Zrozumiałem, że kochasz go nieodwołalnie, pewnego wieczoru na kolacji w hotelu, kiedy jedliśmy dziczyznę z sosem żurawinowym, zgodnie z przepisem lokalnej kuchni, a ty powiedziałaś: znam opowiadanie *Przepiórki à la Clémentine*, opowiedział mi je mój przyjaciel, to opowiadanie o opowiadaniu, a raczej opowiadanie o hipotetycznym spektaklu teatralnym, zaczyna się tak: na rue Saint-Lazare w Paryżu jest teatr, a na scenie tego teatru błękitny salon, udekorowany na sposób orientalny, z oknami w lekkich firankach z białego muślinu: rozsuwając firanki w czterech oknach można będzie zobaczyć cztery różne spektakle, które w istocie są różne tylko do pewnego stopnia, bo każdy spektakl mówi o tym samym życiu, życiu mężczyzny i kobiety.

Ktoś taki nie mógł z pewnością mieszkać w Mediolanie, ktoś, kogo nikt nie znał, kto wymyślał opowiadania, ale ich nie publikował, podczas gdy my wszyscy stawialiśmy sobie za punkt honoru, aby publikować wszystko, co napisaliśmy, opowiadał o przepiórkach à la Clémentine i o czterech oknach, z których można było obserwować cztery różne strony tego samego życia, niczym cztery strony świata: północ, czyli przeszłość,

zachód, który w tej chwili Clémentine wybrała jako własny, wschód, którego miała nigdy nie poznać, i ostatnią stronę świata, południe, będące jej losem i może jej śmiercią. Śmierć na południu, brzmiały twoje słowa. Pamiętasz? był dzień, w którym padał gęsty śnieg, Sylwester, ależ tak, to był Sylwester sprzed tylu lat, ilu? dziewiętnastu, dwudziestu, zaczynały się tak zwane wspaniałe lata osiemdziesiąte, tamtego wieczoru świętowaliśmy razem, rodziny i reszta, również twój synowie, już nastoletni, mali mężczyźni z oranżadą w kieliszkach do szampana, wszyscy wznosili toasty: wszystkiego dobrego, wszystkiego dobrego, szczęśliwego roku 1981. Tak, był rok 1981, dobrze pamiętam, Sylwester. A ty, między jednym toastem a drugim, śmiejąc się i żartując, powiedziałaś: poznałam kogoś, kto pisze przepiękne rzeczy, ale w ogóle nie dba o to, aby je wydać, w Mediolanie nie bywa z zasady, żywi namiętność do kur liwornijskich, ma ich cztery, bo codziennie znoszą jajka, wypijemy za niego? Wypiliśmy. Wiejski głupek, orzekł z wyższością facet wywodzący się z „kontestacji”, ubrany w golf: ależ tak, wypijmy za tego nieszczęsnego idiotę, czekają go ciężkie czasy. Wszyscy roześmieli się, było rzeczywiście wesoło w tym górskim hotelu, gorąco od oddechów i szampana, piliśmy za nieszczęsnego idiotę hodującego kury liwornijskie: my, lewica, my, którzy byliśmy „czujni”, jak się wtedy mówiło, i którzy dwa tygodnie później mieliśmy dać dowód czujności, prezentując w zaprzyjaźnionej księgarni ostatni produkt naszego inte-

lektualisty w golfie: *Rewolucja i/lub uwodzenie*. A ja pomyślałem: no tak, zakochała się.

Wiesz, moje oczy jasne, moje włosy koloru miodu, mam szósty zmysł. Zawsze go miałem i prowadził mnie przez życie. Pomyślałem: farewell, my lovely, podążasz ku kurom liwornijskim, już cię nie złapię. Ale życie szykuje nam zawsze wielkie niespodzianki: wystarczy być cierpliwym i czekać. Mnie cierpliwości nie brakowało, jak widzisz. Lata miały, miały bardziej dla mnie niż dla ciebie. Myślałem o tobie codziennie i te kilka dni w roku, kiedy mogłem widzieć cię w górskim hotelu, którego już nie znośłem, były niemal udręką. A ty tymczasem byłaś szczęśliwa. Bo ludzie mogą być szczęśliwi, w przerwach. Twoja jednak trwała zbyt długo, naprawdę zbyt długo, wierz mi. W mojej opublikowałem kolejne książki i pamiętam dzień, w którym podarowałem ci jedną z nich z następującą dedykacją: „Tobie, wraz z łączącym nas współnictwem”. Wyznałem ci kiedyś, że mimo napisanych książek, z pełnymi aluzji i błahymi dedykacjami, którymi próbowałem cię oczarować, nie jestem pisarzem. W tym sensie, że bycie pisarzem to fakt natury ontologicznej, dodałem, albo się nim jest, albo nie jest i aby nim zostać, nie wystarczy napisać kilka książek. Przytaknęłaś, och tak, z pewnością, mam rzeczywiście rację, mówiłaś prozopopeją, jak ktoś, kto zna się dobrze na literaturze. Głuptaska. Zastawiłem pułapkę: jestem n a p r a w d ę pisarzem, dowodzi tego list, który właśnie czytasz, wyobrażam sobie twoje zdumienie. Zawsze jest

jeszcze coś do odkrycia, warto przeżyć życie aż do końca jedynie z tego powodu. Ja również coś jeszcze odkryłem: że jesteś osobą nielogiczną albo że posługujesz się własną logiką, jak wtedy, kiedy kończąc rozmowę o literaturze i jak gdyby miało to coś wspólnego z książką, którą ci zadedykowałem robiąc aluzję do naszego wspólnictwa, oświadczyłaś: podoba mi się twój kosmyk na czole. Ale jakie wspólnictwo nas łączyło? Moje jasne oczy, moje włosy koloru miodu, wiesz lepiej ode mnie: to była po prostu obopólna chęć pójścia do łóżka. Twoja była równie silna jak moja, tylko że ty nie mogłaś tego zrobić, ponieważ miałaś w głowie swojego faceta, który hodował kury liwornijskie.

Wiesz co? muszę przyznać, że powieść *Zdrady*, którą podarowałem ci z dedykacją, została napisana z myślą o tobie, a myślałem o tobie, bo miałem kogoś w rodzaju żony, z którą „byłem szczęśliwy”, i w moim nudnym stadle potrzebowałem trzeciej osoby, doprawdy niezbędnej i wyjątkowej, a ty byłaś doprawdy niezbędna i wyjątkowa, przeczulem bowiem, że mogłabyś mnie kochać wszystkimi zmysłami, z oddaniem, którego pragnąłem, tylko wtedy, kiedy, pozwalając się osiąść, myślałabyś o człowieku, którego kochasz. I tylko w ten sposób mogłabyś osiągnąć niezwykłą rozkosz w miłosnym akcie, wielką i całkowitą, o jakiej zawsze marzyłaś. Ale wtedy, na pozór, nie rozumiałaś. A tymczasem lata mijały. Bolesnie dla mnie i z trudem, bo mężczyzna starzeje się, chociaż pozostaje szczupły, bez śladu brzucha,

z kosmykiem na czole i szelmowskim wyglądem. Wiesz, co mu się starzeje? Członek, wybacz dosadne wyrażenie, wiem, że wybaczysz, bo chociaż nie tolerujesz dosadnych słów używanych publicznie, to prywatnie nie masz nic przeciwko nim.

Ale mija jeden dzień, drugi, aż nadchodzi dzień, kiedy twój dzielny Anzelm nie powrócił, włożył prawdopodobnie hełm na głowę, aby nie zrobić sobie krzywdy, i wyruszył na nieznanne turnieje, może z kurami innej rasy niż liwornijaska. A więc wtedy stało się i było tak, pamiętasz, jak rzekłby poeta. Bielizna suszyła się na sznurze, znowu jak w wierszu. Idźmy za poetą, jak ja za nim poszedłem, chociaż to ty mnie zawołałaś. I rzeczywiście, na podwórzu porośniętym trawą, gdzie rosły wokół czereśnie i brzoskwinie, suszyła się bielizna poruszana morską bryzą, typową dla września. Pretekst (bo chodziło oczywiście o pretekst) stanowiła propozycja ofiarowania mojej książki z dedykacją dla miejscowej biblioteki, byliby z tego dumni, powiedziałaś, to lewicowa gmina, teren dawnych walk partyzanckich. Tym lepiej. Po drodze rozmawialiśmy. Ja też piszę, oznajmiłaś mi, a raczej coś napisałam. Co? Poezje, a właściwie poèmes en prose, takie drobiazgi. Dlaczego mi nie przeczytasz? Jeśli chcesz, ale trochę się wstydzę, a poza tym bardzo źle czytam na głos. Usiedliśmy na leżakach pod czereśnią, nie wiedziałaś, od czego zacząć, czasami czujemy się zakłopotani, szczególnie kiedy wiemy, jak to się skończy, a my wiedzieliśmy oboje, jak to się skończy. Co

mam ci przeczytać? Co chcesz. Przeczytam ci coś w stylu Baudelaire'a, rzecz dzieje się w górskim hoteliku i ma tę zaletę, że jest lapidarna. Podo- ba mi się pomysł, coś mi przypomina, jak brzmi tytuł? Jest bez tytułu, powinnam coś wymyślić. Tak, powinnaś, mógłby to być tytuł eponimicz- ny, książki potrzebują odpowiedniego tytułu. Ale te poemaciki nigdy nie staną się książką, powie- działaś. Ależ tak, zapewnilem cię, wiesz lepiej ode mnie, zajmę się tym, czytaj, proszę.

Kiedy skończyłaś czytać, wbiłaś wzrok w hory- zont, oczy ci zwilgotniały. Zapadał wieczór i na nizinie ciągnącej się w stronę morza zapalały się pierwsze światła. Dlaczego nie zatytułujesz zbioru *Kura liwornijska*, zasugerowałem, a potem do- dałem: powinienem poszukać hotelu, nie jestem już w wieku, żeby prowadzić nocą, a poza tym czekałaby mnie długa droga. Śpij ze mną, powie- działaś, może nie będę budzić się przerażona w nocy, jak zdarza mi się od miesięcy. Jestem sta- ry, powiedziałem. Uśmiechnęłaś się porozumie- wawczo. Och, nie chodzi o to, o czym myślisz, dodałem, jestem jeszcze do rzeczy, jak tyle lat te- mu, kiedy zacząłem cię pragnąć, ale widzisz, wte- dy... Co wtedy? Mam na myśli, że dwudziestolet- nia kobieta może pójść do łóżka z mężczyzną pięć- dziesięcioletnim, tylko potem... potem jest ina- czej, jest dziwnie, właśnie, jest trochę dziwnie albo trochę bardziej dziwnie.

Oczy moje jasne, moje włosy koloru miodu, chwile miłości, jakie przeżyłem z tobą w ciągu tych pięciu lat, były niezwykle, chociaż rzadkie,

odmierzane przerwami, które wydawały mi się bardzo długie, ograniczone do jakichś wyjątko- wych weekendów, do spotkań, które miały wy- glądać zawsze na przypadkowe, ale w ich trakcie odczuwałem największą rozkosz fizyczną, jaką dane mi było poznać w życiu. A jednak, nawet w czasie chwil największej namiętności, wydawa- ło mi się, że czegoś brakuje do osiągnięcia całko- witej ekstazy i że to coś jest tuż-tuż, na wycią- gnięcie ręki, coś, czego nie dawało się uchwycić, „un petit rien”, nie wiedziałem, co to takiego, ani ty, może świadomość, że nasza miłość jest zbyt sekretna, a więc zbyt wolna, a więc nieuzasadnio- na, co pozbawiało ją tej odrobiny pikanterii i po- czucia grzechu, mogącego przydać tak niezwyk- łej historii jak nasza owego tajemnego dreszczu, przyprawy czyniącej z niej przeżycie bardziej wyjątkowe i dramatyczne. Dlatego po naszych pierwszych spotkaniach w Mediolanie zacząłem zapraszać cię do domu na wsi, korzystając z nie- obecności mojej żony: bo to był prawdziwy dom rodzinny, a ja byłem w nim „szczęśliwym mę- żem” (ale co to znaczy „szczęśliwym mężem”?), w tym domu wiodłem wzorowe życie małżeńskie i na tym łóżku, na tym starym, wielkim łóżku, na którym kochałem się z tobą, rodziły niegdyś moja żona i moja synowa, to wielkie łóżko miało swoją długą historię, towarzyszyło życiu wielu osób.

Łóżko. Głupio jest myśleć, że to jakieś łóżko przydaje więcej smaku miłości, którą się uprawia. A ja zauważyłem to dopiero wczoraj, moje włosy koloru miodu, i, jak widzisz, zawsze można się

czegoś nauczyć w życiu, nawet w moim wieku. Bo ta miniona noc, ta nadzwyczajna noc, jasna i bezwietrzna, którą kalendarz katolicki wybrał na jedno ze swoich najpiękniejszych świąt, również dla mnie była wniebowstąpieniem, w najbardziej ziemskim sensie tego słowa, bo wstąpiłem do siódmego nieba, tego, gdzie rozkosz jest najbardziej całkowita i absolutna. Umówieni byliśmy na spotkanie od dawna, a ty zawsze stawiałaś się na spotkanie. Zresztą moja żona miała spędzić pierwszy weekend w górach i nie mogliśmy nie skorzystać z takiej okazji. Ale było coś, co cię niepokoiło, zrozumiałem to przez telefon: muszę ci coś powiedzieć, coś ważnego i ostatecznego, przyjadę tylko w tym celu, tylko w tym celu, rozumiesz? nie chodzi o to, o czym myślisz.

Ale nie, nie przyjechałaś tylko po to, aby powiedzieć mi coś ważnego i ostatecznego. Przyjechałaś, żeby raz jeszcze się ze mną kochać, przynajmniej jeszcze raz. Zrozumiałem to podczas kolacji na werandzie, przygotowałem smakołyki, za którymi przepadałaś: foie gras na liściach sałaty, kurczak na zimno z majonezem i twój ulubiony szampan. A ty spoglądałaś na mnie w półmroku, jak nigdy nie patrzyłaś na mnie przez te pięć lat, miałaś wilgotne oczy, w twoich źrenicach odbijał się blask świecy. A ja zrozumiałem, że nuta udręki pojawiła się w twojej spóźnionej miłości, którą żywiłaś do mnie i która dobiegła końca, bo ta druga okazała się silniejsza, nasza zaś niemożliwa. A jednocześnie ból, który odczuwałaś, zadając mi ból, czynił miłość do mnie cenniejszą i

bardziej intensywną, mogłaś jej ulec, zapominając o wszystkim i poddając się. Nie było nawet potrzeby powiedzenia mi „czegoś ważnego”, chociaż na pozór po to tu przyjechałaś. Wystarczyło pójść do łóżka, do tego wielkiego łóżka, gdzie kochaliśmy się tyle razy, wystarczyło mi, nawet jeśli nic nie powiedziałaś, bo sam zrozumiałem, że on wrócił. Ponieważ, po ponad pięciu latach miłości, po raz pierwszy, wczoraj w nocy, wzięłaś do ust mojego członka. A ja, podczas gdy podarowywałaś mi to, czego nigdy nie chciałaś mi podarować, myślałem o pewnym wierszu, którego żywe wspomnienie zachowałem, wierszu, który mówi, że wszystkim tym, co dotąd było mi odmówione, zostałem teraz swobodnie obdarowany i z twojej strony nie był to hołd przykucniętej niewolnicy, lecz prezent królowej, który stawał się moją własnością, wchodził mi w krew, a mój czas chłopięcy i czas pozostający mi do życia odżywały, mieszając się ze sobą, bo ty wzięłaś do ust mojego członka. A potem twoja namiętność wybuchła z niespotykaną wcześniej siłą i kiedy wszedłem w ciebie, wystarczyła tylko chwila, ułamek chwili, abyś wydobyla z siebie krzyk rozkoszy i wyzwolenia, bezgranicznej rozpacz, jakiego nigdy nie słyszałem w twoich ustach i ach, wreszcie, ty również osiągnęłaś swoje „petit rien”.

Teraz, kiedy on wrócił, moje jasne oczy i moje włosy koloru miodu, teraz, kiedy jest znowu twój i nie nosisz w sercu bólu z powodu tego, że cię porzucił, teraz, kiedy nie ma już w tobie głupiego smutku, który próbowałem przez wszystkie te lata

daremnie ukoić, kochając cię i troszcząc się o ciebie, a przeciwnie, współczujesz mu, bo wiesz, że go zdradziłaś, zarazem zaś współczujesz mnie, myśląc o bólu, jaki mi sprawisz porzucając mnie, teraz wreszcie nasza miłość będzie mogła być pełna i absolutna, mimo mojego wieku, co zresztą ma względne znaczenie, bo ty lubisz starych mężczyzn, którzy potrafią kochać tak, jak ja potrafię kochać ciebie. A poza tym, już nie jestem stary: jestem znowu młody. Naprawdę jestem młody, jak trzydzieści lat temu, kiedy pragnąłem cię podczas tamtych odległych zimowych wakacji i kiedy musiałem zrezygnować z myśli, że będziesz moja.

*PRAGNĘ CIE, SZUKAM, WOŁAM,
WIDZĘ, SŁYSZĘ, ŚNIĘ O TOBIE*

Droga,

przyjechał tamtego wieczoru z daleka: był zmęczony. Zmęczony snem, bo spał długo. Ale jak długo? Ach, bardzo długo. Czuł się jak śpiący królewicz w lesie. W lesie, to znaczy w borze, a w życia wędrówce na połowie czasu trafił na kamień. I nie umiał go wyminąć, udawał zatem śpiącego królewicza. A jaki był brzydki i takim się czuł, powożąc karetą, zaprzęzoną w dwa konie, podczas gdy wszyscy wyprzedzali go w pędzie na ciemnej drodze. Kilkakrotnie ogarnęła go pokuśsa, aby zatrzymać się w zajeździe. Dalekie światła na zboczach wzgórz obiecywały spokojne miasteczka, smaczną kolację, wygodne łóżko. Było już gorąco, bo zaczął się maj. A on myślał: w moim wieku taka podróż, mam już niemal tyle lat, co Cynceron, kiedy pisał *O starości*; a tymczasem starał się powozić ostrożnie, bo konie w trakcie jazdy pod górę znosiły go za bardzo na bok, i jeszcze ten idiotyczny pas elastyczny, który nosił pod pretekstem bólu kręgosłupa, ale który w rzeczywistości służył do maskowania coraz bardziej widocznego brzucha. Pomyślał: zawrócę. A potem

pomyślał: zadzwonię do niej. Zatrzymał się na postoju, gdzie holenderscy kierowcy ciężarówek spali, oparci o kierownicę, był tam bar z neonem, można było zadzwonić z automatu wrzucając monety i zjeść zapiekaną bułkę.

Postanowił do niej zadzwonić. Pomyślał: o tej porze mężczyzna w moim wieku nie może zjawić się bez uprzedzenia, skoro tak długo go nie było, bo spał w lesie. Wrzucił monety do automatu telefonicznego w barze, podczas gdy holenderscy kierowcy ciężarówek śmiali się ze swoich dowcipów, i stwierdził z ulgą, że telefon jest zajęty. Skoro tak, to znaczy, że ona jest w domu i że się jeszcze nie położyła. Spytał kasjerkę: ile kilometrów do Aleppo? Pobliskie miasto to nie było oczywiście Aleppo, ale pachniało tak, jak w jego wspomnieniu z *Baśni Tysiąca i jednej nocy* pachniało mityczne miasto Aleppo, spytał jednak w swoim języku, całkiem niezrozumiałym dla kasjerki, wyłowiła więc tylko słowo „kilometry” i odpowiedziała, pokazując pięć rozchylnych palców u dłoni. A więc jeszcze pięć kilometrów. Pomyślał: dojechałem na miejsce, trzeba spróbować. Wsiadł z powrotem do swojej karety, która teraz wydawała mu się saniami, bo pędziła szybciej w dół po zboczcu wzgórza, martwił się jedynie tym, że jest brzydkim śpiącym królewiczem, z wystającym brzuchem, bo chociaż ona nie była już młoda (ale i tak dużo młodsza od niego), znalazła sobie pewnie przyjaciela, płaskiego jak deska, z tych, co nie zasypiają w lesie, ponieważ grają w tenisa. Poczul z tego powodu klucie w wątrobie, która nie była

w idealnym stanie. Zastanowił się: kiedy Iwan Iljicz zaczyna odczuwać klucie w boku, chodzi o bok prawy czy lewy? Jakkolwiek było, jakże zmienił się od czasu swojego długiego snu w lesie, nie tyle fizycznie, ile w sposobie zachowania się. Wiedział o tym na podstawie słownictwa, jakiego używał w myśli, kiedy kierował pędzącymi w dół saniami, widząc, jak wyprzedzają go kierowcy ryzykanci, nie zważający na niebezpieczeństwo ani na bliźnich. Nigdy przedtem nie szeptałby pod ich adresem wulgarnych słów, może jeszcze bardziej nieprzyzwoitych od tych, których używali holenderscy kierowcy ciężarówek. A jeśli kiedyś myślał o niej albo o jej seksie, albo o kochaniu się z nią, chociaż targła nim gwałtowna namiętność, nie ośmieliłby się nigdy sformułować zdań tak ordynarnych, jak te, których teraz używał w myśli. Bo istniało niegdyś coś w rodzaju elegancji serca, zdolnej przewyciężyć namiętność ciała, delikatny romantyzm, potrafiący oswoić zwierzęce niemal zachowania charakterystyczne dla mężczyzn, romantyzm, który maskuje, koryguje, wysubtelnia. Na przykład, widząc ją chodzącą po domu w szlafroku, co pewnie teraz robi, powiedziałby jej, wzorem francuskiego poety: w zielonym szlafroku przypominasz mi Meluzynę, stawiasz drobne kroczyki, jakbyś tańczyła. Tak by jej kiedyś powiedział. Teraz natomiast powiedziałby (sądził, że tak by jej powiedział), jaki wspaniały masz tyłek, cały uśmiechnięty, nie ma w nim nic tragicznego.

Jakby to był sposób na przywitanie. A jeśli w

domu jest jakiś facet? mogłoby tak być, zapewne. Mogłaby mieć swojego faceta i w drzwiach powiedzieć: proszę cię, mów ciszej, tam ktoś śpi. Albo jeszcze gorzej: byłabym panu wdzięczna, gdyby nie mówił pan tak głośno, Alfredo śpi. Mogłaby doskonale mówić mu per pan, po tylu latach snu, a za drzwiami mógł być Alfredo, w życiu trafiają się czasami mężczyźni imieniem Alfredo, którzy śpią w drugim pokoju i którzy są po to, aby kochać, kochaj mnie, Alfredo.

Wjechał w aleję pełną świateł. Aleppo, moje wysnione Aleppo, pomyślał, przyjmujesz mnie, całe w światłach, jakbym był zwycięskim Cezarem. Opuścił szybę, poczuł chłodne, nocne powietrze, pachniało lipami i może wanilią, jak powinno pachnieć Aleppo — pewnie z powodu fabryki herbatników widać było po lewej stronie wielki neon Biscou-Biscuit. Ładne, cóż za ładna nazwa Biscou-Biscuit. Mógłby na przykład zrobić tak: zastukać zamiast zadzwonić, tak byłoby bardziej delikatnie, dzwonek o tej porze mógłby każdego poderwać na równe nogi, ona otwiera, a on mówi: witaj, Biscou-Biscuit. W semaforze na końcu alei było czynne tylko żółte światło, tak jest na ogół po północy, a więc minęła już północ. Co byś zrobił z kimś takim, kto zasypia w lesie, nie wiedzieć na jak długo, a potem zjawia się u ciebie po północy i nazywa cię Biscou-Biscuit? zastanowił się. Zatrzasnąłbym mu drzwi przed nosem, odpowiedział sam sobie, i dorzuciłbym może jakieś słówko, bo ja wiem, ale wypowiedziane szep-

tem, elegancko. Biscou-Biscuit, tylko tego brakowało! Nagle na końcu alei, wzdłuż której stały anonimowe bloki, zauważył platany. I raptem, jak na zdjęciu, ujrzał dokładną topografię miasta nad morzem, które znał tak dobrze, a które wydawało mu się zapomniane. Oto aleja kończyła się nabrzeżem, gdzie stare tamaryszki wytyczają żwirową plażę: dalej był porcik, a za nim zaczynała się starówka — splot brukowanych uliczek — będąca kiedyś rybacką wioską. A pośród tych zaułków placyk z białym kościołem i dwiema palmami obok, kościół pod dwiema palmami, koło zaś kościoła podcienie, pod którymi rybacy cerowali niegdyś sieci, siedząc na malutkich niebieskich krzeselkach, jak dla dzieci, wyżej stały stare domy, a w domu po lewej stronie, tym z balkonami z kutego żelaza, mieszkała ona. Już położyła się, nie miał żadnych wątpliwości, na pewno już się położyła. Dwadzieścia minut wcześniej telefon był zajęty, a więc jeszcze nie spała, ale co może robić piętnaście po północy kobieta sama w domu? kładzie się do łóżka. A jeśli jest jeszcze jakiś Alfredo, tym bardziej.

Starówkę zamknięto dla ruchu kołowego, lecz o tej porze nie natknie się przecież na policjanta, to jeszcze nie sezon turystyczny. Zaparkował pod jedną z palm, w miejscu zarezerwowanym dla inwalidów, to logiczne, że ich zakaz wjazdu na starówkę nie obowiązuje. Odpowiednie miejsce dla mnie, uznał, pasuje jak ulał. Cóż za staroświecki zwrot: pasuje jak ulał, skąd się wziął? może z cza-

sów jego wczesnej młodości, tak mawiały kiedyś nastolatki: pasuje jak ułał, mur beton. Drzwi balkonowe były ciemne. Pieprzone drzwi, pieprzone drzwi, dlaczego jesteście ciemne? No, kochane drzwiczki, bądźcie dobre, rozświetlicie się znowu, ona poszła tylko na chwilę do sypialni i zgasła światło, ale zaraz wróci, rozświetlicie się znowu, zapomniała okularów w salonie, czyta zawsze przed zaśnięciem, ale bez okularów nie widzi z bliska, zawsze była dalekowidzem, nawet w młodości, jak nie przeczyta dwóch, trzech linijek, nie zaśnie, wiem lepiej od was, rozświetlicie się znowu, nie wygłupiacie się.

Usiadł na kamiennej ławce przed kościołem. Zadzwoić albo nie zadzwoić, oto jest pytanie. Lub raczej: wejść na górę albo nie wejść, bo drzwi na dole były otwarte jak zawsze, wchodziło się przez nie do trzech mieszkań i nikt nie dbał o to, aby je zamykać. Pomyślał o tym, żeby zapalić papierosa i spokojnie się zastanowić. Ale jak zapalisz papierosa, mój drogi, to koniec z tobą, ona naprawdę zaśnie, trzymała przecież okulary na szafce nocnej, a ilu stron potrzeba na wypalenie papierosa? nie więcej niż dwóch, trzech, a ona po dwóch, trzech stronach zasypia z książką w ręce, czasami musiałeś wyjmować jej książkę z rąk i kłaść się obok po cichutku, aby jej nie obudzić. Więc idź, proszę cię, zdobądź się na odwagę i idź. No tak, a jeśli otworzy ci Alfredo? Spróbuj sobie tylko wyobrazić, wybacz, jakiegoś Alfreda, może w slipkach, z zaspaną i podenerwowaną miną, jak mówi do ciebie: przepraszam, ale kim pan

jest, czego pan sobie życzy o tej porze? Co mu odpowiesz: Biscou-Biscuit? Alfredo da ci pięścią w nos i zrzuci ze schodów.

Wstał, zgasił butem niedopałek papierosa. Jakie to dziwne, wydawało mu się, że słyszy odgłos nie swoich kroków po bruku. Były lekkie, jak kogoś, kto idzie za tobą. Kto szedł za nim? Ach, to proste, ten sprzed lat, szedł za nim, ten sam, który nie był już tym samym. Również ręce, pomyślał, ręce również się zmieniają, jakże zmieniły mi się ręce. Zmieniły się? Pewnie, że się zmieniły, jakby tłuszcz wokół palców i miękka poduszeczka pod kciukiem przeniosły się na brzuch, pozostawiając dłonie kościste, niemal jak u szkieletu. I jeszcze te liczne brunatne plamy. Teraz nie było ich widać, bo panowała ciemność, ale tam, na górze, kiedy już wejdzie, będą dobrze widoczne w świetle, aż za dobrze. Łatwo powiedzieć „wejdzie”. A jeśli będzie tam jakiś Alfredo? Wszedł po schodach powoli, licząc do siedmiu przy każdym stopniu. Siedem cudów świata, siedem lat Jakub był pasterzem u Labana, siedem lat chudych, siedem lat tłustych, siedem grzechów głównych, siedmiomilowe buty, siedem kotów, siedmiu idiotów, od piątej do siódmej to pora kochanków. Ale teraz było w pół do pierwszej w nocy. Dlaczego usunęła nazwisko przy dzwonku? Może już tu nie mieszka? Ależ tak, mieszka, to była tylko karteczka z nazwiskiem napisanym na maszynie, zniszczyła się z powodu wilgoci, więc ją wyrzuciła. No jazda, zadzwoń wreszcie.

Nie była ani w szlafroku, ani w nocnej koszuli.

Miała na sobie elegancką suknię, wydało mu się, że wróciła właśnie z jakiegoś przyjęcia albo kolacji, ujrzał ją przez uchylone drzwi z założonym łańcuchem, spytała go po prostu: co tu robisz o tej porze? Co za głupiec, to było jedyne pytanie, które nie przyszło mu do głowy, najprostsze, takie, jakie zadaje się przyjacielowi nie widzianemu od tygodnia. Siedem dni, minęło siedem dni, pomylił się w rachunkach. Przyszło mu na myśl: te voglio, te cerco, te chiammo, te veco, te sento, te sonno¹, nie zaśpiewał, ale cicho wyrecytował. Co mówisz? spytała. Cchiù luntana me staie, cchiù vicina te sento², mówił dalej. Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. Wejdz, powiedziała, miałam się kłaść do łóżka, jadłeś kolację? Powiedział tak, to znaczy nie, to znaczy tak, kanapkę z szynką, ale wystarczy, wieczorem staram się nie przejadać. Dostaniesz kawałek tortu, zaproponowała, przyniosę ci z kuchni, usiądź, dziś wieczór miałam gości i upiekłam tort, który lubisz. Gâteau de la Reine, zgadł, upiekłaś gâteau de la Reine, nie pamiętam, kiedy go ostatnim razem jadłem. Wróciła z tacą do pokoju. Bo jesteś głupi, oznajmiła, wiem dobrze, kiedy go ostatnim razem jadłeś, ty nie wiesz, bo jesteś głupi. Nalała mu kieliszek porto. Zmieniłam podłogę, powiedziała, podoba ci się? Ładna, przytaknął, zapalimy? Rzuciłam palenie, rzekła, ale pal sobie, ja się położę, jestem trochę zmęczona. Mogę pójść z tobą? spytał.

¹ Pragnę cię, szukam, wołam, widzę, słyszę, śnię o tobie.

² Im dalej ode mnie, tym bliższa mi jesteś.

Gdzie zaczyna się geografia kobiety? Zaczyna się od włosów, odpowiedział sam sobie. Wiesz, że geografia kobiety zaczyna się od włosów? szepnął jej do ucha. Ona położyła się na boku, odwrócona do niego plecami. Obejmuje kark i ramiona, mówił dalej, sięga tam, gdzie kończy się kręgosłup, to są wrota do geografii kobiety, bo tam, za kością ogonową jest fałda tłuszczu albo mały mięsień niczym pierś kurczaka i tam właśnie zaczyna się najbardziej tajemna strefa, ale najpierw muszę popieścić ci włosy, a potem podrapać delikatnie po karku, wydaje mi się, że bez twojego ciała moje ręce utraciły dotyk, stały się brzydkie, suche i całe w plamach. Wiesz, że mam łaskotki, powiedziała, nie szczyb mnie. Zrobię ci więc masaż, zaproponował, będę ci pieścił ramiona, jakbym delikatnie masował, tylko opuszkami palców. Wtedy zasnę, przypomniała mu, odpręża mnie to, wiesz przecież. Śpij, powiedział, chcesz, żebym ci zaśpiewał ein Lied? Komponujesz jeszcze? spytała zasnym głosem. Czasami, odpowiedział, niekiedy, ale teraz gromadzę raczej to, co skomponowałem niegdyś. Jak brzmi ta piosenka, którą wyrecytowałeś wchodząc, spytała. Jaka piosenka? zdziwił się. Neapolitańska, nie udawaj.

Dalej pieścił ją prawą ręką, a kiedy wyciągnął lewą i dotknął jej piersi, ona już spała. Wyczuł drobne zmarszczki w rowku; skórę, która zaczynała więdnąć. Ale piersi były jeszcze miłe w dotyku, ciepłe, z szeroką obwódką wokół sutków i licznymi punkcikami niczym ziarna, chcące wy-

rosnąć spod ziemi. Pomyślał: jaka piękna jest geografia kobiety i jaka łatwa, jeśli tylko się ją zna i kocha, przyszło mu do głowy, że mężczyźni są głupi, bo czasami wydaje im się, że o niej zapomnieli, i dlatego są głupi, a kiedy tak myślał, poczuł, że również jego ciało zaczyna oddychać w rytm obejmowanego ciała, i pomyślał: nie wolno mi zasnąć, poczekaj, nie teraz.

Kiedy otworzył ponownie oczy, widać już było świt. W maju świta wcześniej. We śnie ona naciągnęła kołdrę, a może zrobił to on, nieświadomie. Odkrył ją i zaczął gładzić jej pośladki. Najpierw delikatnie, potem mocniej, ściskając. Poruszyła się we śnie i wydała krótki, głuchy jęk. Jaki cudowny masz tyłek, powiedział, jest cały uśmiechnięty, nie ma w nim nic tragicznego. Obudziła się. Ale głupiec, oznajmiła. Włożył jej lewą rękę między uda. Ścisnęła je. Powtórz słowa, które powtarzałeś mi w nocy, poprosiła, zasnęłam. Jakie? spytał. Te po neapolitańsku, dodała, to chyba jakaś piosenka. Nie pamiętam, zaprzeczył. Ależ tak, ta, która mówi pragnę cię, powiedziała. No dobrze, przytaknął, brzmi tak:

*Sex contains all, bodies, delicacies, results, promulgations,
Meanings, proofs, purities, the maternal mystery, the seminal
milk,
All hopes, benefactions, bestowals, all the passions, loves,
beauties, delights of the heart,
All the governments, judges, gods, follow'd persons of the
earth,
These are contain'd in sex as parts of itself and justifications
of itself.*

Mówił i ręką pieścił jej wzgórek łonowy. Oszust, rzekła, to Whitman. Pragnę cię, powiedział. Wejdz, odpowiedziała. Zrobię tak, zaproponował, wezmę cię od tyłu. Nie, zaprotestowała, chcę, żebyś mnie pokrył. Nie spodziewałem się takiego słowa w twoich ustach, przyznał. To naturalne określenie, uznała, to określenie na naturalną miłość. I objęła go.

Chciałbym jeszcze trochę pospać, poprosił, dopiero świta. Nie spałeś prawie całą noc, zauważyła, słyszałam, co sobie wyobrażasz? jeśli cię obejmę, łatwiej usniesz? spytała. Wiesz przecież, odpowiedział. Chcesz, żebym ci coś szeptała do ucha? spytała, kiedyś prosiłeś zawsze, żebym coś do ciebie mówiła, szybciej zasypiałeś. Co wolisz, odpowiedział. Znam pewną neapolitańską piosenkę, przyznała, wiesz, że nie mam najlepszego słuchu, ale mogę spróbować ją zanucić, zaczyna się od pragnę cię, a kończy na śnię o tobie.

Powiedz, czy tak by było, gdyby?

LIST JESZCZE NIE NAPISANY

*A Letter is a Joy of Earth —
It is denied the Gods*

Emily Dickinson, „Letters”

Moja droga,

chciałbym napisać kiedyś do ciebie list, list, w którym powiedziałbym ci wszystko, ale naprawdę wszystko, i zastanawiam się, jaki by on był, gdybym go napisał: użyłbym słów prostych, potocznych, niemal naiwnych, acz przepojonych dawną namiętnością. I poprzez ciemne warstwy lawy i gliny, które życie osadziło na wszystkim, list powiedziałby ci, że ja to nadal ja, że zachowałem swoje sny, chociaż budzę się o świcie, i że czasem ręka, w której trzymam pióro albo ołówek, zaczyna mi drżeć. I że również dom jest taki sam: stare drewno ma ten sam zapach, tak samo jedzą je korniki, przez okno werandy wpada latem wiązka światła i liście dzikiego wina, pnącego się po kratkach, rzucają na ścianę naprzeciwko chińskie cienie, miło jest wtedy usiąść w wiklinowym fotelu, podczas gdy na dworze panuje spokój południa, cykady nie milkną ani na chwilę i są to z pew-

nością te same cykady, to znaczy inne i jednakowe jak te, co zawsze. I że pod koniec lutego japońska magnolia kwitnie, zanim jeszcze wypuści liście, i wygląda jak jakaś dziwaczna doniczka z kwiatami, ucukrzona w powietrzu na wieczność. Trochę dalej w ogrodzie rośnie mimoza, która tak ci się podobała. Również dzieci rosna, dokładnie jak wtedy. Caterina wciąż jest na diecie, chociaż niechętnie, była rzeczywiście za gruba, mimo młodego wieku ma już poczucie własnej godności; tak jak kiedyś prawdziwa z niej kokietka, kiedy dośnie, będzie fascynującą kobietą. Nino, przeciwnie, jest chudy jak patyk, w szkole marnie mu idzie, ale to dlatego, że się nie przykłada, można już przewidzieć, przy jego inteligencji, co z niego wyrośnie. A poza tym powiedziałbym ci, że wieczory są długie, wloką się niemal w nieskończoność, ale że moje serce reaguje jak niegdyś, czasami na jakąś muzykę, dźwięk, jakiś głos rozbrzmiewający na ulicy, i zaczyna walić jak szalone, wydaje się galopującym koniem. Kiedy budzi mnie w nocy, jak zwykle, wstaję, aby je uspokoić, idę do stołowego, zapalam żółtą świecę, bo żółty łagodnie wygląda w półmroku, i czytam Noc pełna światła, miękka i bezwietrzna i te słowa uspokajają mnie, chociaż na dworze wiatr porusza gałęziami drzew i myślę wtedy: daleki od swej gałęzi, biedny liściu znikomy, dokąd pędzisz? Zastanawiam się i próbuję zasnąć, a kiedy mi się nie udaje, podsycam żar w kominku, aby świecił jeszcze przez chwilę, i żeby usnąć, myślę o tym, by napisać, że czas nie czeka, naprawdę nie miałem

o tym pojęcia, nigdy nie myśli się, że czas składa się z kropli i wystarczy o jedną kroplę za dużo, aby płyn rozlał się i przepadł. Powiedziałbym, że kocham, że kocham jeszcze, chociaż zmysły wydają się być zmęczone, bo jestem zmęczony, i czas, niegdyś taki szybki i niecierpliwy, teraz wlecze się nieznośnie w niektóre popołudniowe godziny, szczególnie kiedy zbliża się zima, kiedy minęło już jesienne zrównanie dnia z nocą, wieczór zapada znienacka, a światła, których nie oczekiwałeś, zapalają się w miasteczkach. I powiedziałbym ci także, że przygotowałem to, co ma być napisane na moim grobie, niewiele słów, ponieważ między datą urodzin a tą, która będzie datą mojej śmierci, wszystkie dni do mnie należą, byłem na tyle przezorny, że powierzyłem troskę o to wszystko człowieczkowi świadczącemu takie miłosierne usługi, z racji zawodu czy może powołania. Potem opowiedziałbym ci o chwili, w której cię zobaczyłem, pokazywałaś mi pejzaż wokół i twoja sylwetka odcinająca się na tle horyzontu wydała mi się najpiękniejszą rzeczą, jaką wymyślił świat, ogarnęła mnie chęć, aby przerwać twój uczony wywód i objąć cię z namiętnością, którą przepełnione były wtedy moje zmysły. Opowiedziałbym ci również o nocach, kiedy to rozmawialiśmy, o domu nad morzem, o niektórych chwilach w Rzymie, o rzece Anien i o innych rzekach, na które patrzyliśmy razem, myśląc, że płyną same, a nie zauważaliśmy, że nasz czas upływa wraz z nimi. I powiedziałbym ci jeszcze, że czekam na ciebie, chociaż nie czeka się na kogoś, kto nie mo-

że powrócić, bo aby być z powrotem tym, kim był, musiałby być tym, kim był, a to przecież niemożliwe. Ale powiedziałbym ci: patrz, wszystko, co się wydarzyło w owym czasie pomiędzy, przez który nie można się przebić, jak wiertło, kiedy napotyka na warstwę granitu, a więc to wszystko jest niczym, nie będzie stanowić żadnej przeszkody nie do pokonania, jak tylko przeczytasz ten list, który pewnego dnia do ciebie napiszę, zobaczysz, list, o którym zawsze myślałem, który towarzyszył mi przez cały ten czas, list, który jestem ci dłużny i który napiszę, naprawdę, możesz być pewna, obiecuję ci.

ROBI SIĘ CORAZ PÓŹNIEJ

*El candil se está apagando
la alcuza no tiene aceite...
No te digo que te vayas
ni te digo que te quedas.*

Kwartyna cygańska z Andaluzji

Avec le fil des jours pour unique voyage
Jacques Brel, „Le plat pays”

Szanowni Panowie,
choć jest to okólnik, nasza Agencja pragnęła-
by nadać mu możliwie najbardziej osobisty cha-
rakter, nie tyle ze względu na ewentualne póź-
niejsze kontakty z Panami — sami Panowie rozu-
mieją, że to wykluczone — ile ze względu na ser-
deczność i szacunek, wyróżniające dotąd nasze
stosunki.

Jak Panowie wiedzą, nasza Agencja dysponu-
je doprawdy bogatym doświadczeniem, w trakcie
swej działalności asystowała przy wielu zdarze-
niach, na ogół nikomu nieznanym, te zaś, które
są może Panom znane, dotarły na zasadzie nie-
rzadko wyolbrzymionego echa, za jakie uznać
można dzieła artystów wszystkich czasów.

Kłopoty i zmartwienia stanowią w każdym razie domenę naszej profesji; powiedziałabym wręcz, że mogą czasami powodować przerwę w monotonii i rutynie, jakie panują na ogół w naszej Agencji. Przypuszczam, że Panowie mieli już wszyscy do czynienia z innymi agencjami, działającymi w sposób mniej skomplikowany od naszej, na przykład z agencją wynajmującą środki transportu. W umowie zastrzega się, że koszty wypadku pokryje ubezpieczenie. Zdarzają się jednak niespodzianki, których kosztów żadne ubezpieczenie na świecie nie jest w stanie pokryć z tego prostego powodu, że niespodzianka jako taka ma charakter nieprzewidywalny. Przytoczę najbanalniejszy przykład: przedziurawiona opona. Umowa gwarantuje szybką i skuteczną pomoc. Ale nie zawsze przedziurawienie opony zdarza się w okolicznościach, w których można zainterweniować skutecznie i szybko. Proszę spróbować wyobrazić sobie pierwszego lepszego Klienta, który jedzie drogą wzdłuż skał schodzących pionowo do morza. Droga składa się z samych zakrętów i w dodatku zapada zmrok. Nieszczęsny Klient zauważył, że złapał gumę właśnie na jakimś przekłętym ostrym zakręcie, gdzie, gdyby nadjechał właśnie duży jeep, prowadzony przez beztróskich wyrostków (może się tak zdarzyć, przychodzi mu do głowy), jego samochód zostałby zmiażdżony w mgnieniu oka. Klient, coraz bardziej zaniepokojony, szuka w tylnym bagażniku zbawczego trójkąta ostrzegawczego, który pozwoliłby mu uniknąć fatalnego zderzenia. Ale go nie

znajduje. Dlaczego? bo jakiś pracownik techniczny (tak ich zawsze nazywają w agencjach), czyszcząc samochód w celu przekazania go następnemu klientowi, zapomniał odłożyć trójkąt na miejsce.

W słabym świetle wieczoru Klient, teraz już wyraźnie zaniepokojony, ledwo jest w stanie przeczytać polecenia „w razie awarii”, zawarte w instrukcji wydrukowanej przez agencję, która wynajęła mu samochód. Na szczęście (tak mu się wydaje, biedakowi) istnieje jeszcze numer specjalny: interwencja w nagłych przypadkach, i, znów na szczęście, Klient posiada telefon komórkowy, kupiony za radą małżonki ze względu na planowaną podróż zagraniczną. Wybiera więc numer, ale, niech to szlag, ciągle zajęty. Aż wreszcie... Ach, wreszcie jest wolny... Niestety, nikt nie odpowiada. Może ta historia wyda się Panom głupia, ale mogę Was zapewnić, że dla nieszczęsnego Klienta, o którym mowa, to dramatyczna chwila w życiu. Na zawsze zapamięta straszliwy moment, kiedy noc zapada nad urwiskiem, a jego samochodowi z przebitą oponą na ostrym zakręcie grozi, że uderzy w niego duży jeep prowadzony przez lekkomyślnych wyrostków, albo jeszcze gorzej, że zetrze go na proch tir, w którym za kierownicą siedzi zaspany, a może i pijany kierowca.

Nie chciałabym, aby Panowie pomyśleli, że za pomocą przytoczonego przykładu zamierzam wrzucić do jednego worka zrozumiały przecież niepokój Klienta i zmartwienia Panów, o których powiadamialiście naszą Agencję w czasie naszych

długich wzajemnych kontaktów. Nasza Agencja, w której przypadło mi w udziale rozwiązywanie umów, unikała zawsze starannie konfrontacji między klientami. Umów, których ważność mogliby Panowie ewentualnie podważyć, wysuwając obiekcje, że nie złożyli pod nimi własnoręcznego podpisu. Niestety, poprzez samo pojawienie się na tym świecie, podpisali Panowie umowę biorącą się z faktu narodzin. I życia. Oraz, oczywiście, śmierci. Jak mówiłam, nie ma sensu doprowadzać do konfrontacji. Również i dlatego, że każdy na swój sposób usiłował w życiu uwolnić się od drotu, kolczastego lub nie. A ile podróży odbyć można w czyimś towarzystwie, aby w końcu zdać sobie sprawę, że jesteśmy sami? Nie mówiąc o labiryntach mentalnych, w których zdawało się nam, że przeżywamy ponownie czas, będący niegdyś naszym, ale który nie jest już nasz. Uczyć jednak Safonę metrum Anakreonta to głupota, proszę mi wierzyć. Można zrozumieć bachanalia, kiedy kapłan wpada w ekstazę, a muzyka cymbałów i bębenków zakłóca wszelkie metrum, staje się obsesyjna i przenika do woreczka żółciowego, skąd bierze się czarna melancholia i ciemna wizja wszechświata: ale zawierzyć melodramatom z muzyką godną cuchnącego tryklinium zdaje się Agencji czymś przesadnym i z pewnością niestosownym. Od dawna wiemy, w jaki sposób krew odżywia ludzkie atomy i w jaki sposób może pozbawić je pokarmu: bardzo nam przykro. My też dużo spacerowałyśmy, zapewniamy Panów: taki spacerek może nawet trwać całe życie, ale cóż ta-

kiego dodaje algorytm jednego życia do nieskończonej liczby algorytmów, jakimi dysponuje taka Agencja jak nasza? I jeszcze coś: rzecz oglądana z dwóch przeciwstawnych punktów widzenia nie wydaje się Panom trochę nudna? No pewnie! wszechświat składa się z nieskończonej liczby punktów i dwa nędzne punkty widzenia to do prawdy niewiele. A skoro rzeczywiście milczenie jest złotem, po co pisać to, czego się nigdy nie napisało, i wybierać się w podróż, w którą się nigdy nie wybrało? Czy nie wydaje się to Panom formą tchórzliwej kapitulacji?

Panowie są ludźmi cierpiącymi, w każdym razie osobami, którym życie zadało wiele cierpień. To rzecz chwalebna i w przypadkach takich jak Panów, ze względu na decyzję zależną nie od naszej Agencji, lecz od wyższego urzędu zwanego Upływ Terminu, który ustala nieznaną nam datę, przekazujemy w drodze wyjątku osobnikom płci męskiej, takim jak Wy, list służący nam za folder, napisany przez drogą nam niegdyś kobietę. Ma on nie tylko złagodzić Wasze smutki, ale i przypomnieć, chociaż za pośrednictwem kolejnego okólnika, że adresatki, którymi Panowie nie zawracali sobie chyba dotąd głowy, mają prawo stać się z kolei nadawczyniami. List jest nie podpisany, lecz nie będzie wymagało od Panów wielkiego wysiłku odgadnięcie, kto go napisał. List nie ma tytułu, ale moje siostry zatytułowały go *List na wiatr*. Nasza Agencja byłaby wdzięczna, gdyby Panowie przeczytali go z należytą uwagą.

LIST NA WIATR

Wylądowałam na tej wyspie pod koniec popołudnia. Z promu widziałam przybliżający się porcik, a za nim białe miasteczko przylepione do weneckiego zamku i pomyślałam: może to tutaj. I kiedy szłam uliczkami całymi w schodkach, dochodzącymi aż do wieży, z coraz lżejszym bagażem w ręce, powtarzałam przy każdym schodku: może to tutaj. Na placyku pod zamkiem z widokiem na port jest zwykła knajpa ze starymi żeliwnymi stolikami ustawionymi wzdłuż murku, dwie alejki wysadzone drzewami oliwnymi i bardzo czerwonym geranium w prostokątnych donicach. Staruszkowie siedzą na murku i rozmawiają cicho, dzieci biegają wokół marmurowego popiersia wąsatego kapitana, bohatera wojen bałkańskich z początku wieku. Usiadłam przy stoliku, postawiłam bagaż na ziemi i zamówiłam typowe danie na wyspie: królika w cebuli z dodatkiem cynamonu. Pojawiali się już pierwsi turyści: był przecież początek czerwca. Zapadała noc, przezroczyta noc, przemieniająca kobalt nieba w jaskrawy fiolet, a potem ciemność z resztkami indygo. Na morzu błyszcząły światła miasteczek na Paros, które zdawało się być tuż-tuż. Wczoraj na Paros poznałam pewnego lekarza. Pochodzi z Południa, chyba z Krety, nie pytałam go o to. Jest niskim, silnie zbudowanym mężczyzną, na nosie ma widoczne żyłki. Wpatrywałam się w horyzont, a on spytał mnie, czy wpatruję się w horyzont. Wpatruję się w horyzont, odpowiedziałam. Jedyne linie przelamujące horyzont to tę-

cza, rzekł, oszustwo optycznego refleksu, czy-
ste złudzenie. I zaczęliśmy rozmawiać o złudze-
niach, mimo woli opowiedziałam mu o tobie, wy-
mieniłam twoje imię, nie wymieniając go, on zaś
oznajmił, że cię poznał, bo zszyl ci żyły, kiedy je
sobie podciąłeś. Nie wiedziałam i ogarnęło mnie
wzruszenie, pomyślałam, że odnalazłam w nim
odrobinę ciebie, ponieważ zna twoją krew. Po-
szłam więc z nim do jego pensjonatu o nazwie
Thalassa, znajdował się przy nadmorskiej pro-
menadzie, był to ponury pensjonat zamieszka-
ny przez niezamożnych Niemców, którzy przyjeź-
dżają na wakacje do Grecji, ale nie cierpią Gre-
ków. On jednak nie był taki jak ci Niemcy, był
miły, rozebrał się wstydliwie, miał małego człon-
ka, trochę krzywego, jak u niektórych posążków
satyrów z terakoty w ateńskim muzeum. Nie tyle
potrzebował kobiety, ile słów pociechy, bo był
nieszczęśliwy, i ja mu je ofiarowałam z czysto
ludzkiego współczucia.

Szukałam ciebie, moja miłości, w każdym two-
im atomie rozproszonym we wszechświecie. Ze-
brałam ich tyle, ile to było możliwe, z ziemi, po-
wietrza, morza, spojrzeń i gestów innych męż-
czyzn. Szukałam cię nawet w kouroi, na odległej
górze jednej z wysp, tylko dlatego, że powiedzia-
łeś mi kiedyś: usiadłem na kolanach kouros. Wspi-
naczka nie była łatwa. Autobus wysadził mnie
w Sypouros, tak się chyba nazywa to miasteczko,
nie ma go nawet na mapach, potem trzeba było
przejsć trzy kilometry piechotą, szłam wolno pod
góre, krętą ubitą ścieżką, schodzącą następnie ku

dolinie pełnej oliwek i cyprysów. Przy drodze stał
stary pasterz, powiedziałam tylko jedno słowo:
kouros. W jego oczach zapalił się porozumiewaw-
czy błysk, jakby zrozumiał, jakby wiedział, kim
jestem i kogo szukam, że szukam ciebie, i bez sło-
wa wyciągnął rękę, wskazując mi drogę, a ja za-
brałam z sobą jego gest, który mnie prowadził,
i chwilowy błysk w jego oczach, włożyłam je do
kieszeni, patrz, mam je tutaj, mogłabym położyć
je na stoliku, tutaj, gdzie jem kolację, mam dwa
kolejne kawałki pokruszonego fresku, próbuję je
wszystkie zebrać, aby odtworzyć ciebie, i jeszcze
zapach mężczyzny, z którym rozmawiałam w no-
cy, tęczę na horyzoncie i to niebieskie morze, bu-
dzące we mnie lęk. Ale przede wszystkim zakra-
towane okno na Santorini, pięło się po nim dzikie
wino, okno wychodziło na otwarte morze i placyk.
Morze miało nieskończoną liczbę kilometrów,
a placyk kilka metrów kwadratowych, przyszły
mi na myśl wiersze mówiące o morzach i placach,
morze z iskrzących się dachówek, które widzia-
łam kiedyś z tobą z wysokości morskiego cmen-
tarza, i placyk, gdzie mieszkający przy nim ludzie
widzieli twoją twarz, i w ten sposób, w myśli, szu-
kałam cię w iskrzeniu się morza, bo widziałeś je
kiedyś, w oczach drobnego kupca, aptekarza, sta-
ruszka sprzedającego na placyku mrożoną kawę,
bo oni wszyscy cię kiedyś widzieli. To również
włożyłam do kieszeni, będącej mną i moimi ocz-
mi.

Na dziedziniec kościelny wyszedł pop. Był
mokry od potu w swoich czarnych szatach, od-

prawiał mszę w obrządku bizantyjskim, w którym kyrie miało barwę ciebie. Na horyzoncie widać było statek pozostawiający w błękitnie pasmo białej piany. Czy jesteś również i nią? Być może. Mogłabym ją włożyć sobie do kieszeni. Tymczasem jakaś przedwczesna cudzoziemska turystka, przedwczesna jak na porę roku, dzwoni z automatu otwartego na wiatr i przechodniów, na wprost morza, i mówi: *Here the spring is wonderful. I will remain very well. I to jest twoje zdanie, rozpoznaję je, chociaż wypowiedziane zostało w innym języku, ale chodzi tylko o przybliżone tłumaczenie na angielski. Wiosna minęła dla nas, mój drogi przyjacielu, moja droga miłości. Nadeszła już jesień wraz z jesienną żółcią liści. Jest wręcz pełnia zimy w tym przedwczesnym lecie, chłodzonym przez bryzę wiejącą dziś wieczór na tarasie z widokiem na port Naxos.*

Okna: *oto czego potrzebujemy, powiedział mi kiedyś mądry starzec w jakimś odległym kraju, bezmiar rzeczywistości jest niepojęty, aby go pojąć, trzeba zamknąć go w prostokącie, geometria przeciwstawia się chaosowi, to dlatego ludzie wymyślili okna, które są geometryczne, a wszelka geometria zakłada kąty proste. Czy to znaczy, że nasze życie również jest podporządkowane kątom prostym? Wiesz, te trudne, pokawałkowane wędrówki, które musimy wszyscy odbyć, aby dotrzeć po prostu do naszego kresu. Możliwe, ale jeśli taka kobieta jak ja myśli o czymś podobnym, siedząc na tarasie z widokiem na Morze Egejskie*

w taki wieczór jak ten, pojmuję, że wszystko, o czym myślimy, co przeżywamy, co przeżyliśmy, co wyobrażamy sobie, czego pragniemy, nie może podlegać geometrii. I że okna są jedynie tchórzliwą formą geometrii właściwą ludziom, lękającym się spojrzenia kolistego, które wszystko obejmuje, bez sensu i nieuchronnie, tak jak kiedyś Tales patrzył na gwiazdy, nie mieszczące się w prostokącie okna.

Zebrałam wszystko, co ciebie dotyczy: okruszki, fragmenty, pył, ślady, przypuszczenia, ton pobrzmiewający w cudzych głosach, trochę ziarenek piasku, muszlę, twoją przeszłość, taką, jaką sobie wyobraziłam, ewentualną przyszłość, to, czego chciałam od ciebie, to, co mi obiecałeś, moje dziecięce marzenia, moje durzenie się we własnym ojcu, kiedy byłam dzieckiem, niektóre głupie rymy, układane w młodości, mak na skraju zakurzonej drogi. To też włożyłam do kieszeni, wiesz, koronę maku, podobnego do tych, które zrywałam na wzgórzach, kiedy jeździłam tam volkswagenem, a ty zostawałeś w domu, pochłonięty swoimi projektami, i studiowałeś skomplikowane przepisy zostawione ci przez matkę w czarnej książeczce napisanej po francusku, ja zaś zrywałam dla ciebie maki, których nie potrafiłeś pojąć. Nie wiem, czy zasiałeś we mnie swoje nasienie czy odwrotnie. Ale nie, żadne nasze nasienie nie wydało owoców. Każde z nas jest tylko sobą, nie powołaliśmy do życia nowego ciała, a ja szczególnie nie mam nikogo, komu mogłabym

powierzyć swój lęk. Objechałam wszystkie wyspy, w poszukiwaniu ciebie. Ta jest ostatnia, podobnie jak ja jestem ostatnia. Po mnie koniec. Któż mógłby cię jeszcze szukać, jak nie ja?

Nie wolno zdradzić w ten sposób, przeciąć nici. Nawet nie wiem, gdzie jesteś pochowany. Oddałeś się w ręce swojego Minosa, a sądziłeś, że zdołałeś go przechytrzyć, on zaś w końcu cię połknął. Odszyfrowałam wszystkie napisy na wszystkich możliwych cmentarzach w poszukiwaniu twojego ukochanego imienia, abym mogła przynajmniej cię oplakać. Dwukrotnie mnie zdradziłeś, po raz drugi ukrywając przede mną swoje ciało. Teraz jestem tutaj, siedzę przy stoliku na tarasie, patrzę daremnie na morze i jem królika przyprawionego cynamonem. Stary, ociężały Grek śpiewa dawną żebraczą pieśń. Są tu koty, dzieci, dwójce Anglików w moim wieku rozmawiających o Virginii Woolf i latarnia morska, której nie zauważyli. Pomogłam ci wydostać się z labiryntu, a ty mnie w nim zamknąłeś, a przecież nie było dla mnie wyjścia, choćby ostatecznego. Bo moje życie minęło i wszystko mi umyka, nie potrafię niczego powiązać, aby móc powrócić do siebie samej i do wszechświata. Jestem tutaj, bryza pieści mi włosy, a ja poruszam się po omacku w ciemności, bo nie mam już nici, tej, którą podarowałam tobie, Tezeuszu.

Nasz czas niestety upłynął. Kloto i Lachesis skończyły swoją robotę i teraz moja kolej. Pano-

wie mi wybaczą, ale w tym momencie, który odmierzam na innej klepsydrze niż Wasza, nastał dla Was wszystkich ten sam rok, ten sam miesiąc, ten sam dzień, ta sama godzina i pora na przecięcie nici. I to właśnie, z przykrością, proszę mi wierzyć, muszę uczynić. Teraz. Już. Natychmiast.

POST SCRIPTUM

Jeśli dobrze pamiętam, zacząłem pisać tę powieść w formie listów około jesienno-zimowego zrównania dnia z nocą 1995 roku. Interesowałem się wówczas przede wszystkim Sadekiem Hedajatem i jego paryskim samobójstwem, krążeniem krwi, tak jak badał je Andrea Cisalpino w Pizie w połowie XVI wieku, funkcją serotoniny, progiem tolerancji bólu oraz przyjaźniami, które uważałem za umarłe, a które może takie nie były.

Książka objawiła się początkowo jako figiel spleatany przez pamięć, w formie listu, któremu dałem tytuł *Forbidden Games*, a który wcześniej został opublikowany po angielsku i portugalsku w charakterze wstępu do zbioru zdjęć brazylijskiego fotografa Márcia Scavone, *And between Shadow and Light / E entre a sombra e a luz*, Dórea Books and Art, São Paulo 1997, następnie zaś ukazał się po włosku, pod tytułem *List do pewnej paryżanki*, w „La rassegna lucchese”, nr 2, 2000. Powiadam „figiel spleatany przez pamięć”, bo na jednym ze zdjęć Márcia Scavone z lat sześćdziesiątych widać nagą kobietę, stojącą na balkonie i wyciągającą ramiona ku niebu, jakby chciała

objąć powietrze, i obraz ten poruszył pamięć mojego „ja”, tak odległego w czasie (a więc tak dalekiego ode mnie, który patrzyłem na zdjęcie), że pomyślałem, iż mogę przypisać pamięć o tym obrazie komuś, kogo nazywam „mną”, ale kto jest tylko moim cieniem albo ektoplazmą zagubioną w czasie. Jednym słowem, praktycznie kimś nieznanym, kto pisze list.

List to ambiwalentny posłaniec. Wszyscy, przynajmniej raz w życiu, otrzymaliśmy list, zdający się nadchodzić z wymyślonego świata, istniejącego jednak realnie w umyśle tego, kto go napisał. Prawdopodobnie również i my wysyłamy podobne, nie zdając sobie nawet sprawy, że wkraczamy w rzeczywistą dla nas przestrzeń, która innym wydaje się wymyślona i którą, nawiasem mówiąc, list fałszuje w możliwie najuczciwszy sposób, ponieważ łudzi nas, że pokonujemy odległość, dzielącą nas od osoby przebywającej daleko. Ludzie są daleko, nawet jeśli żyją obok nas, cóż dopiero kiedy przebywają naprawdę daleko.

Czasami mogło się nam przytrafić, że pisaliśmy do siebie samych. Nie mam na myśli fikcji, często nie pozbawionych wielkości, jak w przypadku niektórych dawnych pisarzy; mówię o prawdziwych listach, z pieczętką i znaczkiem pocztowym. Czasami zdarza się nam nawet pisać do zmarłych. Nie co dzień, zgoda, ale może się tak zdarzyć. Może być i tak, że zmarli odpowiadają w jakiejś tylko im znanej formie. Ale to, co najbardziej dręczące, co gryzie niczym uparty kornik usadowiony w starym stole, czego nie da się uciszyć, chyba

że za pomocą trucizny, która otrułaby również i nas samych, to list, którego nigdy nie napisaliśmy. „Ten” list. Wszyscy podczas bezsennych nocy myśleliśmy, że go napiszemy, ale zawsze odkładaliśmy to na dzień następnym.

Gdybym miał się wypowiedzieć na temat natury listów składających się na moją powieść, nie wykluczyłbym, że można je określić jako listy miłosne. W bardzo szerokim sensie, tak jak rozległe jest terytorium miłości, graniczące często z nieznanymi i pozornie obcymi jej terytoriami, jak uraza, niechęć, tęsknota, żal. To tylko niektóre z miejsc, gdzie moje postacie, nadawcy listów, które zacząłem pisać, błakają się, zagubione. I jeśli nie miłość, to coś na kształt przepelnionego smutkiem przywiązania ożywia nawet ostatnią postać — jedyny w tej książce głos kobiecy — spędzając życie na przecinaniu nożycami nici cudzego żywota.

W związku z niektórymi listami opowiedziałbym chętnie, jak i kiedy powstały, może dlatego, że każda historia ma swoją podhistorię.

Niespodziewanie, pewnego lata, pomyślałem, że mogę przeżyć na nowo pewną burzę, której doświadczyłem osiemnaście lat wcześniej. Sądzić, że można przeżyć na nowo Niepowtarzalne, to głupi pomysł, chociaż okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne wydają się identyczne i podtrzymują nasze złudzenie. Występowały przecież wszystkie elementy konstytutywne dla tamtego odległego zdarzenia: ten sam punkt obserwacyjny (okno w samotnie stojącym zajeździe), to samo miej-

sce obserwowane (pejzaż dzikich wzgórz), to samo powietrze naładowane elektrycznością, przenoszącą się na ciało i myśli, ten sam księżyc, pędzący jak szalony wśród atramentowych chmur. Otworzyłem szeroko okno, oparłem się o parapet i zacząłem cierpliwie czekać. W takich okolicznościach trzeba zapalić papierosa albo świecę i myśleć o swoich zmarłych, jak uczyniłem to wiele lat temu. Postąpiłem tak samo, ale burza nie nadeszła, pejzaż pozostał nieruchomy. Burza rozpętała się natomiast w mojej głowie na wzór kosmicznej migreny, wzmagającej przyływy krwi w czaszce. Wybuchła wraz z muzyką *Normy* Belliniego — pompatyczną i arogancką, jak wszystkie opery tych pocziwych rzemieślników, uważających się za wielkich artystów — pasującą zresztą do ohydnych wierszy libretta Felice Romaniego. Jako surogat owej niedoszłej burzy powstała *Casta Diva*. Opowiadającemu „ja” powierzyłem dyrygowanie orkiestrą w tej obłędnej operze bez ładu i składu, przypominającej rozszalałe żywoły. A ponieważ opowiadające „ja” ma ambicję poznać rzeczywistość niczym czarownik przyzywający deszcze — to znaczy przeskakując logiczne powiązania, kierując się intuicją i kaprysem, pojmując rzeczy, które pragnęło poznać, zgodnie ze swoją specyficzną logiką — wydedukowałem z tego, że owa postać porusza się w sferze logiki obłędu. Możliwe, że to wariat. Na początku września Ricardo Cruz-Filipe zaprosił mnie do swojego domu w Lizbonie, aby pokazać mi najnowsze płótna. Dawno już obiecałem Cruzowi-Filipe

tekst o jego malarstwie, ale nigdy go nie napisałem. Tamtego dnia, patrząc na niektóre obrazy, a szczególnie *disiecta membra plócien* w stylu Caravaggia, pojąłem jasno, że ów tekst już napisałem. To ten, który nosi tytuł *Casta Diva*. I pojąłem również, że szaleńcy to nie czarownicy, tańczący, aby wywołać burzę, ale zakłamanym meteorolog, zapowiadający, że burza, przewidziana na dziś, rozpęta się dopiero za dwa dni. A czemuż by? Po prostu dlatego, że meteorolog pragnie, aby wszystko odbywało się zgodnie z ładem i logiką i aby ranek przypieczętował pogodną noc, spędzoną w objęciach Morfeusza. A więc spoczywaj w pokoju, aby potem powrócić do rutyny, dzięki której życie jest w całości tutaj, nigdy zaś gdzie indziej.

List zatytułowany *Rzeka* nazwałem początkowo *Bez końca*, mając na myśli niezapomnianą piosenkę Gina Paoli, również i dlatego, że wydawało mi się, iż słów takich jak „Jesteś chwilą bez końca, nie znasz wczoraj, nie znasz jutra” nie wolno mówić bezkarnie kobiecie: wymagają one jakiegokolwiek rozwinięcia. Nie wykluczam, że może on komuś przypominać *A terceira margem do rio* Guimarãesa Rosy, opowiadanie, którego majestatyczność zrobiła na mnie takie samo wrażenie, jak widok amazońskiej Rio. Ale, jak już wspomniałem, literatura nie jest pociągami pęczącym po powierzchni, lecz krasową rzeką wypływającą na wierzch, gdzie jej się spodoba, w tym sensie, że jej bieg nie poddaje się żadnej powierzchniowej kontroli. Trzeba jednak dodać, iż

rzeka Guimarãesa Rosy, chociaż ogromna, miała trzeci brzeg, podczas gdy ta, o której mówi moje opowiadanie, nie ma żadnego. Ale może oba opowiadania wzięły się z brzegów trzeciej *Enneady* Plotyna, w wersji przekazanej nam przez Porfiriusza, gdzie czytamy o nieskończonej rzece, będącej zarazem Początkiem i Nieobecnością, pierwotną emanacją i niemożnością wymiernych wyznaczników. Kiedy się jednak lepiej zastanowić, opowiadanie czerpie przede wszystkim z życia swego bohatera. Bo pisarze znają bardzo dobrze życie swoich bohaterów, także w jego najskrytszych źródłach, i nie mówię tego, aby się zemścić, proszę mi wierzyć. Tym, którzy dzięki swej życzliwości z narratologią uznają tekst za „figurę labiryntu”, chciałbym oznajmić, że został napisany w miejscu, gdzie labirynt jest czymś normalnym. Dokładnie mówiąc, w Chanii, w Domie, u Ioanny i Reny Koutsoudaki. Ioannie i Renie, wspomnieniu ich niezrównanej gościnności, list jest z wdzięcznością zadedykowany. Zawdzięcza on też wiele przyjaźni Anteosa Chrysostemidisa, który pewnej czerwcowej niedzieli na Krecie okazał się na tyle cierpliwy, że zapisał w zeszycie wiele stron, których nie mogłem zapełnić sam, musiałem więc pisać „na głos”.

Wstąpiłem do ciebie, ale cię nie zastałem został napisany z myślą o „spacerach” Roberta Walse-
ra, trwających niekiedy całe życie i jego pamięci jest poświęcony. *Książki nigdy nie napisane, podróże, których nigdy nie było* powstał w pociągu jadącym z Paryża do Genewy i z powrotem.

Wspomniany francuski filozof to Clément Rosset, a książka, o której mowa, nosi tytuł *Le réel, l'imaginaire et l'illusoire*. Tekst dedykowany jest Jean-Marcowi, paryskiemu kloszardowi, który podróżował po całym świecie, nie ruszając się ze swojego chodnika. *Komu potrzebna harfa z jedną struną?* wiele zawdzięcza wspomnieniom o pewnym przyjacielu, który wyruszył kiedyś ku swemu Gdzie Indziej i nie powrócił, krótkiemu spotkaniu z przedstawicielką Wspólnoty Żydowskiej w Salonikach, pianiście Sandro Ivo Bartolemu, z którym miło jest rozmawiać o muzyce, oraz pewnej osobie, która opowiedziała mi kiedyś o dawnej Aleksandrii w Egipcie. *Dziwna forma życia* bierze tytuł od starego fado Amáliei Rodrigues i może być odczytany jako hołd złożony Enricowi Vila-Matas i zachłannej genialności jego dzieła. *O trudności uwolnienia się od drutu kolczastego* można uznać za kontynuację *Forbidden Games* albo jego uzupełnienie, jakby nadawca tych listów zauważył, że adresat nie odebrał jego komunikatu w butelce, a przede wszystkim, że *repetita non juvant*.

O innych historiach nie warto wspominać, powstawały tu i tam, czasami zasłyszane, czasami wymyślone; jeszcze inne przyszły nie wiadomo skąd, bo takie miały kaprys. Chcę tylko powiedzieć, że list w liście, zatytułowany *List na wiatr*, wyjęty został z mojej powieści, której jeszcze nie napisałem. Jeśli kiedyś ją napiszę, zwrócę go. List, którego stanowi część, można by uznać za mój list osobisty, ten owszem. Wydaje mi się

słuszne, aby umieć zamknąć usta swoim postaciom, po tym jak wysłuchaliśmy cierpliwie ich żalonych historii. To sposób na powiedzenie, że przyznany im czas już minął i niech nie narzekają się nam więcej. Precz, precz.

A. T.

W chwili oddania książki do druku pragnę wyrazić moją wdzięczność Veronice Nosedzie, która z wielkim oddaniem i cierpliwością przekształciła w maszynopis zeszyty zawierające tekst powieści, oraz Massimo Marianettiemu, który zebrał pierwsze listy.

OD TŁUMACZKI

W tekście powieści Antonia Tabucchiego *Robi się coraz później* występuje gęsta sieć cytatów, jawnych i ukrytych. Cytaty, z wyjątkiem włoskich, pozostawiam w oryginalnym brzmieniu tam, gdzie czyni to autor i wydawca włoski (m.in. z Whitmana, Pessoa, Rilkego, Verlaine'a). Cytaty ukryte podaję w przekładach polskich: z *Don Juana* Moliere w przekładzie T. Żeleńskiego (Boya), *Hamleta* Szekspira — J. Paszkowskiego, *Piekle* Dantego — E. Porębowicza, *Pieśni* Leopardiego — G. Franczaka. Tłumaczenie fragmentów arii i piosenek (często w dialekcie) umieszczam w przypisach. Niezliczone aluzje, m.in. do Montalego, Hemingwaya, Calvina, pozostawiam nie rozszyfrowane, tak jak w oryginale. Domyślny czytelnik (prawdziwy Czytelnik Modelowy) odgadnie, kim jest Titiro, partyzant Johnny, Giannischicchio czy Leporello. Efekt rebusa, szarady został w ten sposób zachowany.

J. U.

SPIS TREŚCI

Bilet na morskich falach	7
Rzeka	16
Forbidden Games	37
Krążenie krwi	51
Casta Diva	62
Wstąpiłem do ciebie, ale cię nie zastałem . . .	73
O trudności uwolnienia się od drutu kolczastego	92
Dobre wiadomości z domu	99
Komu potrzebna harfa z jedną struną? . . .	112
Jesteś przecież taki dobry	131
Książki nigdy nie napisane, podróże, których ni- gdy nie było	144
Maska jest zmęczona	165
Dziwna forma życia	179
W przeddzień Wniebowstąpienia	188
Oczy moje jasne, moje włosy koloru miodu . .	195
Pragnę cię, szukam, wołam, widzę, słyszę, śnię o tobie	211
List jeszcze nie napisany	222
Robi się coraz później	226
Post scriptum	239
 Od tłumaczki	 247